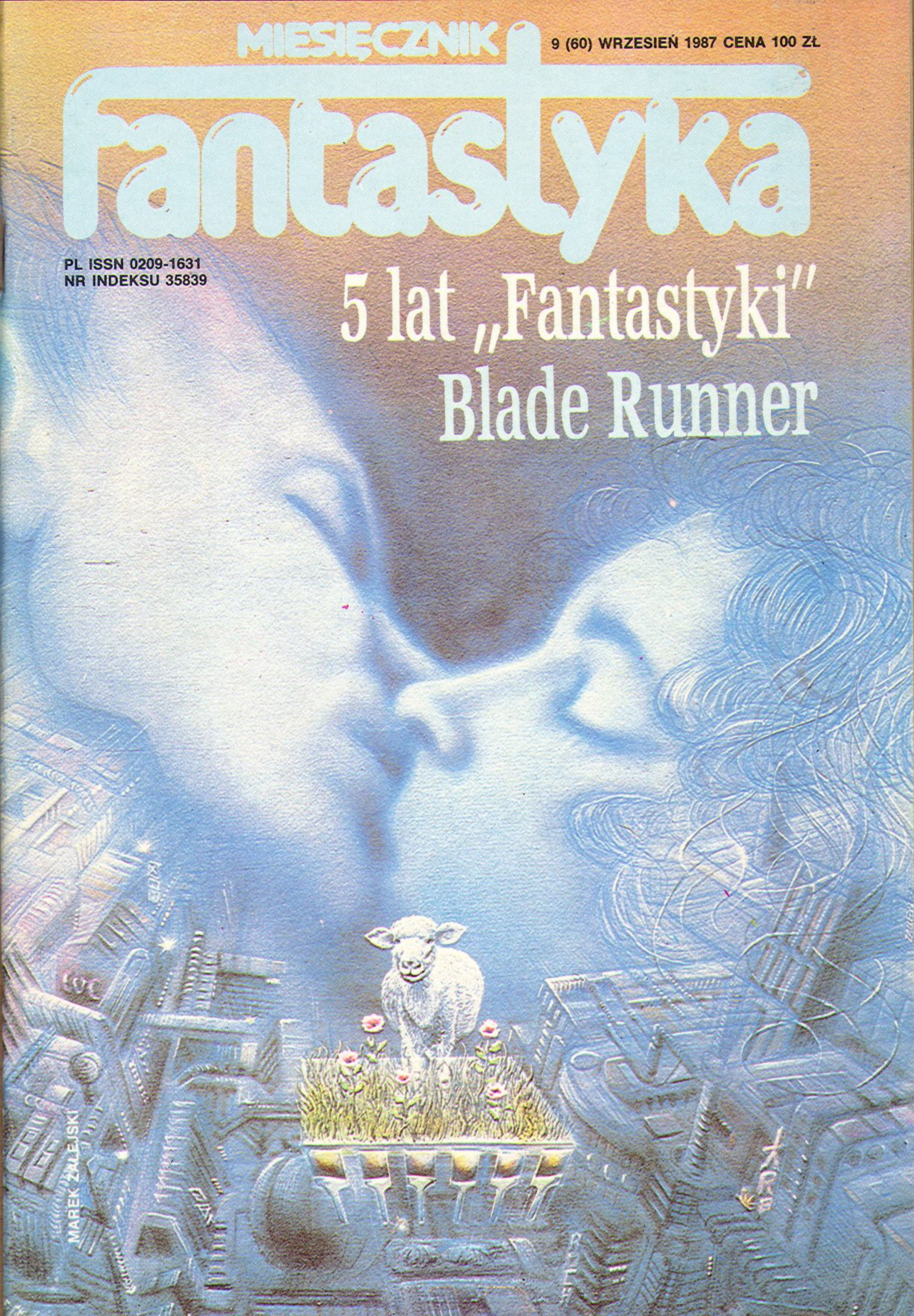
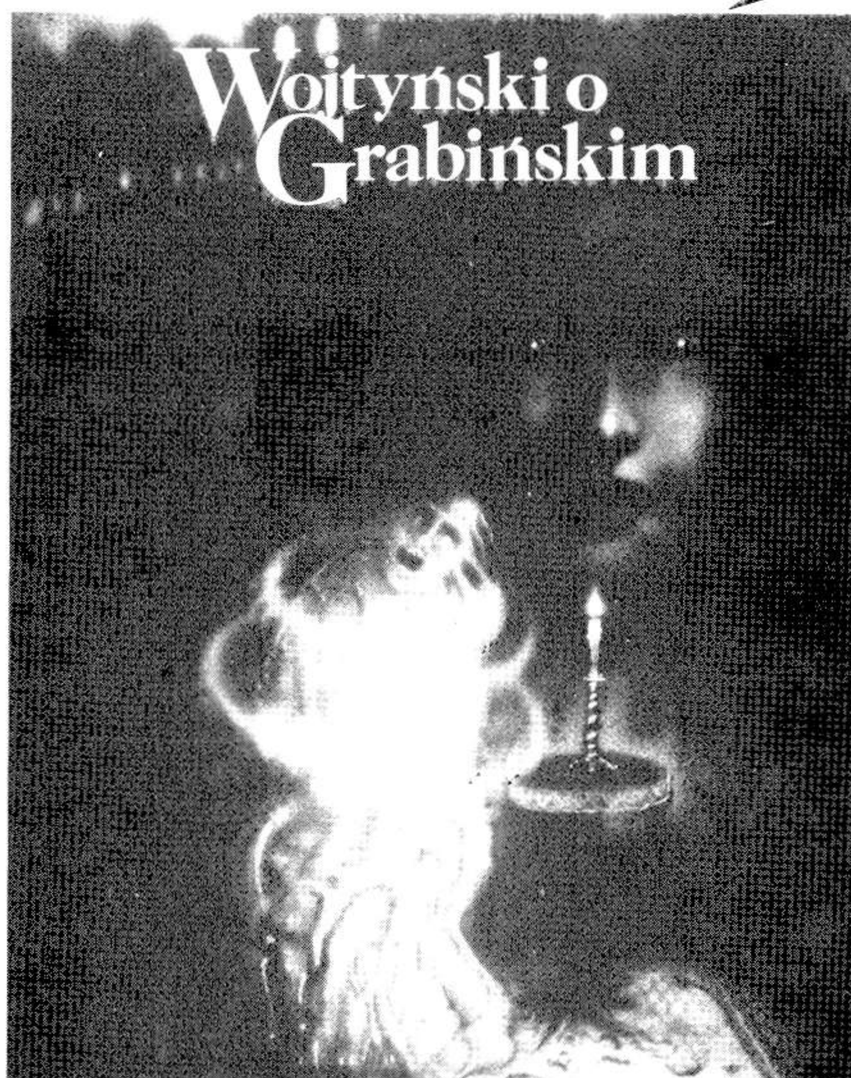

MIESIĘCZNIK
9 (60) WRZESIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ
Fantastyka
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839
5 lat „Fantastyki"
Blade Runner
MAREK ZALEJSKI



Stefan Grabiński (1887–1936), nowelista i powieściopisarz, teoretyk gatunku weird fiction, twórca polskiej fantastyki o wymiarze europejskim. Nowele tego pisarza wytrzymują porównanie z arcydziełami fantastyki światowej, prozą Poego, Meyrinka, Hoffmanna – stwierdzał przed laty Artur Hutnikiewicz. I nie bez racji. Nazwisko Grabińskiego figuruje w europejskich leksykonach fantastyki obok sylwetek Potockiego, Żuławskiego, Słonimskiego, Lema – autorów, o których mówi się, pisze, pamięta. Specyficzny charakter twórczości Grabińskiego pogłębiły tragiczne losy pisarza, który chory na gruźlicę, borykający się z nieustannymi kłopotami finansowymi, stał się obiektem ostrych ataków krytyki. Nie każdy autor potrafi przełamać złą passę, pokonać podobne spiętrzenie trudności. Jakże trudno wtedy wytrwać, uwierzyć, że to co się robi ma jakiś sens.

Pisałem kiedyś w „Słowniku polskich autorów fantastyki", że na twórczość Grabińskiego wpłynęły przemyślenia Henri'ego Bergsona, Williama Jamesa, że za patronów obrał sobie irracjonalistów, że nie pogardzał studiami z psychologii i psychoanalizy. To wciąż za mało, żeby zrozumieć jego pisarstwo. I choć niekiedy drażni ono patosem, nagromadzeniem niesamowitości, modernistycznym językiem – nie sposób odmówić Grabińskiemu pewnej oryginalności. Tak widział świat, nie mógł pisać inaczej. Fantastyka nie była dla niego literaturą „zamiast", dydaktyką, popularyzacją, futurologią, nie była „kostiumem" – taką prozę nazywał „fantastyką zewnętrzną" wskazując na jej baśniowo-romantyczny rodowód. Codzienna rzeczywistość była dla Grabińskiego znakiem innej, ukrytej ludzkiemu oku i racjonalnemu poznaniu. Skoro myśl stwarza świat, istnieje świat inny, niewidzialny, który kieruje naszym zachowaniem, uczuciami, emocjami. Jego zagadkowość jest z istoty swej fantastyczna. Dlatego po dziś dzień pozostaje Grabiński rzadkim typem pisarza, który łączy w swojej twórczości wiele różnych pierwiastków. Fantastyka jest dla niego swoistą filozofią życia, wyrazem oryginalności, twórczego niepokoju, wewnętrznej potrzeby ukazywania enklaw wolnych od przemocy, kłamstwa, krzywdy, istniejących w literackim marzeniu. Może dlatego, mimo pewnej staroświeckości, ma dla nas jakiś dziwny urok, fascynuje nastrojem tajemnicy, niedookreślenia. Twórczość Grabińskiego stawia pytania i wstrzymuje się od odpowiedzi, usuwa grunt spod nóg, kiedy wydaje się, że kroczymy wygodną drogą. To dużo. Może jedno z zadań fantastyki?

Utwory Grabińskiego, wznawiane z dużą regularnością, były ilustrowane przez różnych grafików. W numerze jubileuszowym „Fantastyki" przedstawiamy nową koncepcję ilustracji tej prozy. Jej autorem jest grafik – Ryszard Wojtyński, towarzyszący naszemu pismu od pierwszych chwil jego istnienia. Obok nastrojowych ilustracji Ryszarda Wojtyńskiego zamieszczamy fragmenty tekstów Stefana Grabińskiego. (an)


L. Wawrzyk

...3...2...1...



Pięć lat „Fantastyki"

Pięć lat wydawania pisma toż to bardzo krótki okres, gdzież nam do obchodzenia jakichś jubileuszy? Przecież każda próba rozwodzenia się na ten temat mogłaby uchodzić za przejaw samochwalstwa, za megalomanię, utopiliby nas w łyżce wody zawistnicy, nieudacznicy, złośliwcy. Któż jest prorokiem we własnym kraju, kto się odważy?

Ale rozpatrzmy przez chwilę obiektywnie fakty i zastanówmy się nad prostotą drogi, jaką dotychczas przebyliśmy. Dobre pomysły zawsze są nader proste, oczywiste. Każdy uważa, że może je mieć, choć... niewielu przychodzą do głowy. Tak niewielu. Przed pięciu latami zebrała się grupa pisarzy – fantastów i wówczas to zapadło postanowienie o próbach wydania jakiegoś magazynu science fiction, wybrano nawet naczelnego, któremu powierzono misję zorganizowania takiej gazety, choć Bogiem a prawdą nikt wtedy bardzo nie wierzył w jakiekolwiek szanse urzeczywistnienia wspólnych edytorskich marzeń, a najmniej wierzył ten, od którego starań miało zależeć ewentualne powodzenie imprezy, mimo to jednak zabrał się jak potrafił do roboty.

Powstał więc zespół, grupa ludzi pełnych zapału, a ponieważ w naszym kraju miłośników fantastyki co niemiara, o zielone światło nie trzeba było długo zabiegać. Droga została nagle otwarta. Teraz dopiero zaczęła się prawdziwa próba ogniowa: kto wytrzyma, kto odejdzie, kto sprosta, a kto nie; modelu takiego pisma nie buduje się bowiem (jak zresztą niczego) od razu, żeby był taki jak trzeba, żeby chwycił, podobał się, zdobył wydawniczy sukces.

A działo się to stawanie „Fantastyki" i jej zespołu w czasie, gdy wiele zespołów prasowych przeżywało kryzysy, gdy sytuacja w kraju była społecznie i gospodarczo trudna, gdy zmieniały się gusty i gwałtownie starzało się wiele dawnych modeli gazet i magazynów. Mimo że miłośnicy fantastyki stanowią szczególnie trudną publiczność literacką, że są grymaśni, wymagający, że kochają bardzo różne typy science fiction i pod tym względem można ich oceniać jako najbardziej skłóconą wewnętrznie grupę czytelniczą – pismo poszło w naród. Najpierw czytano je podejrzliwie, przyjmowano z nutą przekory. Oferowało przecież nie jakąś płaską rozrywkę, nie drugorzędne kryminałki, lecz teksty często trudne, szarpiące wyobraźnię i sumienia. Nie gładkie, cukierkowate, lecz drażniące, zaczepne.

Nie ulega wątpliwości trafienie w dziesiątkę: akurat takiej literatury potrzebowano... Gdy proza współczesna unikała drastycznych pytań, gdy uciekała od roztrząsania ważnych aspektów przyszłości w wymiarze nie tylko jednostki, ale i całych społeczności, fantastyka, operująca obrazem i językiem bardzo współczesnym, starała się chociażby w części zaspokoić głód romantycznych aspiracji i postaw. Nie ulegają bowiem wątpliwości romantycznej przyczyny powodzenia literatury typu science fiction, jest to fala romantyzmu obejmującego te grupy społeczne, które dopiero do romantycznych postaw dojrzewają czy dojrzały. W każdym razie ci, co uważają jeszcze ciągle, żyjąc jak gdyby w XIX stuleciu, u jego schyłku, że pozytywizm jest dla nas najważniejszy, mylą się mocno – przecież hasła „pracy od podstaw" liczyły się w tamtej epoce z niedojrzałością społeczną szerokich rzesz, z ich niedokształceniem. Miłośnicy fantastyki są dobrze wykształceni i wiedzą czego chcą.

Ciekawe, że w tym samym czasie, kiedy „Fantastyka" u nas nabierała rozpędu i zdobywała najszerszą publiczność, w wielu krajach, np. w RFN, Francji czy we Włoszech, upadały całe wydawnictwa science fiction, nie tylko pisma. W takiej sytuacji międzynarodowe nagrody (trzykrotnie) przypadały naszemu zespołowi. Trudno więc uwierzyć, aby udało się zebrać w naszym kraju zespół bardziej kompetentny od tego, który redaguje od 5 lat „Fantastykę", po prostu – gdyby była u nas taka grupa, na pewno znalazłaby odpowiednią siłę przebicia i zostałaby ujawniona. Zresztą adekwatnym wyrazem uznania dla zespołu stała się ostatnio, w maju tego roku, **Nagroda I stopnia Prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch" za sukces wydawniczy formuły pisma**, czyli za ten nieszablonowy profil, który uzyskał aprobatę czytelników.

Nie oznacza to jednak wcale, że literatura science fiction uzyskała u nas akceptację gremiów krytycznych, które uważają się za najbardziej kompetentne „czynniki opiniotwórcze". Istnieje mianowicie pewien rodzaj prawdziwej biurokracji w orzekaniu o tym co winno, a co nie powinno się podobać w literaturze, w sztuce w ogóle. I choć zmieniają się w tej epoce nie tylko idole popartu – jakże często, choć dochodzi także i do wyraźnego zmierzchu wielu prominentów sztuki (w tym literatury) tzw. głównego nurtu (co to znaczy?), biurokracja literacka zdaje się nie dostrzegać tych zjawisk i w ogóle nie dostrzegać literatury innej niż ta, którą tylko ona wychwala. Wbrew faktom i sukcesom czytelniczym.

Sprawa ta wybiega zresztą daleko poza nasze granice, a jeden z czołowych amerykańskich pisarzy fantastów Theodore Sturgeon napisał, że *nigdy dotąd w historii literatury nie było gatunku tak bezwzględnie ocenianego według... jego najgorszych utworów, jak fantastyka.*

Literatura SF budzi niechęć wśród zawodowych pisarzy z powodu swej dużej poczytności, z czym oczywiście często (choć u nas to nie jest prawda) wiążą się wysokie zarobki. Drażni ona także, jak wszelkie romantyczne ruchy, wybujałym dydaktyzmem i kokieterią besserwisserstwa, opartego na zdobyczach nauki, z jakich stara się korzystać.

Nie ulega wątpliwości, że bardzo złych utworów tej literatury powstaje na świecie nazbyt wiele i to rzutuje na negatywne ocena całości. Tak jak wszystkie uogólnienia niesprawiedliwe!

A więc wkraczamy w nową pięciolatkę orbitowań i zobaczymy co z nich wyniknie.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.

Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Zam. 2889/87 K-22
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 29 czerwca 1987 r.

Czytelnicy i „Fantastyka"

Lądowanie LV

W dzisiejszym „Lądowaniu" znajdziecie Państwo także oferty do rubryki „komu, komu", ale nie tylko. Wiele problemów wymaga dyskusji lub po prostu wyjaśnień. Na co mogę – odpowiem. Zaczynajmy więc.

Chciałbym uzyskać...

...jednoznaczną odpowiedź na pytanie czy przewidujecie druk okładek do powieści zamieszczanych w pierwszych numerach „Fantastyki", konkretnie do numeru 1/82, do 11 z 1984 roku, w którym zakończyliście druk „Księżniczki Marsa". Okładki, które ukazały się później, idealnie pasują do stron środka numeru i tworzą w sumie estetyczny tom. Oprawiam całość w introligatorni... Ostatecznie chodzi jedynie o 14 tytułów, czyli zaledwie o 7 plakatów. Zróbcie to zresztą kosztem posterów, które zniknęły ostatnio z kiosków...

Zbigniew Świtkiewicz *z Radomia*

Brakuje w kraju papieru, także i kredowego, na którym drukowaliśmy okładki. Jeśli go w końcu dostaniemy, to spróbujemy robić z niego okładki do dodatku „Komiks-Fantastyka" (kwartalnego). Na razie okładki do najnowszych naszych utworów powieściowych ukazują się na ostatniej stronie – błyszczącej kredowej okładki. Gdyby udało się dodrukować okładki od „Pieśni dla Lyanny" do „Księżniczki Marsa" na osobnych posterach, oczywiście o tym powiadomimy. Odpowiedź więc niestety jednoznaczna.

Komu, komu...

W związku ze zmianą zainteresowań, pragnę pozbyć się części swego księgozbioru.. Ponieważ jest to lista obejmująca ponad 100 pozycji i nikt jej nie wydrukuje w całości, proszę, o ile to możliwe, o zamieszczenie informacji, że odstąpię bogaty zbiór literatury SF, w tym wiele wydawnictw klubowych i fanzinów. Zainteresowanym prześlę pełny wykaz oferowanych tytułów.

Marek W. Stępień
86-120 PRUSZCZ POMORSKI
POBox13

Twórczość Tolkiena...

... i podobnych jemu autorów to naprawdę porządna sprawa i warto by o nią zadbać. Czymś o takim charakterze zajął się Śląski Klub Fantastyki, lecz pożal się Boże, marnie im to wyszło. Słownik Tolkienistyki jest całkiem, całkiem, ale plany bitew z „Władcy Pierścieni" to kupa szmelcu, czyli jeden wielki brak. Zapaprane to, pokryte plamami farby i jeszcze po angielsku. Obraz nędzy i rozpaczy. Sam miesięcznik „Fikcje", w którym się to ukazuje też jest do niczego (...), za takie kicze powinno się iść pod sąd (...). Moglibyście machnąć kilka eleganckich mapek do „Władcy", a zwolennicy fantasy byliby Wam dozgonnie wdzięczni..

P. Jabłoński *z Połczyna Zdroju*

Zastanowimy się nad tymi mapkami, ale zamieścimy je dopiero wówczas, gdy będziemy dawać coś o Tolkienie lub jakiś utwór tego tak popularnego autora.

Komu, komu...

Chętnie odstąpię następujące numery „Fantastyki" z powieściami – 1/82, 12/84, 3/85, 6/85, 7/85, 9/85, 10/85, 11/85, 12/85, 1/86, 2/86, 5/86.

Maciej Jachym
Chopina 9/5
48-200 PRUDNIK

Sprawa jest nieco odległa...

..bo dotyczy miniopowiadania zamieszczonego w „Fantastyce" 3/18/84. Chodzi o „Koniec Wszechświata", napisany przez Waldemara Kamińskiego (III Nagroda w konkursie). Otóż ostatnio dotarłem do antologii, wydanej przez Dell Book – the Years Best SF pod redakcją Judith Merril, jest to 11 edycja z 1967 roku. Jest tam takie opowiadanie napisane przez Boba Ottuma, a zatytułowane „Ado about nothing". Krótkie, jedynie trzy strony druku. Ale bardzo interesujący jest jego początek. Dla zobrazowania podam pierwszych kilka linijek: „today we reached the end of the universe. It was a big sign with red letters all lit up. This is the end of the universe – do not proceed beyond this point. We pulled the ship in close and cut all the power. Frank hollered over the intercom: What in the hell is this?..." Wyczuwam, że opowiadanie p. Kamińskiego zostało nagrodzone za oryginalność pomysłu, nie zaś za jego walory literackie. W fantastyce pojęcie plagiatu jest trochę „złagodzone", bowiem często na jednym pomyśle żerują potem już pokolenia pisarzy, uważam jednak, że pan Kamiński powinien zostać nagrodzony jedynie za znajomość języka angielskiego...

Pirx –
miłośnik fantastyki
i „Fantastyki"
z Krakowa

Ma Pan rację z tym „złagodzeniem" pojęcia plagiatu w fantastyce. Pomysły zresztą powtarzają się nie tylko w niej, ale i w utworach tzw. głównego nurtu literatury. Tylko że pomysł fantastyczny jest już większą częścią, najważniejszą powiedziałbym w ogóle sprawą utworów gatunku SF, on (ten gatunek) na tym stoi, bazuje. Tym bardziej powinno się podawać przynajmniej źródła „natchnienia", czego lwia większość autorów SF unika jak ognia. Nawet niektórzy znani i już wzięci pisarze, także i nasi, zapytani skąd czerpali pomysł do swojego dzieła odpowiadają, że nic podobnego nigdy nie czytali, a w książce jest prawie dosłownie to, co gdzie indziej. My nie jesteśmy w stanie znać i sprawdzać wszystkiego na świecie, proszę wybaczyć. A jeśli chodzi o p. Kamińskiego niech ma za swoje. Proszę, niech się odezwie, obroni!

ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
«PRASA • KSIĄŻKA • RUCH»

PRZYZNAJĘ NAGRODĘ
I STOPNIA

ZESPOŁOWI REDAKCYJNEMU
MIESIĘCZNIKA „FANTASTYKA"

ZA SUKCES WYDAWNICZY
FORMUŁY PISMA

Prezes
Wiesław Rydygier

WARSZAWA, MAJ 1987 ROK

Poezja i fantastyka

Pogasić gwiazdy
Zapomnieć Księżyca
I serc bicia
Słońca nie zostawić
Ni ćwierci
To właśnie jest śmierć

I tym poetyckim akcentem, (co prawda niezbyt optymistycznym) w wykonaniu naszego 17-letniego czytelnika, **Jarosława Wysa** z Radomia kończymy skromny jubileusz pięciolecia „Fantastyki" – jak zwykle „na roboczo".

Redaktor



UWAGA CZYTELNICY!

Przypominamy o mijającym niedługo terminie prenumeraty „Fantastyki" na rok 1988!

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach-siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch" ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Cena prenumeraty: kwartalnej 300 zł, półrocznej 600 zł, rocznej 1200 zł.

Przypominamy, że w kioskach „Ruchu" są przyjmowane zlecenia na odkładanie prasy do teczek. ■

FINAŁ

Drugiego Literackiego Konkursu „Fantastyki" na opowiadanie SF

Wszystko dobre co się dobrze kończy! W tym wypadku, jak Państwo zobaczycie, nawet lepiej niż dobrze. Olbrzymia liczba stron nadesłanych na II Konkurs „Fantastyki" została wreszcie przeczytana i oceniona. Trwało to bardzo długo, mimo że w pierwszej eliminacji tekstów brała udział większość zespołu, a dopiero decyzję ostateczną podjęto węższe jury w podanym niżej składzie.

Krótka charakterystyka Drugiego Konkursu: Ogłoszony w numerze 3/85 zamknięty został 31 grudnia 1985 roku. Uczestniczyło w II Konkursie 1148 zestawów prac o łącznej objętości kilkunastu tysięcy stron maszynopisu. Lektorzy, a potem jurorzy wybrali z tego dziewięć opowiadań, nagrodzonych bądź wyróżnionych, z których większość prezentowaliśmy już na łamach pisma. Łączna objętość wyłonionych w Konkursie opowiadań – około 10 arkuszy wydawniczych. Książka pokonkursowa będzie więc nieco cieńsza od „Trzeciej bramy" (recenzja na str. 60), za to teksty, które do niej trafią wyglądają na bardziej określone gatunkowo, dojrzalsze; budzą ponadto mniej zastrzeżeń profesjonalnych. Po prostu w II Konkursie wystartowała, czy może raczej przebiła się do finału, ekipa nieco starsza i bardziej doświadczona niż w pierwszym. Stąd odmiana.

Szczegółowe oceny, opinie, porównania – za miesiąc. W numerze październikowym przedstawimy obszerną wypowiedź przewodniczącego jury na temat Konkursu, a także krótkie refleksje jurorów i lektorów. Całość – ułożoną, przemyślaną, opatrzoną wstępem i krytycznym posłowiem – przekażemy, podobnie jak plon pierwszego konkursu, do Wydawnictwa Literackiego z prośbą o redakcyjny i poligraficzny pośpiech.

Drugi Literacki Konkurs „Fantastyki" ogłaszamy za rozstrzygnięty.

Redakcja

LAUREACI

Po zapoznaniu się z pracami nadesłanymi na II Konkurs „Fantastyki" jury w składzie: Adam Hollanek (przewodniczący), Maciej Parowski (sekretarz) oraz Lech Jęczmyk, Andrzej Niewiadowski i Jacek Rodek (członkowie jury), na posiedzeniu w dniu 9 czerwca 1987 r. postanowiło co następuje:

I miejsce w konkursie zajmuje

MAREK S. HUBERATH, autor opowiadania „Wrócieeś Sneogg, wiedziałam" i otrzymuje nagrodę w wysokości 25 tys. zł – za szczególne walory humanistyczne i literackie.

II miejsce w konkursie zajmuje

JAN MASZCZYSZYN autor opowiadania „Ciernie", i otrzymuje nagrodę w wysokości 20 tys. zł – za oryginalność autorskiej wizji.

III miejsce w konkursie zajmują wspólnie

ALEKSANDER BUKOWIECKI autor opowiadania „Sensorita i Ferty"
MAREK DYSZLEWSKI, autor opowiadania „Zasięg"
ANDRZEJ SAPKOWSKI, autor opowiadania „Wiedźmin"
i otrzymują nagrody po 10 tys. zł – za sprawność warsztatową i walory czytelnicze.

* * *

Oprócz prac nagrodzonych, jury dostrzegło w konkursie kilka opowiadań wyróżniających się interesującymi pomysłami i ciekawą realizacją. Autorom tych prac jury przyznaje roczne prenumeraty „Fantastyki". Otrzymują je (w kolejności alfabetycznej):

PIOTR GOCIEK – „Wielka ucieczka"
TADEUSZ MESZKO – „Pożeracz szarości"
ANDRZEJ PODGÓRSKI – „Ten wojewoda najwyraźniej trzęsie portkami. Sam chciał w to wleźć. Jego sprawa".
JAN SULIGA – „XXI rozdział Księgi FU".

* * *

Jury serdecznie gratuluje wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym, dziękując jednocześnie Autorom pozostałych 1139 zestawów prac, że zechcieli wziąć udział w naszym konkursie.

Nic straconego – wobec powodzenia dwu już podobnych inicjatyw jury zaproponuje Krajowemu Wydawnictwu Czasopism i Wydawnictwu Literackiemu objęcie patronatu nad trzecim konkursem „Fantastyki".

UWAGA! Nagrody w II Konkursie zostały ufundowane przez Krajowe Wydawnictwo Czasopism i Wydawnictwo Literackie.

I

Na podłodze widniał rządek jasnych plam. Snorg lubił obserwować, jak powoli wędrowały po matowej wykładzinie. Już dawno odkrył, że światło wpada przez niewielkie okna pod sufitem. Lubił leżeć na podłodze tak, żeby ogrzewały go ciepłe promienie. Spróbował poruszyć rękoma, ale tylko zsunął się bezwładnie z posłania.

– Dags... – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Nie panował nad zdrętwiałymi szczękami.

– Daaags...

Jeden z Dagsów odwrócił głowę od ekranu wizora. Zareagował raczej na łomot spadającego ciała, niż na głos Snorga. Moosy cały czas nuciła swoją melodię, zastępując słowa cichym bełkotem. Dags kilkoma szybkimi susami doczołgał się do Snorga. Wymierzył mu silny policzek. Oba Dagsy miały bardzo silne ręce, zaś z niedorozwiniętych nóg nie korzystały prawie wcale.

– Wie... wie... – wybełkotał Dags i wykonał kilka rytmicznych ruchów ramionami, co oznaczało zapewne, że Snorg będzie mógł poruszać rękoma. Drugi Dags również się przyczołgał i z całej siły pociągnął Snorga za włosy. Bolało okropnie, ale właśnie to cieszyło najbardziej.

Głowa... głowa... – tłukło się Snorgowi pod czaszką – dobrze... jest dobrze.

Dags drugi zaczął mu wpychać palce do oczu. Snorg szarpnął głową i ryknął z bólu. Pierwszy z Dagsów uderzył drugiego z całej siły, aż tamten spadł i potoczył się. Z oczu Snorga ciekły łzy i dlatego nie widział, czy Dags wkłuł mu w mięśnie wszystkie przewody i czy należycie przykleił wszystkie elektrody. Ufał jednak, że jak zwykle, Dags zrobi to dobrze. Mógł sobie tylko wyobrażać, jak Dags sprawdza zamocowanie instalacji. Oba Dagsy miały oczy osadzone bardzo daleko od siebie i dlatego musiały przechylać komicznie głowy.

– Tavegner!... opowiedzieć ci bajkę?... – rozległ się donośny głos Pieckygo. Snorg zawsze podziwiał jego wymowę. Teraz też słyszał wyraźnie każde słowo, chociaż brak małżowin usznych ograniczał możliwości jego słuchu.

Pieckymu odpowiedział głośny bulgot. Tavegner stale leżał bez ruchu i tylko bulgocząc dawał znać o sobie. Ale gdyby Tavegner wstał, byłby z pewnością najwyższy, wyższy od Tib i od Aspe. Tib ciągle stała i tylko dlatego była najwyższa.

Może i ja byłbym większy od niej, gdybym stanął – pomyślał Snorg. Cieszyła go myśl, że posiada dzisiaj pełne czucie w całej głowie. Zawdzięczał je małej przysłudze wyświadczanej mu co dzień przed Dagsy.

– Piecky, zamknij się! – krzyknęła Moosy – potem mu będziesz opowiadał... teraz ja śpiewam....

Dłonie były nieczułe, jak kloce drewna, ale poruszały się zgodnie z jego wolą. Pozrywał całą plątaninę przewodów i rurek. Uszczypnął się silnie w ramię. Było bez czucia.

Przynajmniej się porusza – pomyślał. Obejrzał rany i otarcia na ciele. Większość goiła się już. Ale przybyły też dwa nowe skaleczenia: to wtedy, gdy zsunął się z posłania. Obrażenia były zmorą Snorga. Chwila nieuwagi, niezręcznie potrącony mebel i nie wiedząc nawet o tym, rozrywał sobie skórę. Zawsze obawiał się, że nie zauważy w porę rany i wywiąże się zakażenie. Doczołgał się do wizora. Obok nieruchomo stała Tib, a jeden z Dagsów starał się od dołu ściągnąć z niej koszulę.

– Któż ją ubiera?... – pomyślał. Codziennie Dagsy robiły to samo i co dzień z rana znów była ubrana. W końcu szara koszula zsunęła się z Tib na podłogę i Dags zaczął wspinać się po jej nodze do góry.

Snorg przypatrywał się co nastąpi. Stało się to, co zwykle: mały nic nie wskórał. Gdy był już bardzo wysoko Tib po prostu założyła nogę na nogę. Dags zrezygnowany wpatrywał się w ekran wizora. Tib była już kobietą – Snorg uświadomił sobie to właśnie teraz. Wyglądała do-

kładnie tak, jak pokazywał ekran wizora na którejś z kolejnych lekcji.

Ma chyba za waskie biodra i jest za wysoka, poza tym wszystko się zgadza... Dotąd patrzył na nią jak na mebel, nieruchomą dekorację Pokoju. Wydawała mu się zawsze bardzo duża, rosła jeszcze z perspektywy podłogi. Bardzo chciał kiedyś porozmawiać z Tib. Była jedyną osobą w Pokoju, z którą nie udawało się nawiązać kontaktu. Nawet Tavegner, który leżał nieruchomo jak bryła mięsa i nie potrafił wypowiedzieć ani słowa, miał dużo ciekawych rzeczy do przekazania. Trzeba było tylko umiejętnie z nim rozmawiać: „tak" – pojedynczy bulgot, „nie" – podwójny. Tavegner wypełniał sobą prawie pół Pokoju i Snorg wyciągnął ze ściany przewód do usuwania wydalin, podpiął Pieckymu i odsunął się. Wizor pokazywał drzewka, wiele drzew. Były piękne i kolorowe, poruszały się rytmicznie. Snorg nigdy nie widział prawdziwego drzewa i zawsze marzył, żeby na nim leżeć. Wyobrażał sobie jak gałęzie układają się wokół niego w miękkie, ciepłe posłanie. Wizor zawsze pokazywał rzeczy piękne: rozległe krajobrazy, ludzi zbudowanych prawidłowo; wizor uczył też różnych pożytecznych rzeczy. Snorg czuł żal i winę. Żałował, że nie jest piękny, jak ludzie na ekranie, wykonujący różne, skomplikowane czynności. Z perspektywy podłogi wydawali się niemal doskonałymi. Był przekonany, że to jego wina, że jest taki, jaki jest, a

I nagroda w konkursie „Fantastyki"

Wróciłeś Snorg, wiedziałam...

Marek S. Huberath

długo wszyscy myśleli, że jest taki, jak Tib. Dopiero Piecky wpadł na pomysł jak się z nim dogadać. Najpierw Dagsy odkryły, że reaguje na szturchańce, bo bardzo lubiły przesiadywać na jego rozległym, ciepłym i miękkim ciele. Piecky w ogóle był bardzo mądry i wymyślił, żeby Tavegner bulgotał „tak" na właściwą literę alfabetu, a kiedy chce skończyć słowo, to jeszcze dwa razy na dodatek. Wszyscy się zgromadzili wtedy wokół niego. Nawet Snorg przyniósł pudełko z Pieckym, a Dagsy przywlokły także Moosy. Wspólnie składali literę po literze.

„Jestem Tavegner" – powiedział wtedy Tavegner. Potem jeszcze powiedział bardzo wiele innych rzeczy. Mówił, że lubi Dagsy, dziękował Pieckymu i prosił, żeby go trochę przesunęli, bo słabo widzi ekrany. Ostatnio jednak Tavegner się rozleniwił: woli, żeby mu zadawać pytania, a on tylko potakuje lub zaprzecza. Snorg podsunął się do Pieckygo.

– Ty, Piecky, jesteś mężczyzną, czy kobietą? – zapytał i zaczął rozwijać prześcieradełko.

– Odczep się Snorg... odwal się do jasnej cholery... Ja jestem po prostu Piecky... – małe ciałko Pieckygo wyrywało się gwałtownie. Snorg odwinął go w końcu do reszty i zaraz z powrotem zaczął zawijać.

– Ty rzeczywiście jesteś Piecky – powiedział.

– Mówię ci to, durniu, już od dłuższego czasu. – Piecky wykrzywił pogardliwie wargi. – Dagsy dawno by już odkryły, gdyby było inaczej. – Piecky miał wspaniałą głowę, nawet większą od głowy Snorga i ukształtowaną niezwykle prawidłowo, znacznie lepiej nawet niż głowy tych, których oglądał na ekranach.

– Masz wspaniałą głowę, Piecky – powiedział Snorg, żeby go trochę udobruchać. Piecky aż pokraśniał.

– Wiem o tym, a ty masz dość paskudną gębę, chociaż też całkiem prawidłową, gdyby nie te uszy... – odparł. – Jestem dużo mądrzejszy – kontynuował – i będę jeszcze długo istniał, gdy was już skasują...

– Co mówisz? – spytał Snorg.

– Nic... podaj mi ssawkę.

nie taki jak ludzie z pięknych obrazów ekranu. Ale nie wiedział, dlaczego to jego wina. Patrząc na nich zapominał o wszystkim. Oczyma chłonął widoki i wiedzę; dzięki wizorowi widział i znał wiele rzeczy, których nigdy w Pokoju nie było. Na ekranie ukazała się kobieta. Stała nieruchomo, na jej przykładzie demonstrowano, jakie proporcje ciała powinna mieć poprawnie zbudowana kobieta. Obok ekranu tkwiła Tib i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Porównywał jej budowę z tamtą z ekranu. Tib była łysa, całkowicie łysa, nie miała ani jednego włosa na ciele i przez to jej głowa różniła się bardzo od głowy tamtej kobiety, ale Snorg spróbował wyobrazić sobie włosy na jej głowie i wtedy nie było źle. Miała delikatne małżowiny uszne, lekko odstające i pod światło nieco przeświecające. Tych uszu Snorg zazdrościł jej szczególnie. Na ekranie pojawiły się linie zaznaczające poprawne proporcje ciała i Snorg podczołgał się do Tib, aby zmierzyć jej proporcje sznurkiem. Nie dość, że jej obie ręce miały równą długość, podobnie jak i nogi, że ręce miała krótsze od nóg, to i w najdrobniejszych szczegółach jej budowa zgadzała się ze wzorcem. Aby jeszcze porównać rozmiary jej głowy z resztą ciała, przyklęknął i wyciągnął ręce do góry. Wszystko się zgadzało – spojrzał na nią z podziwem.

Ciało ma w pełni poprawne – pomyślał i uświadomił sobie, że udało mu się uklęknąć na bezwładnych nogach. Natychmiast upadł.

Czuł długi, przeciągły szum w uszach. A więc upadek był połączony z utratą przytomności. Potem usłyszał jeszcze jak Piecky głośno krzyczy do Moosy.

– Daj spokój! Nie broń się... skończy i sobie pójdzie – mówił Piecky.

Moosy głośno szlochała.– Nie znoszę tego... to ohydne zwierzę... przestań! Zostaw mnie wreszcie!

Snorg podniósł głowę: to jeden z Dagsów wdrapał się do skrzynki z Moosy.

To się robi powoli nieznośne – pomyślał – nie można się im sprzeciwić... nie można sobie z nimi poradzić.

Dags przestał głośno sapać i zeskoczył na podłogę.

II Piecky miał opowiadać bajkę. Dagsy przymocowały mu rękę, którą mógł wykonywać bardzo ograniczone ruchy. Nieustannie drapał się nią po twarzy.

– To znakomite... to świetne... – powtarzał – nie umiecie posługiwać się swoimi ciałami...

Kilka uderzeń wymierzonych przez Dagsy doprowadziło go do porządku. Zaczął opowiadać:

– To był piękny sen... – Piecky przymknął oczy – unosiłem się w powietrzu... było cudownie... miałem takie czarne, płaskie skrzydła po bokach, jak pokazują czasem w wizorze... Powietrze poruszało się wraz ze mną... było cudownie chłodno... – mówił coraz ciszej, jakby do swoich myśli – obok leciała Moosy... jej skrzydła były jaskrawozielone... miała cztery skrzydła i trzepotała nimi tak, że żałowałem, że jestem tylko Piecky...

Z kąta rozległ się donośny bulgot.

– Tavegner prosi, żebyś opowiadał głośniej – powiedział Snorg, a następny głuchy bulgot to potwierdził.

– Dobrze... będę mówi głośniej – Piecky jakby się otrząsnął. – Pokój był coraz mniejszy i mniejszy – kontynuował... i wszystko stawało się coraz bardziej zielone. A w dole leciały oba Dagsy, leciały też tam gdzie my... i było cudownie, bo niebo, ku któremu leciałem, było wielkim ekranem wizora i widać było coraz wyraźniej ziarenka ekranu. Mogłem poruszać się we wszystkich kierunkach...

Z kąta, gdzie stała skrzynka z Moosy, rozlegał się cichy szloch. Snorg przyczołgał się w jej stronę.

– Potrzebujesz czegoś?

– Chciałam cię zawołać, bo gdyby przyszedł któryś z Dagsów, to znowu zrobiłby to, czego nienawidzę... Ułóż mnie obok Pieckygo, dobrze?

– Wzruszyłaś się jego opowieścią? – zapytał Snorg, przypatrując się Moosy. W odróżnieniu od Pieckygo miała wszystkie kończyny, choć niedorozwinięte i zmarniałe.

– To nie Piecky, to Tavegner – powiedziała przez łzy. – Gdy Piecky opowiadał, Tavegner prosił, żeby go tłumaczyć po literze... i wiesz, powiedział...

Snorg pokiwał głową.

– Powiedział, że chce iść na przemiał zamiast Pieckygo...

– Na przemiał? – nie zrozumiał Snorg.

– Piecky to już dawno odkrył – powiedziała Moosy – on uważnie analizuje wszystko, co mówią w wizorach. Wybiorą z nas tylko kilkoro najlepiej... najpoprawniej zbudowanych, a resztę na przemiał.

– Tak jak pokazują na ekranach i mówią, że to wojna? – upewnił się.

Skinęła głową.

– Połóż mnie obok Pieckygo... – powiedziała Moosy – on zawsze, gdy skończy opowiadać swój piękny sen, jest zupełnie załamany.

Z wielkim wysiłkiem wyciągnął Moosy z pudła i przytaszczył do kojca, w którym leżał Piecky i natychmiast musiał znowu ześlizgnąć się z powrotem na podłogę, gdyż Tib zaczęła się zanieczyszczać. Podsunął jej ssawę. Gdy skończyła, z całej siły uchwycił ją za biodra i uniósł się na kolana.

– Nie rób tego tak, dobrze?... – powiedział, patrząc na nią. Tib pochyliła głowę i spojrzała na jego twarz, wykrzywioną z wysiłku. Jej małżowiny uszne mocno odstawały i właśnie przeświecał je promień światła. Wydały mu się niezwykle piękne. Zacisnął odrętwiałe szczęki i uchwycił Tib za ramiona. Wyczuł, że ona mu w tym pomaga, nie odsuwa się do tyłu, lecz z całej siły stara się utrzymać prosto, jako jego oparcie. Nadal patrzyła na jego twarz. W jej uchylonych ustach widać było zęby. Snorg poczuł się wielki, gigantyczny... stanął, pierwszy raz stanął na swych sparaliżowanych nogach. Patrzył teraz na nią nawet nieco z góry... na wysoką aż pod niebo Tib.

Inni przerwali rozmowy. Postanowił zrobić krok. Czuł swoją moc... nagle ujrzał, jak jedna ze stóp wysuwa się w jej kierunku...

– Tib!... Idę... – to miał być krzyk, a wyszło chrapnięcie czy szloch. I nagle wszystko zakołysało się, Snorg runął jak długi na plecy

III Pokój miał jeszcze dwóch innych, stałych mieszkańców, z którymi Snorg w zasadzie się nie stykał, gdyż oboje wykorzystywali tę samą aparaturę co on. W czasie gdy on był aktywny, oni spali. Byli to Aspe i Dulf. Aspe kształtem przypominała Tavegnera, chociaż mu nie dorównywała rozmiarami. Piecky mówił, że jest bardzo inteligentna i złośliwa. Nie zdejmowała nigdy sztucznych rąk i robiła nimi dziwne psikusy Pieckymu albo Tavegnerowi. Snorg bardzo chciał porozmawiać z nią albo z Dulfem, który leżał nieruchomo skręcony w embrion, a jego niezwykle pomarszczona skóra przywodziła na myśl zgrzybiałą starość, chociaż był w wieku ich wszystkich, to znaczy zaraz po okresie dojrzewania.

Tib przestała zanieczyszczać Pokój, nauczyła się podchodzić do Snorga, gdy tylko czuła potrzebę. Snorg widząc to zwykle był w stanie zdążyć ze ssawą. Tib zaczęła na niego reagować: zdarzało się, że przechodziła w tę stronę Pokoju, gdzie właśnie leżał i stała w pobliżu, patrząc na niego. Była znacznie bardziej aktywna niż dotąd.

– Nie doceniałem cię Snorg – powiedział kiedyś Piecky – jesteś fajny facet... potrafiłeś nawiązać kontakt z tą chudą... – nigdy nie mówił o Tib inaczej jak „ta chuda"... – Mnie się nie udało, chociaż starałem się bardzo... Ty się zmieniłeś Snorg – mówił dalej – dawniej przypominałeś okrwawione nieustannie zwierzę... teraz widać myśl na twojej twarzy.

Zwierzę oznaczało coś brutalnego, bezmyślnego i potwornie silnego... Snorga cieszyła opinia Pieckygo i wiedział też dlaczego Piecky tak uważa. Od tamtego dnia Snorg ćwiczył upór i siłę woli. Od momentu, gdy siłą woli zmusił bezwładne nogi do zrobienia pierwszego kroku, wola stała się dla niego sprawą najważniejszą. Teraz potrafił już zrobić wiele kroków, chociaż kończyło się to często ryzykownym upadkiem. Wstawał wspierając się o ciało Tib, ale stąpał już samodzielnie, a ona tylko przytrzymywała go ręką. Po obudzeniu potrafił nawet czasem bez pomocy Dagsów i instalacji odzyskać władzę w rękach.

– Widać wolę na mojej twarzy – odpowiedział Pieckymu.

Piecky leżał z uniesioną głową i patrzył na niego.

– To prawda – powiedział – rysy twarzy ci stwardniały, kąciki ust obniżyły się... Musisz się spieszyć Snorg... czuję, że już niedługo będziemy tu razem.

Piecky stawiał na wiedzę i intelekt. Godzinami tkwił przed klawiaturą jednego z wizorów i jeśli tylko któryś z Dagsów nie odmontował mu dla kawału sztucznej ręki, nieustannie pisał na monitorze. Zdobywanie wiedzy i kontakt z maszyną były jego pasją. Snorg był przekonany, że aby uszczęśliwić Pieckygo, wystarczy zanieść go przed klawiaturę i ułożyć tak, aby mógł trwać w swojej pozycji przez kilka godzin.

IV Snorg postanowił nauczyć Tib mówić. Piecky poradził mu, żeby dał jej wyczuć wibracje strun głosowych na swojej krtani. W tym celu uchwycił ją za biodra, aby powstać. Zrobił to jednak zbyt gwałtowie i Tib upadła. Po raz pierwszy widział ją leżącą. Jeden z Dagsów korzystając z okazji błyskawicznie wcisnął się pomiędzy jej rozrzucone bezwładnie nogi. Snorg zamachnął się z całej siły i mały, trafiony na odlew, potoczył się po podłodze zalany krwią.

– Snorg!... – krzyknął Piecky. – Przestań!... Zrobisz mu krzywdę.



Wojtyński o Grabińskim

Po stycznej

...Wychodząc z systemu planetarnego przedstawiał sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu. Elipsy te jak na stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, oddziaływając na się odpowiednio. Wśród tej całej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić, że da się przez nie przeprowadzić linia prosta. Będzie nią styczna do elips łącząca ich krzywizny poza obrębem pól...

Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumiał. Nie natknął się jeszcze na swą styczną, w rzeczywistości życie jego wirowało ciągle po normalnej elipsie... niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zabłąkanej koleinie.

Gdzie miała zaprowadzić przypuszczalna droga nie wiedział. Ciemna siła wytrącała go powoli z przypisanego obiegu i pchała prosto przed siebie. Koniec stycznej ginął w nieprzejrzanych obszarach perspektywy...

– To moja krew – powiedział Snorg, oglądając dłoń – rozwaliłem sobie rękę o niego.

Tib pozbierała się już i usiadła. Dagsy nie zbliżały się do niej, bacznie obserwując Snorga.

Swoją drogą dobrze, że mu przyłożyłeś – powiedział Piecky – dostał też jakby ode mnie, za Moosy... Robią obaj z moją Moosy co chcą... i kiedy chcą.

Snorg ujął Tib za rękę i położył jej dłoń na swojej krtani.

– Tib – powiedział, wskazując palcem na nią.

Nadal patrzyła na niego w milczeniu.

– Tib – powtórzył.

Wyglądała na przestraszoną.

Przesunął dłonią po jej twarzy, dotknął różowego uszka i zdumiał się: Tib była pozbawiona otworu usznego.

– Piecky! – krzyknął,w pełni panując nad szczękami. – Jesteś genialny!... Ona jest zupełnie głucha... tylko przez dotyk... miałeś rację...

Z nowymi siłami zaczął powtarzać jej imię. Za którymś razem jej wargi poruszyły się i wydała dźwięk: grhb... stłumiony i głuchy. Wstała i kilka razy powtórzyła: – gyrdb... ghdb... – mówiła coraz głośniej, chodząc po Pokoju.

– Obudzi Dulfa – powiedział Piecky.

Snorg przywołał ją gestem. Usiadła. Znów zaczął powtarzać jej imię.

– Wiesz, widziałam dzisiaj z rana, jak Dagsy robią to ze sobą – powiedziała Moosy. Rano oznaczało porę, gdy na podłodze pojawiały się promienie słońca wpadające przez okienka pod sufitem. – Najpierw jeden to robił na drugim, a potem się zmieniły... – dokończyła.

– To się nigdy nie zdarza w ciągu dnia – zauważył Piecky.

– Może się nas wstydzą?

– Dagsy?!... – Roześmiał się. – Z takimi niskimi czołami?... To muszą być kretyni...

V Tib uczyła się szybko. Wkrótce umiała wymówić swoje imię, imiona Snorga i Pieckygo oraz kilka innych słów. Piecky uważał, że ona ma częściowo upośledzony również wzrok i większość informacji dociera do niej przez dotyk. Przyznawał jednak, że nie jest wcale pewien, czy jest to fizjologiczny niedorozwój, czy też mózg Tib nie potrafi należycie opracowywać danych dopływających przez oczy.

Coraz częściej zaczął budzić się Dulf. Nie zmieniał nigdy swojej pozycji na podłodze, chociaż poruszał powiekami i nawet mówił. Jego wymowa była zabawna: jąkał się i miał kłopoty z doborem słów. Snorg chciał dowiedzieć się, jak Dulf potrafi radzić sobie bez pomocy aparatury, ale Dulf nie rozumiał znaczenia słowa „wola" i na razie nie było o czym z nim dyskutować. Dagsy próbowały kiedyś rozprostować Dulfa na podłodze, ale okazało się, że jest zrośnięty w kabłąk. Piecky stwierdził, że jest to niemożliwe i że jedynym rozwiązaniem może być tylko to, że Dulf jest parą zrośniętych bliźniąt i ma maleńkiego braciszka przyrośniętego w rejonie brzucha.

– Swoją drogą, Snorg... – powiedział Piecky, unosząc do góry swoją jedyną, sztuczną kończynę znad klawiatury – ...zauważyłeś, jak nasze życie ulega szybkim zmianom?... Dotąd myślałem, że rządzi się ono ustalonymi prawami: ty czołgałeś się po ziemi, Tib stała jak kloc, Dulf mówił tylko wtedy, gdy ty byłeś nieruchomy, a teraz?...

– Do czego zmierzasz, Piecky?

– Oczekują nas poważne zmiany... bardzo poważne... Pamiętasz, jak było dawniej, tak całkiem dawno?... – mówił Piecky chaotycznie.

Snorg kiwnął głową.

– Dawniej każdy z nas miał przed nosem ekran, który uczył każdego z nas wszystkiego i pokazywał, jaki jest świat i jaki powinien być... Każdego z nas oplatała pajęczyna przewodów, które pobudzały nasze mięśnie do działania, nasze organy, cały organizm... wszystko, żeby nas utrzymać przy życiu...

– Pamiętam jak przez mgłę, że tak było... – przerwał Snorg.

– Właśnie!... – Piecky ożywił się. – Rąbią w nas narkotyki, czy inne prochy... zapominamy... Chociaż może oni chcą, żeby ta wiedza lądowała gdzieś głębiej w nas... w podświadomości.

Snorg zauważył, że Piecky wygląda bardzo źle: na jego wspaniałej twarzy widać było zmęczenie, pod oczyma miał ciemne sińce, był bardzo blady.

– Zbyt dużo czasu spędzasz przed ekranem. Wyglądasz coraz gorzej... – powiedział Snorg.

Natychmiast zainteresował się Pieckym jeden z Dagsów. Wyraźnie chciał przenieść go w inne miejsce, chociaż na razie tylko lekko gładził go po twarzy i ciągnął za włosy.

Piecky spojrzał porozumiewawczo na Snorga.

– Widzisz... – powiedział – one jednak rozumieją wiele. Sam się niedawno przekonałem... Nie rozumiem dlaczego obaj chcą uchodzić za kretynów.

Dags wymierzył Pieckymu policzek i gniewnie odbiegł w inną część Pokoju. Piecky uśmiechnął się.

– Ty, Snorg, myślisz, że ja się bawię... że wystarczy posadzić Pieckygo przed ekranem i przymocować mu jego sztuczną rękę i będzie zadowolony, co?

Snorg miał niewyraźną minę.

– Snoegg – powiedziała Tib. Umiała wyciągać ssawy ze ścian i nie zanieczyszczała już Pokoju, ale jeszcze nie potrafiła poradzić sobie z chowaniem przewodu. Snorg pomógł jej i zaraz wrócił do Pieckygo.

– Dzięki wizorowi dowiedziałem się już wielu rzeczy... Wiesz Snorg, że takich pokoi, jak nasz, jest bardzo wiele?

... Żyją w nich tacy sami, jak my... Jedni bardziej, inni mniej upośledzeni... Można te pokoje oglądać, bo wszędzie są nie tylko ekrany, ale i kamery... my też jesteśmy nieustannie podglądani... Wydaje mi się, że ich obiektywy są gdzieś w pobliżu sufitu, ale bardzo trudno je wypatrzeć... Wiesz, w jednym z tych pokoi, takim ciemnoniebieskim, żyje taki sam Piecky, jak ja... ma na imię Scorp. Porozumieliśmy się: on mnie oglądał na ekranie, a ja jego... też ma sztuczną rękę...

– Może my nie zasługujemy, żeby tak żyć, jak ci poprawnie zbudowani, których pokazują na ekranach?... – powiedział Snorg.

Piecky aż fuknął ze złości.

– Przestań!... Już cię zgnoili... masz poczucie winy... – od gwałtownych poruszeń rozluźniły się paski przytrzymujące jego sztuczną kończynę. Snorg poprawił jej umocowanie.

Przenikliwe oczy Pieckygo nadal rzucały błyskawice.

– To oni wytwarzają w nas poczucie winy... – wyrzucił z siebie – jeszcze nie wiem, po co oni to robią... ale dotrę do tego... tak, jak wyciągnąłem z tych cholernych ekranów znacznie więcej, niż miałem wiedzieć...

Snorg był zdumiony mocą, która biła od Pieckygo. Dotąd uważałem, że wola jest moją specjalnością... – pomyślał. Widocznie jego twarz wyrażała zdziwienie, które Piecky odczytał jako niewiarę, gdyż przekonywał go dalej.

– Zwróć uwagę, Snorg... każdy program, każda informacja... jaki człowiek być powinien, ręce... takie i takie... nogi... takie i takie, tak jest dobrze... a my?... a ja?... strzępek człowieka?... to moja wina?... rozumiesz?!... Po co oni nam to stale powtarzają?

Snorg milczał. Stwierdził, że Piecky jest niezwykle mądry, można od niego nauczyć się patrzeć inaczej i widzieć więcej, niż dotąd. Ale obok usiadła Tib i zaczęła tulić twarz do jego twarzy. To delikatne dotknięcie było rzeczą, którą Snorg lubił najbardziej.

– Boję się, że nie zdążę już dowiedzieć się wszystkie-

go... już chyba zbyt mało czasu... – dokończył Piecky ciszej, widząc, że Snorg już go nie słucha.

VI – Pieckyy! – zawołała Moosy.

– Przestań... on śpi – powiedział Snorg.

– To podejdź tu i popatrz na Aspe – powiedziała – ona nie oddycha.

Powstanie o własnych siłach kosztowało Snorga kilka sekund strasznego napięcia. Wydawało się, że Aspe leży jak zwykle: nieco zgięta, ze zmarniałymi rękami podwiniętymi pod wielką, płaską twarz. Snorg przyjrzał się jej.

– Ona śpi, jak zwykle...

– Mylisz się, Snorg. Przyjrzyj się jej uważnie.

Odwrócenie Aspe twarzą do góry było ponad jego siły. Na szczęście w pobliżu pojawiły się wścibskie Dagsy. Wspólnymi siłami udało się ją ruszyć. Ciało było zimne i już sztywniało.

– Cholera... miałaś rację... to nastąpiło dość niedawno – powiedział głucho – nawet nie zamieniłem z nią jednego słowa... zawsze spała... obudzić Pieckygo?

– Nie... i tak się dowie... – odrzekła. – Nie rozumiem jej śmierci. To się nie zgadza z tym, co mówi Piecky – dodała.

Snorg siedział z twarzą w rękach. Usłyszał za sobą cichy, bełkotliwy dźwięk i odwrócił się. Tavegner płakał. Łzy, jedna za drugą, ściekały po jego czerwonych, zwisających policzkach.

– Odwróć mnie na plecy. Skóra na brzuchu pali mnie tak, że chyba dostałam już odleżyn – poprosiła Moosy.

– Leżąc na brzuchu, jesteś jakoś zabezpieczona przed Dagsami – zauważył.

– Dla nich to żaden problem odwrócić mnie na plecy, kiedy im przyjdzie ochota – odpowiedziała.

Ciało Aspe zniknęło, gdy wszyscy spali i nikt nie był w stanie powiedzieć, jak to zostało wykonane.

Widząc, że Piecky siedzi zmęczony przed klawiaturą, Snorg postanowił nawiązać do rozmowy z Moosy. Ułożył Pieckygo wygodniej i przysiadł się.

– Śmierć Aspe nie przeczy moim spostrzeżeniom – odpowiedział Piecky – prawa, które nami rządzą, działają statystycznie... po prostu: najpierw nas wszechstronnie badali i wybrali zdolnych do przeżycia... a może po prostu inni zmarli... potem odrzucili niezdolnych do nauki, takich zupełnych kretynów, i uczyli nas intensywnie na różne sposoby...

Snorg spojrzał na harcujące Dagsy, a potem na Pieckygo, który odpowiedział mu uśmiechem.

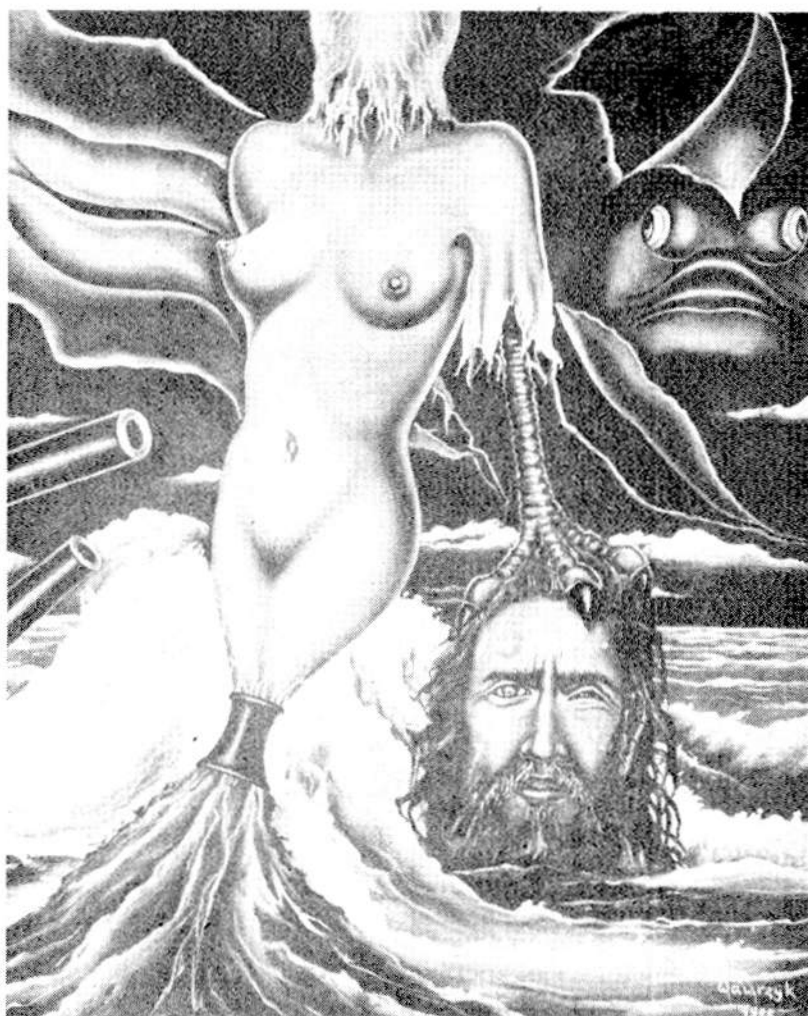
– O to chodzi – ciągnął Piecky – Aspe umarła, bo ich badania nie są dość precyzyjne... a może po prostu właśnie przeżycie jest testem...

– Co dalej? – zapytał Snorg.

Piecky wyrażał całym sobą kompletną bezradność.

– Jestem przekonany, że nic dobrego... w każdym razie sobie nie wróżę nic dobrego... powiedział z wahaniem. – Widzisz Snorg, udało mi się wejść do systemu centrum informacyjnego, które nas obsługuje... widziałem różne pokoje... W każdym z nich są ludzie... – mówiąc słowo „ludzie" rzucił szybkie spojrzenie na Snorga – ludzie w naszym wieku lub niewiele młodsi od nas... gdy bardzo młodzi, to siedzą przed ekranami i ładuje się w nich wiedzę, gdy w naszym wieku, to robią to, co my teraz robimy: żyją... obserwują... komunikują się... ale jeszcze nie znalazłem pokoju z ludźmi dużo starszymi... Jest jakaś bariera informacyjna... na bezpośrednie pytania system odpowiada milczeniem... ale to wszystko się już wkrótce wyjaśni... czuję to, Snorg.

VII W oczy Snorga uderzył silny blask. Przez chwilę nie był w stanie zogniskować wzroku. Uświadomił sobie, że opuścił Pokój. Leżał na czymś twardym w pomieszczeniu, które wyglądało na olbrzymie. Odczuwał osamotnienie, gdyż nie było tu nikogo spośród jego współmieszkańców. W



L. Wawrzyk

drugim końcu siedział nieznajomy mężczyzna. Wydał mu się niezwykle stary, choć po prostu był starszy od tych, wśród których Snorg się dotąd obracał. Mężczyzna zauważył przebudzenie Snorga i podszedł, wyciągając rękę.

– Nazywam się Bablyoyannis Knoboblou – powiedział.

Snorg powoli, z wysiłkiem woli gramolił się z posłania.

– Gratuluję, Snorg. Z dniem dzisiejszym stał się pan człowiekiem. Był pan najlepszy... – Snorg zdążył uścisnąć prawicę tamtego. Bardzo chciał wiedzieć, jaka ta ręka była w dotyku.

– Mam tu świadectwo centrum informacyjnego – mężczyzna podniósł z pulpitu kilka kartek – oraz pozytywną decyzję komisji złożonej z ludzi... Otrzyma pan dowód tożsamości i może wybrać sobie nazwę.

– Cco?... – wybąkał w końcu Snorg.

Tamten sprawiał wrażenie życzliwego urzędnika, który załatwia dość miłą, lecz rutynową sprawę.

– Przeglądałem pańskie wyniki... – Bablyoyannis nadal wpatrywał się w trzymane papiery – 132 punkty... nieźle... ja w swoim teście, kiedyś, miałem 154... – pochwalił się. – Ten Piecky niebezpiecznie zbliżył się do pana, miał 126 punktów... ale brak kończyn... narządów rozrodczych... to bardzo trudno nadrobić własną inteligencją... swoją drogą to lepiej, że ktoś zbudowany jak pan, został wytypowany, a nie jakiś tam kadłubek...

Chciałbym ci rozbić pysk, gnojku – pomyślał Snorg.

– Piecky jest moim przyjacielem – powiedział, czując znajome odrętwienie szczęk.

– Lepiej nie mieć przyjaciół, zanim nie zostanie się człowiekiem... – zauważył Bablyoyannis. – Chce pan znać wyniki?... – Snorg milczał, więc Bablyoyannis odpowiedział na swoje pytanie. – Moosy 84, Tib 72, Dulf 30... reszta prawie zero: Dagsy po 18, i ten wór, Tavegner 12...

Wojtyński o Grabińskim



W willi nad morzem

...Był zupełnie podobny do matki, którą znałem tylko z portretu zawieszonego w salonie. Szczególnie fascynująco musiały działać jej duże, czarne oczy, pełne niewysłowionej słodyczy i głębi wyrazu. Podobnie w kraju, zanim wyszła za mąż, budziła wszędzie podziw i zazdrość, była przedmiotem pragnień wielu i powodem kilku gorących afer. Mówiono nawet, że ową tajemniczą nieznajomą, której wdzięki opiewał tak wytwornie w swych sonetach Stanisław Prandota, nie był nikt inny tylko Róża z Wrockich. Adaś miał te same, namiętne, palące oczy i białą, jak alabaster cerę twarzy, tak bardzo podnoszącą ich wyraz...

– Mama już nie wróci – Adaś potrząsnął smutno głową.

– Coś panu pokażę...

Ująwszy mnie za rękę pociągnął mnie w ogród. Przeszedłszy szpaler tui, stanęliśmy przed altaną.

To co ujrzałem wtedy wryło się w mej duszy na zawsze ponurym obrazem.

W wąskim przesmyku między tylną ścianą altany a murem ogrodowym ujrzałem świeżo usypany nieudolną dłonią grób z małym, z gałązek złożonym krzyżykiem w środku...

– To ty? Kiedy? Po co?

– Tatuś kazał...

– Tatuś?

– Tak, w nocy, we śnie, wiele lat temu. Śniło mi się, że podszedł do mojego łóżka, wziął za rękę i zaprowadził tutaj. Potem usiadł w altance na ławce, dał mi moją łopatkę i kazał sypać z tej strony grób...

W tej chwili usłyszeliśmy za sobą lekki szelest.

Za nami, ciężko oparty o róg chodnika, stał blady jak płótno, dziko uśmiechnięty Norski...

Snorg słyszał pogardę w jego głosie i czuł narastającą nienawiść do tego człowieka. Wydawało mu sie, że byłby nawet w stanie go zabić.

– Co teraz bedzie ze mną? – zapytał. Skurcz szczęk nie ustępował.

– Jako człowiek ma pan możliwość wyboru... wkracza pan w normalne życie w społeczeństwie... krótkie przeszkolenie... a potem może pan nadal się kształcić lub podjąć prace... Od dzisiaj uzyskuje pan także kredyt finansowy w wysokości 400 pieniędzy, przysługujący każdemu, kto staje się człowiekiem. Ale osobiście odradzam panu robienie operacji kosmetycznych przed uzyskaniem stałego źródła dochodów. Ostatecznie małżowiny uszne nie są aż tak ważne – posłał Snorgowi porozumiewawcze spojrzenie – później też znajdzie pan coś ekstra... – zawsze jest duży wybór.

Snorg poczuł zimny dreszcz spływający po karku: przed oczyma stanęła mu Tib.

– Co będzie teraz z innymi?... – wydusił w końcu.

– A tak... to też ma pan prawo wiedzieć. – Bablyoyannis był zniecierpliwiony. – Zawsze rodzi się znacznie więcej osobników, niż potem zostaje ludźmi... Oni pójdą na materiał na przeszczepy. Można przecież z nich wybrać niezłe uszy... oczy... wątroby... Chociaż z niektórych nawet tego nie będzie. Taki Tavegner nadaje się chyba wyłącznie jako materiał do kultur tkankowych.

– To nieludzkie! – wyrwało się ze ściśniętych ust Snorga.

– Co nieludzkie?! – Bablyoyannis poczerwieniał – nieludzkim było rozpoczęcie wojny... Teraz sto procent populacji rodzi się upośledzone fizycznie, a trzy czwarte psychicznie... i to z reguły rodzi się przez sztuczne zapłodnienie. Pretensje może pan mieć tylko do naszych pradziadów.

Snorg nie wyglądał na przekonanego, więc Bablyoyannis wyjaśniał dalej.

– Liczbę narodzin zwiększa się do maksimum, żeby zwiekszyć prawdopodobieństwo powstania osobników zbliżonych do normalnych... – popatrzył badawczo na Snorga – a inni... to najtańszy sposób wytwarzania materiału... przecież ci wybrani też nie są zupełnie normalni, prawda Snorg?

Ale Snorg nie przytaknął.

– Pracuję w tej branży już siedem lat... – mówił dalej Bablyoyannis – i jestem przekonany, że właśnie ta droga jest jedynie słuszna...

– Pan też nie jest całkowicie poprawny... powłóczy pan lewą nogą i pańska twarz jest chyba częściowo sparaliżowana, Bablyoyannis – zauważył Snorg.

– Wiem, że to widać – tamten był przygotowany na tę uwagę – ale solidnie pracuję i odłożyłem pieniądze prawie na całą rękę... na przeszczep.

VIII

Tibsnorg Pieckymoosy rozpoczął pracę w centralnym archiwum materiału biologicznego. Jednocześnie nadal się uczył. Zarobki, jakie otrzymywał były dość wysokie, jednak po potrąceniu raty za dotychczasową opiekę zostawało z nich niewiele. Opłata za wyżywienie oraz mały, ciemny pokoik pochłaniał resztę poborów tak dokładnie, że pozostawała mu kwota symboliczna. Żywił się syntetycznym pożywieniem w zbiorowej stołówce. Lepsze to niż dotychczasowa kroplówka. W stołówce spotykał ciągle tych samych ludzi i było to nudne, ale stwierdził, że na razie nie stać go na droższą jadłodajnię, gdzie można było przychodzić o różnych porach. Ze spotykanymi w stołówce ludźmi prawie nie rozmawiał. Wszyscy oni byli starsi od niego. Kilku przyjeżdżało na posiłki na wózkach, lecz większość przychodziła o własnych siłach. Obserwował ich uważnie i nie spotkał nikogo, kto byłby zbudowany w pełni poprawnie – u każdego wykrywał defekty.

Tibsnorg miał sporo szczęścia; gdyby osiągnął w testach poniżej 120 punktów, nie mógłby się dalej kształcić. Zależało mu jednak, żeby pracować, ponieważ obawiał się wspomnień, które niósłby z sobą wolny czas. Teraz za wszystkie zabiegi musiałby płacić, a pamiętał jeszcze, dzięki komu potrafił wstać o własnych siłach i przezwyciężyć paraliż ciała. Jako człowiek, miał prawo do prawdy i oprócz pięknych obrazów z syntezatora przedstawiających krajobrazy, ludzi zbudowanych poprawnie, czy istniejące kiedyś zwierzęta, oprócz obrazów przedstawiających świat takim, jak miał wyglądać, czy może, jak kiedyś wyglądał, miał także prawo wiedzieć, jak wygląda teraz. Co pięć dni, po zakończonej pracy mógł wyjechać na powierzchnię i z wysokiej wieży widokowej oglądać otoczenie. Była to szarobrunatna pustynia, po której nieustannie krążyły szare, masywne pojazdy wożące urobek z licznych kopalń. Wiedział, że pojazdami tymi kierują ludzie, którzy nie mogą mieć potomstwa, gdyż tło promieniowania na pustyni było zbyt duże. Do stołówki przychodził jeden taki kierowca. Wyglądał w pełni poprawnie i zarobki miał trzykrotnie wyższe, a jednak Tibsnorg nie zamieniłby się z nim.

Badania, które Tibsnorg kazał wykonać na sobie za pierwsze zaoszczędzone pieniądze, pokazały, że jest zdolny do rozmnażania, chociaż prawdopodobnie tylko pasywnie, to znaczy przez pobranie nasienia. Wkrótce opanował zasady pracy z komputerem i nieznacznie awansował. Jego nowe zajęcie polegało na kontrolowaniu decyzji wydzielonego oddziału centrum informacyjnego, dotyczących wyboru odpowiedniego materiału do przeszczepów spośród przechowywanych egzemplarzy. Decyzje centrum były jasne, przejrzyste i logiczne i nie wymagały na ogół poprawek. Za wyszukanie usterki była wyznaczona dodatkowa nagroda i Tibsnorg pracował bardzo uważnie. Materiał pobierano zarówno dla szpitali powszechnej służby medycznej, jak i dla osób, które na własny koszt chciały zmniejszyć swoje upośledzenie. Pracy było dużo: codzienne kilkadziesiąt zapotrzebowań i związanych z tym decyzji, z którymi należało się zapoznać i je przemyśleć. Wkrótce wpadł w rutynę i zaczął mieć sporo czasu, który wykorzystywał na porozumiewanie sie z maszyną i uzyskiwanie różnych informacji.

Pamiętał słowa Pieckygo, który mówił, że ponieważ informacja jest przywilejem, zatem należy z niego korzystać w miarę możliwości. Dowiedział się, że o tym, czy ktoś zostanie człowiekiem, czy też nie, decyduje zwykle zsumowanie punktów przyznanych przez system na podstawie badań i szacunków. Oznaczało to dość duży margines błędu. Dowiedział się też, że to, iż został człowiekiem, zawdzięcza osobiście Bablyoyannisowi, który zmienił decyzję centrum przyznającą człowieczeństwo Pieckymu. W rzeczywistości, liczba punktów uzyskanych przez Pieckygo za zdolności intelektualne przewyższała to, co Snorg uzyskał w sumie za sprawność fizyczną, poprawność budowy i intelekt. Gdy ujrzał na ekranie, że za zdolności Tib otrzymała dokładnie zero punktów, zaklął szpetnie. Zawsze intrygowało go światło dnia wpadające do Pokoju, teraz wiedział już, że była to tylko lampa świecąca widzialnie i także nieco w ultrafiolecie, zapalana i gaszona periodycznie. Pokój znajdował się głęboko pod ziemią. Na powierzchni ujrzał słońce tylko raz: jasnoszarą tarczę przeświecającą przez gęstą mgłę. Teraz było i tak lepiej, gdyż dawniej, kiedy ziemię stale pokrywały śniegi, słońce nigdy nie przeświecało przez chmury.

IX

Tibsnorg Pieckymoosy coraz dokładniej poznawał pracę systemu ewidencji materiału biologicznego. Tib, Piecky i inni otrzymali oznaczenia porządkowe ATØ 44567743 do ATØ 445667749 i nie posiadali już imion. Wkrótce też od numeru 44567746, czyli od Moosy pobrano oko, nos wraz z jedną z nerek do przeszczepu kosmetycznego. Tibsnorg wprawdzie wypowiedział się przeciwko wyznaczeniu numeru ATØ 44567746 do tej operacji, ale jego opinia została pomi-

nięta, ponieważ inni rzeczoznawcy głosowali inaczej. Przeżył to boleśnie, nadal bowiem czuł więź z Moosy i innymi. Następny był Dags z numerem 44567748. Operacja była letalna: pobrano Dagsowi przełyk z żołądkiem, wątrobę, jelita, obie dłonie oraz zewnętrzne narządy rozrodcze, bez gruczołów. To, co pozostało, nie było zdolne od życia i dlatego jedynie skórę oraz mięśnie i kości rąk zachowano w magazynie kultur tkankowych, zaś numer 44567748 został zdjęty z ewidencji.

Koszt każdego z narządów obliczano na podstawie dotychczasowych kosztów utrzymania osobnika. Najprostsze były pobrania wywołujące zdjęcie numeru z ewidencji, gdyż wówczas po prostu dzielono koszty dotychczasowego utrzymania materiału, z odpowiednimi przelicznikami, między wszystkich biorców organów. Przy innych typach przeszczepów stosowano bardzo złożone i niejasne sposoby obliczeń i Tibsnorg podejrzewał, że tylko system orientuje się w nich dokładnie.

Ciekawe, który numer bym dostał, gdyby nie Bablyoyannis?... – zastanawiał się. – Może chociaż obok Tib?

W stołówce nie siadywał już sam. Nawiązał kontakt z kierowcą, który pracował na maszynach przywożących urobek z kopalni metali. Tamten nazywał się Abraham Dringenboom i był wysokim, zwalistym człowiekiem, bardzo dumnym ze swojej nazwy, wyszperanej gdzieś w bibliotece historycznej. Dringenboom miał niski, tubalny głos i mówił bardzo głośno, co peszyło Tibsnorga, gdyż w stołówce zwykle panowała cisza. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na nich, chociaż było to zupełnie bez sensu, ponieważ nie wzbudzali niczyjego zainteresowania, a ponadto wielu spośród obecnych miało słuch upośledzony w większym lub mniejszym stopniu.

– Tibsnorg Pieckymoosy? – zadudnił Dringenboom. – Dziwnie imiona... dlaczego wybrałeś właśnie takie?...

– Jest we mnie wielu – powiedział cicho Snorg.

– Hmm... – mruknął Dringenboom – tak sobie wymyśliłeś? Nie jest dobrze wiązać się zbytnio ze współmieszkańcami Pokoju. – Nagle zmienił temat. – Wiesz, że dzisiaj średnia długość życia człowieka osiągnęła już 24 lata... Nie chce mi się w to wierzyć... to zbyt piękne... myślę, że oni jednak trochę wygładzają dane medyczne, żeby nie psuć naszych humorów...

– Jak oni to obliczają?... – zaciekawił się Tibsnorg. – Dla wszystkich osobników, które się rodzą, czy tylko dla ludzi?

– Zgłupiałeś?... Dla ludzi, oczywiście że dla ludzi, przecież żywy rodzi się ledwie co dziesiąty...

Tibsnorg przypatrywał się Dringenboomowi z uwagą. Tamten wyglądał niemal zupełnie poprawnie. Wprawdzie był ubrany w szarą kurtkę i spodnie i ciało nie było widoczne, ale oprócz zoperowanej zajęczej wargi, ukrytej zresztą pod siwiejącym zarostem, nic nie wskazywało na odchylenia do normy.

Jakby śledząc jego myśli, Dringenboom poruszył się.

– Miałem całą skórę na tułowiu pokrytą brodawkami na wstrętnych, długich szypułkach... to już mi zoperowali... Ale największa różnica jest w gaciach – Dringenboom skrzywił się – nie martw się, Tibsnorg... kupię sobie takiego... że mi starczy na pięcioro żywych dzieci... mam już uskładane 1620 pieniędzy... – dodał wyczuwając niewiarę Tibsnorga.

1620 pieniędzy było niewyobrażalnie wielką kwotą: Tibsnorg był w stanie oszczędzić 22, 24 pieniądze ze swoich dziesięciodniowych zarobków. To były pieniądze, za które można by chyba było wykupić całą Tib na własność, oczywiście jako materiał biologiczny. Coraz częściej przed oczyma stała mu jej smukła, zgrabna sylwetka, okolona burzą kolorowych włosów. Jego sny nieodmiennie wiązały się z Pokojem. Przewijały się w nich postaci jego bliskich. Zaś Tib występowała w nich stale.

Tibsnorg wynajął nieco lepszy lokal z widokiem na zewnątrz. Lokale znajdujące się na powierzchni należały do rzadkości. Był zaskoczony, gdyż nowy pokój wprawdzie nieco mniejszy niż poprzedni i tylko z dwoma wizorami, a nie trzema, to jednak kosztował tylko osiem pieniędzy drożej. Zrozumiał dopiero, gdy dowiedział się, ile wynosi tło promieniowania w lokalach znajdujących się na powierzchni. Okno jednak rekompensowało wiele. Spędzał godziny wpatrując się w nieprzeniknione, ołowiane chmury nad szarobrunatnymi, pustymi wzgórzami. Krawędź lądolodu nie była widoczna z okna, ponieważ znajdowało się zbyt nisko ponad powierzchnią terenu. Widać ją było jedynie z wieży widokowej w bardzo jasne dni oraz przez dobrą lunetę. Krajobraz, chociaż nie tak piękny, jak zsyntetyzowany, ciągnął z nieprzepartą siłą. I chyba dlatego Tibsnorg zgłosił się do pracy, jako kierowca transportu zewnętrznego. Nie bez znaczenia były też wysokie zarobki umożliwiające stosunkowo szybkie oszczędzenie wyższej kwoty.

W biurze transportu przyjął go urzędnik w fotelu inwalidzkim. Niknął prawie za biurkiem, jednak w jego wzroku było coś takiego, co skłaniało do ostrożności. Gdy Tibsnorg osobiście wyłożył swoją propozycję, tamten spojrzał badawczo.

– Pan jest neutralny, czy płciowy?

– Neutralny... – skłamał Tibsnorg, wiedząc że to warunek konieczny do zatrudnienia. Urzędnik uprzejmie pokiwał głową i nieproporcjonalnie drobną dłonią napisał coś na klawiaturze. Spojrzał na ekran i rysy jego stwardniały. Zanim otworzył usta, wiadomo było, że rozmowa jest skończona.

– Nie można tak szafować swoimi możliwościami, to jest naprawdę wyniszczająca praca... – Urzędnik odwrócił tyłem fotel, kończąc rozmowę.

Dringenboom o mało nie uderzył Tibsnorga, gdy się o tym dowiedział. Wyszarpnął ze złością z kieszeni kombinezonu swój wskaźnik: mały, różowy kawałek tworzywa.

– Patrz głupcze!... – Wskazał masywnym paluchem na płytkę. Gdy Dringenboom się denerwował, nie był w stanie powstrzymać silnego drżenia rąk. Jego palec skakał we wszystkie strony wokół różowego prostokąta. – Jak się zrobi czerwony, to strzelę w kalendarz... – Jasne oczy Dringenbooma błyszczały na tle jego opalonej twarzy, która teraz była zupełnie czerwona. Zarabiał tak dużo, że mógł sobie pozwolić na opalanie skóry.

– Gdzie się pchasz?... Do piachu?! – dodał rozzłoszczony.

– Stać cię na naświetlanie sztucznym słońcem... – powiedział cicho Tibsnorg.

– No to co, durniu!?... Co to warte? Ty możesz mieć bab na pęczki... nawet jeśli ci brakuje w gaciach wszystkiego oprócz gruczołów. Gruczoły są najdroższe... cała reszta... całe mięso nie kosztuje więcej niż 600, 800 pieniędzy.

– Fizycznie jestem w porządku – wybąkał Tibsnorg – to jest jakiś niedorozwój nerwów obwodowych.

– To jeszcze taniej... nie opędzisz się od bab... rozerwą cię na kawałki... żyć, nie umierać!... chłopie...

Tibsnorg chwilę zastanawiał się, czy mu powiedzieć o Tib, ale zrezygnował i na tym rozmowa się urwała.

Ab Dringenboom był jedynym człowiekiem, z którym Tibsnorg utrzymywał stałe kontakty, jeśli nie liczyć zdawkowych słów zamienianych z przypadkowymi towarzyszami przy stole. W porównaniu z Pokojem, prowadził teraz niemal samotniczy tryb życia. Nie szukał kontaktów z innymi ludźmi, żyjąc wspomnieniami. Inne kobiety, spotykane w stołówce lub na korytarzach, nie mogły się z nią równać: były brzydkie lub ich ułomność zanadto rzucała się w oczy. Zaczął wprawdzie, zgodnie z przepisami, nosić czerwoną naszywkę oznaczającą, że nie jest neutralny, ale nie zmieniło to w najmniejszym stopniu jego zachowania. Stał się może tylko nieco bardziej szorstki dla kobiet, które teraz go nieco natarczywiej nagabywały. Może rzeczywiście, gdyby nosił dwie

naszywki oznaczające pełne możliwości, działoby się to, o czym mówi Dringenboom, ale tak raczej miał spokój.

Kilka dni później Ab przyniósł ponurą nowinę.

– Mam raka – powiedział głucho, patrząc w talerz z zupą, niesmaczną, śluzowatą, ale posiadającą pełny zestaw witamin i mikroelementów.

– No i co... połowa ludności ma raka. – Tibsnorg wzruszył ramionami.

– Jest już w fazie C – dorzucił Dringenboom.

– Masz przecież 1620 pieniędzy... to wyjdziesz z tego... – Snorg nie wydawał się być zbyt przejęty.

– 1648 pieniędzy – poprawił go Dringenboom – ale to i tak gówno, za mało... Mam takiego, co się cholernie szybko sieje. Na leczenie pójdzie przynajmniej półtora tysiąca... i nigdy sobie nie sprawię kutasa...

Tibsnorga drażniła jego wulgarność.

– Dlaczego dopuścili do fazy C? To jest już bardzo zaawansowany. Możesz zaskarżyć dział medyczny.

– To moja wina... – powiedział Dringenboom – nie robiłem sobie badań, bo kosztują, a chciałem szybciej zebrać pieniądze, zanim mój wskaźnik zdąży zupełnie zczerwienieć.

– Przysługuje ci przecież bezpłatna, podstawowa opieka medyczna, jak każdemu człowiekowi...

– Dziękuję... – oczy Dringenbooma były matowe i przygasłe, w jego głosie wyczuwało się wyraźnie wadę wymowy, wywołaną źle zoperowaną zajęczą wargą – zostawią mi mózg, oczy i część systemu nerwowego, a resztę usuną i spalą, bo powiedzą, że jest zbyt narażona na przerzuty. Potem zrobią ze mnie jednostkę sterującą koparką w kopalni albo taśmą produkcyjną...

– Myślę, że umieją leczyć go inaczej, niż tylko przez wymienianie chorych organów... ale nie ogłaszają tego ze względów ekonomicznych... za bardzo spadłoby wtedy zapotrzebowanie na przeszczepy. – Powiedziawszy to Tibsnorg zaczął się zastanawiać: 1648 pieniędzy to prawie wartość całego ciała Tib. A przecież Ab i tak niedługo skończy... znaczek ma już bardzo ciemny... Ile organów sobie kupi? dwanaście?... czternaście?... w końcu i tak utraci ciało – myślał – a to dla niego gorsze niż śmierć. Jak zdobyć te pieniądze?

Dringenboom przypatrywał mu się bez słowa.

X

Od tego czasu Dringenboom zmienił się. Stał się bardziej skryty i mniej pewny siebie. Gdy Tibsnorg powiedział mu o Tib, przyjął to z niechęcią, ale spokojnie. Uważał, że nie ma to najmniejszego sensu i że Tibsnorg powinien raczej rozglądać się za kobietami spośród ludzi, a nie szukać ich wśród materiału biologicznego. Ostatecznie wartość całej Tib była tak wysoka, że trzeba by oszczędzać na nią chyba przez całe życie, a wcześniej i tak inni wykupią różne części jej ciała.

Zgodził się natomiast zabrać Tibsnorga na przejażdżkę. Ab był kierowcą jednej z wielkich ciężarówek przewożących urobek z pobliskiej kopalni odkrywkowej.

Wóz pokonywał stosunkowo długi dystans zapyloną drogą wiodącą pośród wzgórz pokrytych szarym pyłem, unoszonym przez wiatr.

– Wystarczy kilkanaście wdechów tego pyłu... – Dringenboom wyszczerzył zęby zza niesymetrycznych warg.

Tibsnorg spojrzał na niego z przestrachem.

– Do środka leci przez niezły filtr, tak, że starczy na kilkaset tysięcy wdechów... – roześmiał się Dringenboom.

Kopalnia odkrywkowa była ruinami dawnego miasta, z których odzyskiwano metale. Gigantyczna koparka wcinała się w pogiętą żelbetową konstrukcję dawnego budynku lub fabryki. Dringenboom czekał w kolejce na urobek. Wreszcie kilka pozycji żelbetowych konstrukcji, pyłu i gruzu znalazło się na jego pojeździe.

– Dziennie wykonuję cztery, pięć kursów... zawsze podają mi z centrum informacyjnego optymalną trasę przejazdu, na której jest najniższy poziom promieniowania... To się lubi często zmieniać... jak wieje wiatr, albo jak pada deszcz lub śnieg.

Dringenboom wskazał palcem na ekranik.

– Aktualny poziom tła mierzony jest również na bieżąco. Dzisiaj jest niski, ale czasem dzwoni, aż strach jechać... W takie dni płacą nam dwa albo trzy pieniądze premii dodatkowo.

W drodze powrotnej pozwolił Tibsnorgowi trochę poprowadzić ciężarówkę. Sprowadzało się to tylko do wydawania poleceń, gdyż pojazdem sterował bezpośrednio procesor.

– W razie czego komputer i tak doprowadzi ciężarówkę z powrotem... – powiedział Dringenboom – gdybyś zasłabł, albo nagle zmarł... urobek nie może się zmarnować...

Na jednym ze wzgórz wznosił się osamotniony budyneczek do połowy przysypany pyłem. Zachował się cały, nawet z dachem, drzwiami i szkłem w oknach.

– Chciałbym mieszkać w tym domku... – powiedział Ab – nie w mieście...

– Na powierzchni?

– Twój pokój jest też na powierzchni, Tibsnorg... widać da się żyć za odpowiednią osłoną...

XI

Nadszedł w końcu dzień, który musiał kiedyś nadejść. Dzień, który Tibsnorg wyobrażał sobie w wielu różnych wariantach, jednak nigdy nie myślał, że ten dzień zastanie go tak nie przygotowanym. Pracował jak co dzień przed ekranem wizora. Jego oszczędności wynosiły 48 pieniędzy oraz 320 pieniędzy odłożonego kredytu. Ekran przyniósł kolejną sprawę do decyzji. Rządek zgrabnych, zielonych liter i cyfr informował precyzyjnie: od numeru ATØ 44567744 zamierzano pobrać ręce, nogi i tułów wraz z szyją dla jednego biorcy, zaś głowę dla innego. Mózg przeznaczono do kasacji, zaś numer miał oczywiście zostać zdjęty z ewidencji.

Musiała długi czas ciężko pracować na takie ciało... – pomyślał z ironią. – A tej drugiej zasłużonej spodobała się pewnie w katalogu szczupła twarz i niebieskie oczy... i to bardzo, skoro zdecydowała się na głuchotę... a może dorobiła się już tyle, że i uszy sobie zafunduje od kogoś...

– Gnojki... cholerne gnojki... – powtarzał, gryząc palce. Wiedział od dawna, że to nastąpi, a teraz zwlekał z decyzją. Wydawało mu się, że do tej chwili zdąży zebrać więcej pieniędzy. Należało podjąć szybką decyzję w sytuacji, która nastąpiła, a nie którą sobie wymarzył.

– Gnojki... cholerne gnojki... – mruczał.

Poprosił system o czas do namysłu, gdyż rozważa możliwość nabycia całego egzemplarza ATØ 44567744 przez jednego biorcę, z uwagi na większą opłacalność takiego postępowania. Wyłączył kamery, wstał od pulpitu i wyszedł. Chodził już sprawnie i dość szybko. Napięcie woli przed każdym krokiem od dawna stało się nawykiem. Do magazynu materiału biologicznego nie było daleko. Już wcześniej dowiedział się od systemu, w którym pomieszczeniu jest przechowywana. System podał mu również wszystkie hasła umożliwiające wejście. Ospały wartownik przed masywnymi, metalowymi drzwiami nie stawiał przeszkód. Tibsnorg pocił się ze zdenerwowania. Winda jechała przeraźliwie powoli. W końcu właściwy poziom. Korytarz z dziesiątkami identycznych drzwi ciągnął się w nieskończoność. Nieustannie czuł wątpliwości czy robi właściwie. To, co zamierzał, było rzeczą niesłychaną. Nareszcie drzwi z numerem ATØ 44567. Otwarły się samoczynnie. Następny korytarz, wzdłuż ścian którego stały stanowiska przechowujące materiał biologiczny: dziesiątki osobników różnego wzrostu i o różnym stopniu zniekształcenia. Wszyscy bez odzieży, wszyscy w plątaninie przewodów, elektrod. Z początku nerwowo odliczał po kolei, potem zauważył numerację naniesioną na każdym ze stanowisk. Długo

trwało, zanim do niej dotarł. Stała z otwartymi oczyma. Ich wzrok się spotkał. Poznała go. Odpięcie przewodów trwało parę chwil, dłużej odpięcie pasów krępujących jej ręce i nogi.

Natychmiast przywarła do niego, przytulając twarz.

– Wróciees Sneogg, wiedziaam... – powiedziała cicho.

– Szybko Tib... szybko... – pociągnął ją za rękę.

Wiedział, że jej mięśnie są w bardzo dobrej kondycji w wyniku systematycznej stymulacji – nikt przecież nie kupiłby atroficznych kończyn.

– Piecky... – pokazała na drobny kształt owinięty kłębem przewodów.

Wspólnie oswobodzili Pieckygo, który natychmiast się zbudził.

– Daj spokój, Snorg... to nie ma sensu... – powiedział.

Snorg niósł go na ręku i ciągnął Tib drugą ręką. Odetchnął dopiero w windzie.

– I co teraz zrobisz?... – zapytał Piecky.

Tib cały czas tuliła swą twarz do Snorga.

– Znam wszystkie hasła systemu... – powiedział Snorg – liczę na zaskoczenie, mamy pięć procent szans...

Na wartowni strażnik spojrzał na nich niedbale. Przez myśl mu nie przeszło, że dwoje z wychodzących są po prostu materiałem. Wprowadził do systemu hasło podane przez Snorga, spojrzał na ekran i skinął głową, żeby przechodzili.

Na zewnątrz magazynu prawie biegli. Snorg zatrzymał mały, automatyczny wózek transportowy i wszyscy wsiedli. Do pokoju Dringenbooma było bardzo daleko, nawet pojazdem. Cały czas na korytarzu panowała złowieszcza cisza.

Zastali go w pokoju: spał jeszcze.

Jedno uderzenie i kamera smętnie zwisnęła na kablu. Mocne szarpnięcie zerwało przewód do reszty.

– Ab! Wstawaj!... – Snorg szarpnął go za ramię. – Jestem z Tib. Idziesz z nami?...

Dringenboom tarł dłonią zaspane oczy. Spojrzał na nich.

– Nie cierpię tego Ab... jestem Abraham... – powiedział. – Ona jest naprawdę śliczna – dodał, patrząc na Tib. – Nie, nie idę z wami... weź kartę mojej ciężarówki i daj mi czymś po głowie – mówił dalej – najlepiej tą książką... ale tak, żeby mnie nieco pokrwawić... i uciekajcie z miasta, jak najdalej. To jedyna szansa.

– Na dodatek cię zwiąże... Będzie lepiej wyglądało.

Trwało to dość długo, gdyż Snorg obawiał się, żeby nie zrobić mu większej krzywdy. W końcu Abraham Dringenboom leżał nieprzytomny i związany na swojej kanapie, a z rozcięcia skóry na czole wyciekło mu nawet nieco krwi.

Dojeżdżali już do hali maszyn transportowych, gdy cały korytarz wypełniło wycie syren. Zaczęło się. Co kilka metrów błyskało czerwone światło. Kamery rozmieszczone w korytarzu kręciły się wokoło. Zdążyli wjechać do hali, zanim drzwi zostały zablokowane. Snorg rozpoznał ciężarówkę Dringenbooma. Wcisnął fiszkę w szczelinę przy wejściu i automat zareagował. Wszyscy troje wsiedli na platformę windy i po chwili byli już w kabinie sterowniczej. Snorg wyprowadził wóz z hali. Dzień był mroczny, a warstwa chmur szczególnie gruba. Uruchomił wizor. Właśnie podawano serwis informacyjny.

...Zdumiewająca kradzież materiału biologicznego o sumarycznej wartości ponad 4500 pieniędzy! Rzecz niesłychana od niepamiętnych czasów! Trwają intensywne poszukiwania sprawcy, którym jest urzędnik szczebla DG Archiwum Materiału Biologicznego o nazwie Tibsnorg Pieckymoosy. Do akcji włączona została grupa operacyjna sił samooobrony. Jej użycie gwarantuje odzyskanie skradzionego mienia bez żadnego uszczerbku, a także skuteczne ujęcie sprawcy.

Ekran wypełniały zdjęcia filmowe z kamer stacjonarnych przedstawiające Snorga niosącego Pieckygo oraz Tib idącą obok.

Snorg gwizdnął przez zęby:

– Ta grupa operacyjna to kilkuset piekielnie sprawnych fizycznie facetów, takich wysportowanych zwojów mięśni... – powiedział.

Piecky oderwał wzrok od ekranu.

– Myślę, że nie mamy żadnych szans – powiedział – ale wdzięczny ci jestem, że mogłem to zobaczyć... – wskazał oczyma na okno. – Straciłem już rachubę czasu, stojąc ciągle w tych kablach... zastrzyk na spanie... zastrzyk pobudzający na wstanie... i tak w kółko.

Tib też wpatrywała się bez słowa w okno od chwili, gdy wyjechali z hali ciężarówek.

– Na szczęście naprzeciwko był facet mojego wzrostu i mogliśmy sobie pogadać – mówił dalej Piecky – tamten rozmawiał też z Tib, żeby zupełnie nie zgłupiała... ja nie mogłem do niej mówić, bo nie widziała moich ust, a nie słyszy. I wiesz, ona podobno jest coraz bystrzejsza... przynajmniej tamten tak mówił.

Snorg podprowadził ciężarówkę pod koparkę.

Piecky z uwagą patrzył, jak potężny chwytak nabiera fragmenty ruin, które kiedyś były katedrą.

– W tym kiedyś mieszkali ludzie? – zapytał.

Snorg skinął głową.

Kolejne fragmenty konstrukcji lądowały w ładowni pojazdu.

– Więc tak mieszkali ludzie przed wojną... – powiedział do siebie – musieli chyba czuć się bardzo samotnie w takich rozproszonych zabudowaniach...

Ciężarówka została załadowana i Snorg ruszył z powrotem.

– Wracamy?... – zapytał zaniepokojony Piecky.

Snorg skinął głową.

– Mam plan... – powiedział.

Pojazd pędził z maksymalną prędkością.

– Tib, załóż sobie i Pieckymu maskę... – powiedział i skinął głową w kierunku skrytki. Ona jednak nie zareagowała, mówił bowiem patrząc w kierunku wizora i nie widziała ruchu jego warg. Powtórzył jeszcze raz, patrząc na nią. Tib wyjęła maski i kombinezony i włożyła na siebie i Pieckygo. Zrobiła to szybko i sprawnie, z nieoczekiwaną wprawą. Snorg sam założył maskę. Zbliżali się do wzgórza, na którym stał samotny, zachowany budynek. Snorg zatrzymał ciężarówkę i winda zwiozła ich na poziom gruntu. Licznik niesiony przez Snorga terkotał. Tib niosła Pieckygo na ręku, jak dziecko. Wszyscy mieli na sobie ochronne odzienie wykonane z przezroczystego tworzywa. Piecky był zbyt krótki i Tib zawinęła go kilkakrotnie w zbywające zwoje tworzywa. Musieli przejść dystans daleko większy niż odległości pokonywane dotąd na nogach. I do tego w pyle sięgającym do pół łydki. Przez pewien czas patrzyli nieruchomo na malejący, masywny kształt ciężarówki, która oddalała się, sterowana automatycznie. Wkrótce zniknęła za horyzontem. Wyruszyli w drogę. Szli wolno, mozolnie grzęznąc w sypkim piachu. Długo trwało, zanim w końcu zlani potem dotarli do ruin. Nieco mniej zmęczona była Tib, której mięśnie stymulowane elektrycznie w magazynie, były w dobrej kondycji.

W ruinach dało się przebywać. Zachowała się bramka i solidne, drewniane drzwi wiodące do budynku. Snorg nadal wierzył, że się uda, choć Piecky uważał, że opuszczenie ciężarówki było zasadniczym błędem. Twierdził, że trzeba było gnać nią jak najdalej od miasta i jego grupy operacyjnej. Może zrezygnowaliby z pogoni, gdyby udało się odjechać bardzo daleko. Jednakże Snorg nie był w stanie zdecydować się na tak kompletne zerwanie więzi z miastem i przyjął inny plan. Nawet teraz czuł się osamotniony.

Żadne z nich trojga nie zdjęło stroju ochronnego, ponieważ wszędzie było pełno pyłu i nie można go było usunąć. Tib usiadła i spojrzała na Snorga.

– Byłam pewna, że wóócisz po mnie... – powiedziała powoli.

Wojtyński o Grabińskim



Maszynista Grot

...Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała tor i runął w przestrzeń!
Rozpoczął się wichrowy pęd, nie krępowany niczym, nie przerywany przystankami, nudą postojów...
Nie widział nic, nie myślał o niczym – upajał się tylko pędem, żył tylko ruchem. Zatracił rachubę czasu, nie wiedział jak długo trwa już piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...
Maszyna rozpętała się. Obłąkane chyżością koła wykonywały nieuchwytne, fantastycznie szybkie obroty, uznojone tłoki cofały się, to znów parły naprzód, tłukły się opętańczo zziajane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę – rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwarem, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędzej! W cwał! W cwał!
Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier – nowa falanga pary wstrzyknęła ognisty war w topniejące rury...

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– To był sen... we śnie opuściłam Pokój. Tyle światła... i ci obcy wokół, tylu ich było... oni mnie potem Tam ustawili obok Pieckygo... dobrze, że znów jesteś... – mówiła, obserwując cały czas jego usta.

– Jąkała zawsze ma najwięcej do powiedzenia – przerwał jej brutalnie Piecky – zaraz pewnie powie o zastrzykach... rzeczywiście... z boku wysuwała się strzykawka z igłą, ciach i spałeś... ciach i wraca jawa... To było zupełnie jak wyłącznik. I tylko te wózki krążące codziennie wzdłuż rzędu... trójpoziomowe wózki... Zawsze ciągnęli wózek ci sami ludzie w szarych, jednakowych strojach. I zawsze wieźli kogoś na takim wózku... wywozili... Rzadko ktoś tam wracał... ale zawsze w bandażach... z dołu mało co widać. To był zawsze jeden z nas. Trudno się było porozumiewać, bo co drugi w szeregu spał, a krzyczeć też się nie dało, bo zaraz szedł zastrzyk... Ale mimo to przekazywaliśmy sobie... tak łańcuszkiem... takim głosem, żeby usłyszeć, a żeby jeszcze z boku nie wyszła strzykawka... najgorzej, jak był głuchy po drodze... Potem im zdejmowali bandaże ci sami w szarych strojach... i oni nie mieli rąk... nóg... albo różnie... Najgorzej było, jak wózek zwalniał przed tobą... człowiek myślał, że się zatrzyma... To nie byli sadyści... ci w szarych strojach, tylko te wózki miały takie słabe kółka... oni starali się prowadzić te wózki jak najrównomierniej. Wiedzieli przecież, co czujemy... ale czasem kółko się zacierało i wózek zwalniał... ale ja nie chciałem, żeby mnie przywieźli z powrotem w razie czego... przecież i tak brakuje mi prawie wszystkiego...

– Na tych wózkach wywozili zawsze trzech ludzi – przerwała mu Tib, która od dłuższego czasu patrzyła na twarz Pieckygo. – Z powrotem waacało zwykle dwóch, czasem jeen... – Tib, gdy była wzburzona, zaczynała się jąkać – pamiętam Moosy, jak wracała... tylko jedno oko błyszczało spod bandaża.... ale to była ona... Colfi mówił, że to ona wóóciła... i opowiadał, jak jej potem zdjęli te bandaże...

– Przestań! – znowu przerwał jej Piecky – nie chcę tego znowu słuchać, wiem, jak wyglądała wtedy... potem i tak ją wzięli drugi raz... i nie wróciła.

– Moosy?... – zdziwił się Snorg. – Tak... oczywiście... to mogło być na innej zmianie – mówił teraz do siebie – cholera, to było ryzyko... ją też mogli... ale na szczęście to zdarzyło się na mojej zmianie... takie szczęście...

– Jakie szczęście?... – zapytała chrapliwie.

– Że jesteś tu ze mną... nie brałem wcześniej pod uwagę wielu możliwości...

– Ja nie mogłam tak stać... tylko te dreszcze mięśni, po których byłaam tak zmęczona... i rozmowy z Colfim, bo ust Pieckygo na byłam w stanie zobaczyć... a reszta: musiaa się kiedyś skończyć obłędem... Nie zdążyłam zwariować, ale gdyby tak dłużej, to na pewno...

Oboje z Pieckym mówili, przerywając sobie nawzajem. Piecky bezceremonialnie wchodził w słowa Tib, a ona dopiero po chwili orientowała się, że on mówi i milkła. Potem znów ona przerywała Pieckymu i snuła opowieść chrapliwym, załamującym się głosem. Trudno było przecież streścić tyle dni w ciągu kilku godzin. Potem Piecky wyłączył się i patrzył na ciężkie, brunatne chmury sunące nisko nad głową. Patrzył w skupieniu, a na jego obliczu rysowało się coś, chyba jak zachwyt, co z pewnością zdumiałoby Snorga, gdyby choć raz spojrzał na Pieckygo.

– Przestańcie szeleścić tym plastykiem – powiedział w końcu Piecky. Oboje spojrzeli na niego.

– Słuchaj Snorg... mówię do ciebie, bo ta chuda i tak stale gapi się w twoją zarozumiałą gębę... – kontynuował, a jego dawny ton zabrzmiał tak mile, że Snorg się uśmiechnął.

– Czuję to... wiem, że kiedyś pofrunę wśród tych chmur... wysoko nad ziemią na skrzydłach... i to będzie najlepsza część mojego życia...

– Może zrobią z ciebie jednostkę sterującą maszyną... bo ciało masz do kitu, ale mózg całkiem, całkiem... ale najpierw muszą nas złapać, a to nie takie łatwe... żadna kamera nie widziała, gdzie wysiedliśmy...

– Co by się stało, gdyby nas złapano, a o czym jestem niestety przekonany? – Pieckymu nie wystarczyły poprzednie wyjaśnienia.

– Stul się Pietzky!... – Snorg pierwszy raz słyszał Tib mówiącą tym tonem – chyba marzysz o tych zastrzykach, Tam...

– Mówię co myślę...

– Warto się nad tym zastanowić – powiedział Snorg po chwili zastanowienia. – Myślę, że nie grozi nam zbyt wiele, gdyż jest to sprawa bez precedensu... każde z nas by przeżyło, chociaż z różnych powodów... Mnie nic by się nie stało, ponieważ prawo do zachowania życia jest fundamentalne dla każdego człowieka. Wydaje mi się nawet więcej... Jedynie słuszne prawo stanowi też, że jeśli już ktoś raz został mianowany człowiekiem, to już nie przestaje nim być, więc z pracownika Archiwum Materiału Biologicznego nie stałbym się jednym z magazynowanych egzemplarzy... Piecky też miałby się nieźle... spełniliby jego marzenia: patrzyłby z wysoka i sterował pracą koparki – takie należyte wykorzystanie byłoby konieczne, aby uzasadnić w pełni celowość wielkiego nakładu sił użytego, aby nas schwytać...

– A ja, Sneogg? – zapytała Tib wpatrując się w jego wargi.

– Ciebie, tylko ciebie – zwrócił się twarzą wprost do niej – czekałby tragiczny los... ciała zapragnęła jedna... głowę i twarz inna, bogata i pewnie zasłużona kobieta... Ale wolałbym umrzeć niż dopuścić, by miało się tak stać.

Piecky wysłuchał tego w milczeniu i przestał się wtrącać. Gapił się w niebo, w przemieszczające się szybko obłoki. Gdy szary półmrok dnia ustąpił mrokowi nocy, zasnęli przytuleni do siebie, głodni i zmarznięci.

XII

Zbudzili się o szarym i chłodnym świcie. Tib była nadal rozmowna, jak nigdy dotąd. Zaskakiwała go. W jego wyobrażeniach była piękna, lecz niezbyt rozgarnięta. Stwierdził, że oni wszyscy stale rozwijali się umysłowo, nie tylko on sam: mianowany na człowieka zwanego Tibsnorg Pieckymoosy.

Możne oni wszyscy, gdyby tylko dać im więcej czasu?... – pomyślał.

Cały czas oczekiwali na przybycie Dringenbooma. Snorg liczył, że Ab przybędzie swą gigantyczną ciężarówką, dostarczy im pożywienie i wspólnie postanowią, co robić dalej. Był ich jedyną szansą. Czekali długo, obserwując sznur przejeżdżających w oddali pojazdów, wiozących urobek do miasta. Głód dokuczał coraz bardziej. Około południa przez chmury przejrzało żółte słońce. Zrobiło się jasno i świetliście. Tib i Snorg stali obok siebie w promieniu światła i patrzyli na cienie, które rzucali. Tak czyste słońce widzieli po raz pierwszy w życiu.

– Czy gdyby zrobili ze mnie układ sterujący maszyny, to mógłbym widzieć to częściej?... – zapytał Piecky, zerkając w okno.

– Nie wiem... może też zostawiliby ci oczy... – powiedział Snorg z wahaniem – nie zostałeś mianowany człowiekiem, więc traktowaliby twój mózg jako materiał... prawo do pozostawienia oczu mają jedynie ludzie, którzy utracili ciało na skutek nieuleczalnej choroby, ale niewykluczone, że zainstalowaliby cię do takiej wielkiej koparki... a tam zostawiają oczy... z twoim intelektem... kto wie?...

Przerwał mu donośny huk silników, który z pewnością nie pochodził od przejeżdżających ciężarówek. Snorg zbladł, zrozumiał, że Dringenboom nie przywiezie im nigdy jedzenia. Ryk narastał, dało się wyczuć wibracje gruntu. Wokół budynku zaczęły lądować wielowirnikowe, ciężkie maszyny latające grupy operacyjnej.

– Jeden... dwa... trzy – Snorg liczył, czując, jak drętwieją mu szczęki. Tib z całej siły przywarła do niego.

– Oni jednak wracają... jednak to wszystko nie miaoo sensu... – wyszeptała, patrząc na lądujące, opancerzone maszyny.

Wokół nich pojawiły się drobne sylwetki w szarych mundurach, hełmach i czarnych kamizelkach kuloodpornych. Sprawnie wyskakiwali z maszyn i czołgali się ku budynkowi. Zauważył, że uzbrojeni są w broń automatyczną, a kilku nawet niesie lasery.

– Te wszytkie armaty, to na mnie?... – pomyślał z ironią. – Czy oni chcą burzyć cały dom?...

Nie starał się nawet liczyć komandosów. Było ich przynajmniej kilkudziesięciu. Błyskawicznie rozlokowywali się wokoło.

– Tibsnorg Pieckymoosy!... – rozległo się nagle bardzo głośne wołanie. – Nie masz żadnych szans. Poddaj się. Wydaj skradziony materiał biologiczny. Zostanie to potraktowane jako okoliczność łagodząca. Twój wspólnik Abraham Dringenboom został ujęty...

Tib patrzyła na niego natarczywie, widocznie wyczuła zmianę.

Powtórzył jej to, co powiedział głośnik, ale tak, aby widziała jego usta.

– Tibsnorg Pieckymoosy!... – ponawiał głośnik poprzednie wezwanie.

Piecky milczał, w jego oczach widać było przerażenie.

– Gnojki... cholerne gnojki... – powtarzał Snorg, stojąc nieruchomo na środku pokoju i tuląc Tib.

– Przecież my chcemy tylko żyć... – wyszeptała, patrząc na niego.

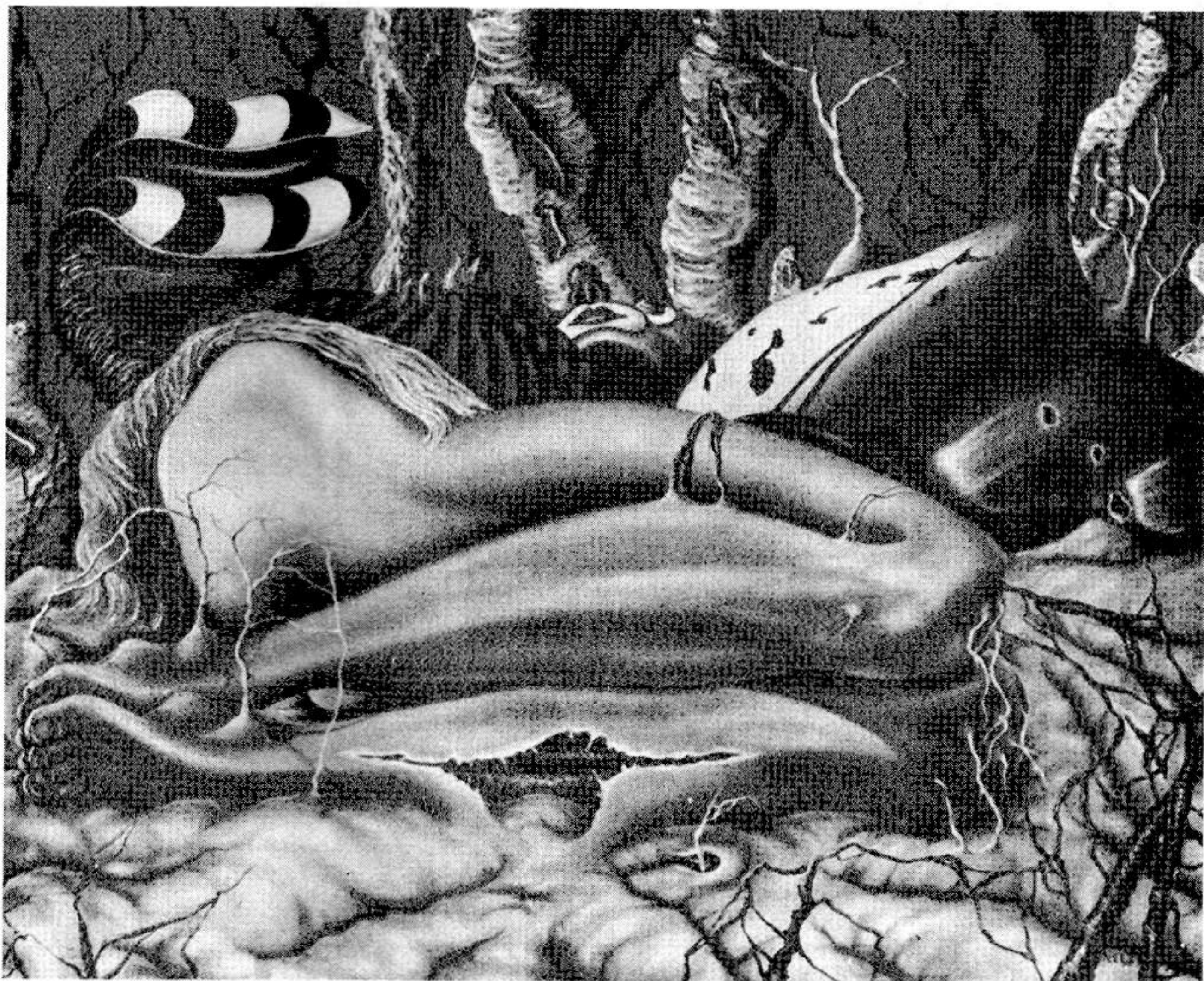
– ... to potraktowane... – rozlegało się z głośnika, gdy za drzwiami dał się słyszeć ruch. Nagle potężna eksplozja rozbiła drzwi w drzazgi. Dwóch komandosów błyskawicznie wskoczyło do wnętrza i przypadło do podłogi, mierząc do Snorga.

– Mają niezłe ćwiczenia... – zdążył pomyśleć.

Byli uderzająco sprawni. W ułamku sekundy, w dymiącym jeszcze otworze pojawił się trzeci, z kolorowym, skrzydlatym potworem namalowanym na kuloodpornej kamizelce sięgającej poniżej bioder. Stał nieruchomo na rozkraczonych, muskularnych nogach, mierząc do Snorga z rewolweru o długiej lufie, trzymanego w obu wyciągniętych rękach. Zamiast nosa miał pojedynczą, czarną jamę, uwstecznione wargi odsłaniały zęby, co w połączeniu z brakiem powiek nadawało jego twarzy trupi wyraz.

– Byłeś pierwszy, gnojku... – pomyślał Snorg – za to kupisz sobie nową twarz... chyba, że zaliczą pierwszeństwo tym leżącym... – Snorg spuścił wzrok na leżących komandosów. Tamten spojrzał za jego wzrokiem. Kolejni komandosi wskakiwali przez rozbite drzwi do pokoju, natychmiast przypadając do podłogi. Tamten jakby rozumiejąc myśli Snorga ponownie omiótł wzrokiem leżących żołnierzy. Nagle znieruchomiał i jeszcze przez chwilę, zza przezroczystej, plastykowej przyłbicy mierzył Snorga spojrzeniem pozbawionych powiek, jakby wyłupionych oczu.

I chociaż żadne z nich trojga nie poruszyło się ani na milimetr, rozległ się huk wystrzału, a ciało Tib, która w ostatniej chwili zasłoniła Snorga sobą, zwisło mu bezwładnie na rękach. Poczuł, że coś dławi mu gardło. Drugiego strzału Snorg już nie usłyszał. Żółty rozbłysk przed jego oczyma zmienił się w rządek jasnych plam i zgasł.



L. Wawrzyk

Kraków, październik 1984

Marek S. Huberath

Wojtyński o Grabińskim



Po stycznej

...w blaskach zachodu wlewającego się strugami w pokój stał młody człowiek z lufą rewolweru skierowaną ku czołu; widocznie w chwili wejścia Wrzeckiego usiłował strzelić, lecz broń odmówiła posłuszeństwa.

Wrzecki wyrwał mu z ręki rewolwer.

– No, dość tego! To nie dla pana zabawa! Kochany pan się pomylił. Ale to nie szkodzi. Inaczej nie mógłbyś pan spełnić swojej woli. Co? Powie mi pan o zawiedzionej miłości lub długu honorowym? Fraszki, młodzieńcze, fraszki! Miałeś być tylko obrazem, symbolem dla kogo innego!

Obejrzał magazyn.

– Aha! Starczy jeszcze na jeden strzał! Świetnie! Ale! Pan może mieć nieprzyjemności... zawsze to w Pańskim mieszkaniu... Wie pan co... powiesz im, że przyczyną była stylizacja przypadku... a pan byłeś jej ostatnim, szczytowym punktem... – Spojrzał na zegarek, równocześnie odwodząc kurek. – Szósta. A jednak ja sam wychodząc dziś o trzeciej z domu, nie byłbym nigdy przypuścił, że za trzy godziny...

– Co?

– Ot, co! – Błyskawicznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i pocisnął. Tym razem broń nie zawiodła: runął martwy w słoneczny ekran posadzki...



Robert Sheckley, prezentowany dotychczas tylko w czasopismach (i wieki temu w „Krokach w nieznane") jest w Polsce ceniony i lubiany, dlatego sądzimy, że Czytelników zainteresuje list, jaki nadesłał do naszej redakcji. B. Traven był niezwykle popularnym pisarzem, który ukrywał swoją tożsamość, nawet jego imię pozostało nieznane. Sheckley wypiera się podobieństwa, ale na list wysłany na hiszpańskie Baleary (Ibiza) odpowiedź nadeszła z Oregonu.

Rozbawiło mnie porównanie z B. Travenem. W odróżnieniu od niego nie ukrywam się i nie unikam kontaktów ze światem, tylko dużo podróżuję. Urodziłem się w Brooklynie, w Nowym Jorku, a dorastałem w Maplewood, miasteczku w stanie New Jersey niedaleko Nowego Jorku. Służyłem jako szeregowy w wojsku podczas okupacji Korei w latach 1946–1948. Potem uczęszczałem na Uniwersytet Nowojorski, gdzie ukończyłem wydział sztuk pięknych. Wkrótce sprzedałem pierwsze opowiadania, mieszkając i pracując w Nowym Jorku. Od początku lat sześćdziesiątych spędzałem dużo czasu w Europie i w końcu zamieszkałem na hiszpańskiej wyspie Ibiza, gdzie spędziłem sześć lat. Potem mieszkałem w Londynie i w Paryżu. Po powrocie do Stanów w roku 1980 przyjąłem posadę redaktora działu literackiego w miesięczniku „Omni", żeby po niespełna dwóch latach wrócić wyłącznie do pracy pisarskiej. Potem znów przenosiłem się z miejsca na miejsce. Przez jakiś czas mieszkałem w namiocie na terenie parku narodowego Everglades na Florydzie. Wróciłem do Paryża dla pracy nad filmem. Wreszcie przeniosłem się do Portland w stanie Oregon. Jak i dlaczego to inna historia (...).

Moja najnowsza powieść nosi tytuł „Victim Prime". Jest to pierwsza część trylogii, druga będzie przedrukiem wcześniejszej powieści „The Tenth Victim" (Dziesiąta ofiara). Trzecia – „Hunter-Victim" – jest na ukończeniu. Pracuję teraz z grupą moich nowojorskich przyjaciół nad filmem krótkometrażowym i planuję trzyczęściowy kryminał.

Byłem czterokrotnie żonaty i mam czwórkę dzieci, które widuję, kiedy tylko mogę. Wszystkie mieszkają na wschodnim wybrzeżu USA. Obecnie mieszkam tylko z moim białym kotem Fuji, ale kto wie, co przyniesie jutro?

Pochodzę z polskich Żydów. Moi dziadkowie ze strony ojca przybyli do Ameryki z małego miasteczka pod Warszawą. Dziadkowie ze strony matki pochodzą z Kowna na Litwie. Nasze nazwisko brzmiało Tschaikovsky, nie jestem pewien, jak to się pisało. Nie mieliśmy nic wspólnego ze słynnym kompozytorem. Ojciec zmienił nazwisko na Sheckley, kiedy otworzył tu interes.

Z najlepszymi życzeniami ROBERT SHECKLEY

Nie kończący się western

Robert Sheckley

(The Neverending Western)

Nazywam się Washburn: dla przyjaciół po prostu Washburn, pan Washburn dla wrogów i obcych. Mówiąc to powiedziałem wszystko, bo oglądaliście mnie tysiąc razy, na wielkich ekranach w pobliskim kinie i na małych ekranach u siebie w domu, widzieliście, jak jadę wśród kaktusów i niskiej trawy, w słynnym kapeluszu naciągniętym na oczy, ze słynnym Coltem 44 o długiej lufie przymocowanym do prawego uda. Teraz jednak jadę wielkim klimatyzowanym Cadillakiem, siedząc między moim agentem – menadżerem Gordonem Simmsem a moją żoną, Consuelą. Zjechaliśmy z autostrady stanowej 101 i podskakujemy na terenowej drodze, która prowadzi do stacji dyliżansów Wells Fargo, stanowiącej jedno z wejść na Plan. Simms mówi pośpiesznie i masuje mi kark, jakbybył bokserem szykującym się do wejścia na ring, co z grubsza odpowiada prawdzie. Consuela milczy. Nie jest jeszcze zbyt mocna w angielskim. Jest najpiękniejszą małą istotką, jaką sobie można wyobrazić, moją żoną od niecałych dwóch miesięcy, byłą Miss Chile, byłą aktorką w różnych awanturniczych filmach kręconych w Buenos Aires i Montevideo. Cała ta scena nie jest filmowana, to coś, czego nigdy nie oglądacie: powrót słynego rewolwerowca z szumnego Los Angeles w roku 2031 na Stary Zachód w połowie wieku dziewiętnastego.

Simms trajkocze o jakiejś inwestycji, której – jego zdaniem – powinienem dokonać, o jakimś nowym projekcie eksploatacji dna morskiego – najnowszym pomyśle Simmsa na szybkie wzbogacenie się. Simms już jest bardzo bogatym człowiekiem i trudno, żeby nie był przy trzydziestoprocentowym udziale w moich zarobkach przez dziesięć najlepszych lat mojego gwiazdorstwa.

Simms jest również moim przyjacielem, ale nie mogę myśleć o inwestycjach, kiedy podjeżdżamy do Planu.

Consuela, która siedzi po mojej prawej, zadrżała na widok nadgryzionej zębem czasu starej stacji. Moja żona nigdy tak naprawdę nie rozumiała Nie kończącego się westernu. W Południowej Ameryce nadal kręci się filmy w staromodny sposób: wszystko wyreżyserowane, wszystko na niby i strzela się wyłącznie ślepymi nabojami. Nie rozumie, dlaczego słynny amerykański Film musi być rozgrywany naprawdę, kiedy można by wszystko zaaranżować i uniknąć trupów. Usiłowałem jej to wyjaśnić, ale po hiszpańsku brzmiało to idiotycznie.

Oczywiście dla mnie tym razem to coś zupełnie innego: jestem na emeryturze i wracam, żeby zagrać epizodyczną rolę. Mam kontrakt wykluczający zabójstwo – słynny ongiś rewolwerowiec w komediowym kawałku ze Starym Jeffem Manglesem i Natchezem Parkerem. Scenariusza, oczywiście, nie ma, w Filmie nigdy nie ma scenariusza. Będziemy improwizować wokół każdej sytuacji, jaka powstanie – aktorzy commedia dell'arte ze Starego Zachodu. Consuela nic z tego nie rozumie. Słyszała o kontraktach śmiertelnych, ale kontrakt wykluczający zabójstwo to dla niej coś ważnego.

Wreszcie przyjechaliśmy. Samochód zatrzymuje się przed niskim budynkiem z nie malowanego drewna. Wszystko po tej stronie to Ameryka dwudziestego pierwszego wieku w całej swej chwale z odzysku i surowców wtórnych. Po drugiej stronie rozciąga się milion akrów prerii, gór i pustyni z tysiącami ukrytych kamer i mikrofonów, czyli Plan Nie kończącego się westernu.

Jestem już w kostiumie: dżinsy, koszula w granatowobiałą kratę, wysokie buty, kapelusz, skórzana kurtka i rewolwer. Koń czeka przywiązany do słupka po drugiej stronie stacji, z całą resztą mojego sprzętu w schludnie zrolowanym kocu. Asystent reżysera ogląda mnie i akceptuje: nie mam na ręku zegarka ani innych anachronizmów, które kamera mogłaby wyłapać.

– W porządku, panie Washburn – mówi – może pan wejść, kiedy będzie pan gotów.

Simms robi mi na pożegnanie masaż pleców. Podniecony przestępuje z pięt na palce, zazdrości mi, że to nie on pojedzie na pustynię, wysoki mężczyzna, powolny w ruchach i uprzejmy, z nagłą śmiercią zawsze w pobliżu jego prawej ręki. Ale Simms jest niski, gruby, prawie łysy i nie nadaje się do roli bohatera-rewolwerowca, przeżywa ją więc za moim pośrednictwem. Ja jestem jego męskością i razem przebyliśmy po wielokroć niebezpieczny szlak, a nasze wierne czterdziestki czwórki zlikwidowały wszystkich oponentów, aż zostaliśmy niekwestionowanym mistrzem, bezwzględnie najlepszym rewolwerowcem Zachodu, który w końcu przeszedł w stan spoczynku, kiedy wszyscy jego przeciwnicy byli martwi albo schodzili mu z drogi... Biedny Simms, zawsze marzył, że zagramy tę wielką ostatnią scenę, to ostatnie finałowe spotkanie na jakiejś piaszczystej Ulicy Głównej. Chciał, żebyśmy zagrali to wspaniale i pięknie, nie dla pieniędzy – tych mieliśmy już i tak aż nadto – ale dla sławy, odchodząc z Filmu w huku wystrzałów, w szczytowej formie. Mnie też by to odpowiadało, ale oponenci stali się diablo ostrożni i Washburn spędził swój ostatni rok w Filmie jeżdżąc idiotycznie z miejsca na miejsce z sześciostrzałowcem w pogotowiu i nie znajdując nikogo, kto by chciał się z nim zmierzyć. A teraz ta epizodyczna rólka... dla Simmsa to są kpiny ze wszystkiego czym byliśmy, myślę zresztą, że dla mnie też. (Trudno się zorientować, gdzie zaczynam się ja, a gdzie kończy się Simms, trudno oddzielić to, czego chcę ja od niego, czego chce on, trudno nam obu pogodzić się z końcem naszej wspaniałej kariery w Filmie).

Simms potrząsnął moją ręką, drugą ściska mnie mocno za ramię i nie mówiąc nic, w zgodzie z tym męskim westernowym stylem, jakiego nabrał przez lata współpracy ze mną, więcej, bycia mną. Consuela obejmuje mnie, ma łzy w oczach, całuje mnie, mówi, żebym szybko do niej wracał. Ach, te niewiarygodne pierwsze miesiące z nową żoną! Sam urok, zanim nie da o sobie znać szara rzeczywistość. Consuela jest moją żoną numer cztery. Jeździłem w swoim życiu różnymi szlakami, większość z nich była taka sama i teraz reżyser sprawdza, czy nie mam śladów szminki, kiwa głową, odwracam się do Consueli i Simmsa posyłając im pozdrowienie dwoma palcami, z którego jestem sławny, wkraczam na skrzypiącą podłogę biura Wells Fargo i wychodzę z drugiej strony na oślepiające słońce, w świat Nie kończącego się westernu.

Kamera ukazuje z oddali samotnego jeźdźca, pełznącego jak mrówka między bajecznie kolorowymi ścianami kanionu. Widzimy go w kolejnych ujęciach w tle rozwijającej się panoramy pustyni. Wieczorem, czarna sylwetka na tle nieba w płomieniach, kapelusz zsunięty na tył głowy, gotuje coś na małym ognisku. Teraz śpi zawinięty w koc, żar ogniska rozsypuje się w popiół. Przed świtem jeździec jest znów na nogach, zaparza kawę, szykuje się do całodziennej jazdy. Wschód zastaje go w drodze, jeździec osłania oczy przed słońcem, odchylony w siodle pozwala koniowi wybierać drogę po skalnych zboczach.

Jestem zarówno widownią, oglądającą mnie jako aktora, jak aktorem oglądającym siebie jako widownię. Jest to spełnienie dziecięcego marzenia: grać rolę i jednocześnie obserwować siebie grającego. Teraz już wiem, że nigdy nie przestajemy grać i nigdy nie przestajemy obserwować siebie jak gramy. To tylko ironia losu sprawia, że bohaterskie sceny, które ja widzę, są zbieżne z tym, co wy widzicie siedząc przed waszymi małymi ekranami.

Teraz Jeździec wspiął się na wysoką przełęcz między dwiema górami. Jest tam zimno, wieje górski wiatr, jeździec postawił kołnierz kurtki, kapelusz przywiązał pod brodą wełnianym kolorowym szalikiem. Zaglądając jeźdźcowi przez ramię daleko w dolę widzimy osadę, małą i zagubioną w bezmiarze krajobrazu. Towarzyszymy jeźdźcowi, który cmoka na swojego zmęczonego wierzchowca i zaczyna zjeżdżać w kierunku osady.

Następnie jeździec prowadzi konia przez osiedle Comanche. Ma ono tylko jedną ulicę – Ulicę Główną – z saloonem, hotelikiem, stajnią z końmi do wynajęcia, kuźnią, jedynym sklepem, wszystko surowe i malownicze jak w dagerotypie z czasów Wojny Domowej. W miasteczku wieje nieustannie wiatr z pustyni i wszystko jest pokryte drobnym pyłem.

Jeźdźca rozpoznają. Gapie przed sklepem mówią „Hej, to Washburn!"

Zsiadam sztywno przed stajnią – wysoki, strudzony długą jazdą mężczyzna z rewolwerem przypiętym bardzo nisko na udzie, zniszczona, kościana kolba pod ręką i na widoku. Odwracam się i ocieram twarz – słynną, długą, smutną twarz z wyraźną blizną przekreślającą jeden policzek, z wąskimi, nie mrugającymi szarymi oczami. Jest to twarz człowieka twardego, niebezpiecznego, nieobliczalnego, a jednak sympatycznego. To ja, obserwujący was, jak mnie oglądacie.

Wychodzę ze stajni i na spotkanie wychodzi mi szeryf Ben Watson, stary przyjaciel ze spaloną słońcem twarzą i dużymi wąsami, z blaszaną gwiazdą na wełnianej kamizelce.

– Słyszałem, że możesz tędy przejeżdżać – mówi Watson. – Słyszałem, że byłeś przez jakiś czas w Kalifornii.

Kalifornia oznacza w naszym języku emeryturę.

– To prawda – mówię. A jak sprawy tutaj?

– Jako tako – odpowiada mi Watson. – Pewnie nic nie wiesz o Starym Jeffie Menglesie?

Czekam. Szeryf mówi:

– To było wczoraj. Koń rzucił Starego Jeffa na pustyni. Myślimy, że przestraszył się grzechotnika – Bóg mi świadkiem, mówiłem mu, żeby sprzedał to wielkie, płochliwe, zezowate bydlę. Ale znasz Starego Jeffa...

– Co się z nim stało? – pytam.
– Jak mówiłem, koń go zrzucił i pociągnął. Nie żył już, kiedy go Jimmy Conners znalazł.
Długa cisza. Zsuwam kapelusz na tył głowy. Wreszcie mówię:
– Dobrze, Ben. Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?
Szeryf jest wyraźnie zakłopotany. Kręci się, przestępuje z nogi na nogę. Czekam. Jeff Mangles nie żyje; nie będzie sceny, którą miałem zagrać. Co teraz?
– Pewnie jesteś spragniony – mówi Watson. – Może byśmy tak napili się piwa?
– Najpierw powiedz mi, co się jeszcze zdarzyło.
– Hm, słyszałeś o kowboju z Teksasu nazwiskiem Mały Joe Potter?
Potrząsam głową.
– Zawędrował tutaj jakiś czas temu, przynosząc ze sobą reputację szybkiego strzelca. Nie słyszałeś o strzelaninie w Twin Peaks?
Teraz przypominam sobie, że coś o tym słyszałem. Ale byłem wtedy w Kalifornii, zajęty czymś innym i strzelaniny nie bardzo mnie interesowały.
– Ten Mały Joe Potter – ciągnął Watson – wystąpił przeciwko czterem opryszkom w sporze o pewną damę. Mówią, że to była nie byle jaka walka. W rezultacie Mały Joe posłał tych czterech do piekła i w związku z tym zyskał niemałą sławę.
– I co z tego? – pytam.
– Otóż w jakiś czas potem Mały Joe grał w pokera z jakimiś chłopakami z Gila Bend... – Watson milknie zażenowany. – Może lepiej niech ci to opowie Charlie Gibbs, bo on rozmawiał z człowiekiem, który był świadkiem tej gry. Charlie ci to lepiej opowie. To na razie, Washburn.
Szeryf odchodzi, posłuszny dewizie Filmu, która zaleca skracanie scen dialogowych do minimum, żeby pozwolić ludziom nacieszyć się akcją.

Idę w stronę saloonu. Ktoś idzie za mną, chłopak, osiemnasto-, najwyżej dziewiętnastoletni, patykowaty, z zadartym nosem, piegowaty smarkacz w za krótkich spodniach i dziurawych butach. Ma rewolwer. Czego on może chcieć? Pewnie tego, co wszyscy. Wchodzę do środka, ostrogi brzęczą na drewnianej podłodze. Charlie Gibbs popija przy barze, tłusty, niechlujny facet cały w uśmiechu i zmarszczkach, bez broni, bo Charlie jest postacią komiczną, nie zabija i jego nie zabijają. Charlie jest również naszym lokalnym delegatem Związku Aktorów Filmowych.
Stawiam mu whisky i pytam o słynnego pokera Małego Joe Pottera.
– Słyszałem to od Jima Claire'a z Teksasu. Pamiętasz chyba Jima Claire'a, Washburn? Poczciwe chłopisko pracuje jako koniuch u Donaldsona. Otóż Jim grał w pokera w Gila Bent. W pewnym momencie zaczęło się robić gorąco. Na stole była kupa forsy i Doc Dailey postawił tysiąc dolarów meksykańskich. Małemu Joe podobały się karty, które dostał, ale nie miał dość forsy, żeby wejść do gry. Doc powiedział, że gotów jest wziąć coś w naturze, jeżeli Mały Joe coś zaproponuje. Mały Joe pomyślał przez chwilę, a potem mówi: „Ile byś dał za kapelusz pana Washburna?" Zapanowała cisza, bo wiadomo, że nie można ot, tak sobie, zabrać panu Washburnowi kapelusza, że trzeba najpierw zastrzelić człowieka pod tym kapeluszem. Z drugiej strony wiadomo, że Mały Joe nie jest samochwałą i spisał się całkiem nieźle w zajściu z tamtymi czterema opryszkami. Więc Doc też zastanowił się przez chwilę i mówi: „Zgoda, Joe, tysiąc dolarów za kapelusz Washburna i chętnie zapłacę drugi tysiąc za miejsce w pierwszym rzędzie, kiedy będziesz mu go odbierać". „Miejsce masz ode mnie za darmo – mówi Mały Joe – jeżeli przegram tę grę, na co się nie zanosi". Zakład stanął i sprawdzili. Mały Joe miał karetę ósemek, a Doc karetę waletów. Mały Joe wstaje, przeciąga się i mówi: „No, cóż, Doc, wygląda, że wygrałeś to miejsce w pierwszym rzędzie".
Charlie kończy swoją whisky i spogląda na mnie jasnymi, złośliwymi oczkami. Kiwam mu głową, dopijam swoją whisky i idę tylnymi drzwiami do wychodka.

Wychodek znajduje się poza zasięgiem kamer. Używamy go do rozmów koniecznych, a nie mieszczących się w kontekście Filmu.
Charlie Gibbs przychodzi po paru minutach. Włącza ukrytą klimatyzację, znajduje na belce paczkę papierosów, zapala i rozsiada się wygodnie. Jako delegat związkowy Charlie spędza tu sporo czasu wysłuchując skarg i żalów. Jest to jego biuro i postarał się urządzić je możliwe przytulnie.
– Pewnie chcesz wiedzieć, co jest grane? – pyta Charlie.
– Jasne, cholera, że chcę. Co to za pierduły o tym, że Joe Potter ma mi odbierać kapelusz?
– Nie denerwuj się – mówi Charlie – wszystko jest w porządku. Potter jest nową wschodzącą gwiazdą. Po śmierci Jeffa Manglesa twoje spotkanie z Potterem stało się czymś naturalnym. Potter się zgodził. Wczoraj zwrócono się do twojego agenta, który zmienił umowę. Dostaniecie cholerną premię za udział w tym pojedynku.
– Simms zmienił moją umowę? Nie pytając mnie o zgodę?
– Byłeś wtedy nieuchwytny. Simms powiedział, że na pewno się zgodzisz. Złożył do prasy oświadczenie, że ty i on omawialiście to wielokrotnie i że zawsze było twoim pragnieniem zakończyć karierę w wielkim stylu, w szczytowej formie, jednym ostatnim pojedynkiem. Powiedział, że nie musi tego z tobą uzgadniać, bo jesteście sobie bliscy jak bracia i rozmawialiście na ten temat nieraz. Powiedział, że cieszy się z tej okazji i wie, że ty też się ucieszysz.
– Jezu, co ja mam z tym baranem!
– Czy Simms chciał cię załatwić? – pyta Charlie.
– Nie o to chodzi. Rzeczywiście często rozmawialiśmy na temat końcowego pojedynku. Mówiłem mu, że chciałbym skończyć w wielkim stylu...
– Ale to były tylko rozmówki – podsuwa Charlie.
– Niezupełnie. – Ale co innego mówić o pojedynku, kiedy się jest na emeryturze i siedzi się bezpiecznie w Los Angeles, a co innego zostać nagle zmuszonym do walki bez przygotowania. – Simms nie chciał mnie załatwić, ale wrobił mnie w coś, o czym wolałbym sam decydować.
– Więc sytuacja wygląda tak – mówi Charlie – że ty byłeś głupi opowiadając, jak to chciałbyś rozegrać ostatni pojedynek, a twój agent był głupi biorąc cię na serio.
– Tak to wygląda.
– I co chcesz robić z tym pasztetem?
– Powiem ci, ale jako mojemu staremu kumplowi Charlie'mu, a nie jako delegatowi związkowemu Gibbsowi.
– Wal – mówi Charlie.
– Zmyję się stąd – mówię. – Mam trzydzieści siedem lat, nie ćwiczyłem z bronią od roku, mam nową żonę...
– Nie musisz się tłumaczyć – mówi Gibbs. – Życie jest piękne, to wyjaśnia wszystko. Jako przyjaciel popieram twoją decyzję. Ale jako delegat muszę cię ostrzec, że Związek nie poprze cię, jeżeli złamiesz prawomocny kontrakt podpisany przez twojego upełnomocnionego przedstawiciela. Jeżeli Wytwórnia cię zaskarży, licz tylko na siebie.
– Lepiej być żywym i samotnym, niż mieć towarzystwo w grobie – mówię mu. – Dobry jest ten Mały Joe?
– Dobry. Ale nie lepszy od ciebie. Nigdy nie widziałem nikogo lepszego od ciebie. Chcesz się z nim zmierzyć?
– Nie, tylko tak pytam.
– I bardzo dobrze – mówi Charlie. – Jako twój przyjaciel radzę ci się stąd zmywać i więcej się tu nie pokazywać. Zdobyłeś już wszystko, co można zdobyć w Filmie: jesteś sławny, jesteś bogaty i masz piękną młodą żonę. Zebrałeś wszystkie nagrody. Teraz nie stój i nie czekaj, aż ktoś ci je zabierze.

– Nie mam zamiaru – mówię mu, ale czuję, że ręka sama oparła mi się na kolbie rewolweru.

Wracam do saloonu. Siadam przy wolnym stoliku, szklaneczka whisky przede mną, cienkie, czarne meksykańskie cygaro w zębach. Zastanawiam się. Mały Joe jedzie z południa. Pewnie liczy, że zastanie mnie tutaj w Comanche. Ale ja nie mam zamiaru czekać. Najbezpieczniej byłoby wracać tą samą drogą, którą przyjechałem, z powrotem do stacji Wells Fargo i tamtędy na świat. Ale nie zrobię tego. Opuszczę Plan w jego najdalszym, północno-zachodnim kącie przez Diabelski Most. Ciekawe, czy się domyślą...

Nagle na stół pada długi cień, ktoś nagle wszedł między mnie a światło, odruchowo staczam się z krzesła z odbezpieczonym rewolwerem w ręku, z palcem napiętym na spuście. Słyszę przestraszony, wysoki chłopięcy głos:

– Oh, przepraszam, panie Washburn! – To ten piegowaty pętak z zadartym nosem, który przyglądał mi się wcześniej. Teraz z otwartymi ustami wpatruje się w wylot lufy mojego rewolweru, przestraszony i zresztą słusznie, jak przystoi komuś, kto wyrwał mnie nagle z rocznego marazmu.

Kciukiem spuszczam kurek mojej czterdziestki czwórki, wstaję, chowam broń, otrzepuję się, podnoszę krzesło i siadam. Barman przynosi mi nową whisky.

– Synu – mówię do smarkacza – czy nikt ci nie mówił, że nie należy tak nagle podchodzić do człowieka? Powinienem był posłać cię do piekła z samej ostrożności.

– Przepraszam, panie Washburn – mówi. – Jestem tutaj nowy, nie wiedziałem. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo pana podziwiam.

Niewątpliwie był świeży, wyglądał na kogoś prosto po Szkole Dzikiego Zachodu, którą wszyscy musimy przejść, zanim zostaniemy dopuszczeni na Plan. Ja byłem równie surowy przez pierwsze kilka tygodni.

– Któregoś dnia – mówi on – będę tak jak pan. Myślałem, że może zechce mi pan udzielić kilku wskazówek. Mam taki stary rewolwer...

Chłopak wyjmuje broń i znow reaguję bez zastanowienia, wytrącam mu rewolwer z dłoni i walę go pięścią w ucho.

– Niech cię szlag trafi! – krzyczę. – Czy nie masz za grosz oleju w głowie? Nigdy tak nie wyjmuj broni, jeżeli nie masz zamiaru jej użyć.

– Chciałem panu tylko pokazać mój rewolwer – mówi jeszcze z podłogi.

– Jak chcesz komuś pokazać rewolwer – mówię – to wyjmuj go bardzo powoli, trzymając palce z daleka od spustu. I najpierw powiedz co chcesz zrobić.

– Panie Washburn – mówi. – Naprawdę nie wiem co powiedzieć.

– Nic nie mów, tylko wynoś się stąd. Wyglądasz mi na kogoś, kto przynosi pecha. Idź i pokazuj swój przeklęty rewolwer komu innemu.

– Czy mam go pokazać Małemu Joe? – pyta wstając i otrzepując się z kurzu.

Patrzy na mnie. Ja milczę. Chłopak przełyka ślinę i czuje, że znów coś zrobił nie tak.

Powoli podnoszę się z krzesła.

– Czy zechciałbyś wytłumaczyć tę uwagę?

– Nic nie miałem na myśli.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie, panie Washburn. Bardzo przepraszam!

– Wynoś się stąd! – mówię i chłopak znika czym prędzej.

Podchodzę do baru. Barman trzyma w pogotowiu butelkę whisky, ale powstrzymuję go ruchem dłoni i nalewa mi piwo.

– Curly – mówię – wiem, że nie można nic na to poradzić, że się jest młodym, ale czy oni muszą być tacy głupi?

– Widocznie tak, panie Washburn.

Milczymy przez chwilę.

– Natchez Parker dał znać, że chciałby się z panem zobaczyć – mówi Curly.

– Dobrze – odpowiadam.

Zaciemnienie na: ranczo na skraju pustyni. W baraku kuchennym kucharz Chińczyk ostrzy noże. Bud Farrell, jeden z kowbojów, siedzi na skrzynce i obiera kartofle. Podśpiewuje przy pracy, pochylając swoją długą końską twarz. Kucharz, nie zwracając na niego uwagi patrzy przez okno, mówi:

– Ktoś jedzie.

Bud Farrell wstaje, wygląda, drapie się po rozczochranej głowie, wygląda jeszcze raz.

– To nie ktoś, ty pogański żółtku, to coś więcej. To jest pan Washburn, to pewne jak to, że Bóg stworzył małe zielone jabłuszka!

Bud Farrell wstaje, podchodzi do głównego budynku, woła:

– Panie Parker! Jedzie do nas pan Washburn!

Washburn i Parker siedzą przy małym drewnianym stole nad parującymi kubkami kawy w saloniku Natcheza Parkera. Parker, wielki wąsaty mężczyzna, siedzi na krześle z indiańskim kocem na kolanach. Jest sparaliżowany od pasa w dół z powodu starej rany postrzałowej w kręgosłup.

– I co, Washburn – mówi Parker – słyszałem o tobie i Małym Joe Potterze, jak wszyscy tutaj. Będzie to nie byle jaki pojedynek. Żałuję, że nie będę mógł go zobaczyć.

– Sam bym chciał to zobaczyć.

– Gdzie to będzie?

– Pewnie w piekle.

Parker pochylił się.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że nie mam zamiaru strzelać się z Małym Joe. Jadę do Diabelskiego Mostu i potem prosto przed siebie, daleko od Małego Joe i całego tego zakichanego Zachodu.

Parker pochyla się jeszcze bardziej i energicznie pociera swoją siwą czupryną. Jego duża twarz ściąga się nagle, jakby nadgryzł zgniłe jabłko.

– Uciekasz? – pyta.

– Właśnie – odpowiada Washburn.

Starzec krzywi się, odchrząkuje, spluwa na podłogę.

– Nie myślałem, że kiedyś usłyszę coś takiego akurat od ciebie – mówi. – Nie myślałem, że kiedyś zobaczę, jak zdradzasz zasady, według których tak długo żyłeś.

– Natchez, to nigdy nie były moje zasady. One są przywiązane do roli. Teraz, kiedy kończę z rolą, zwracam razem z nią zasady.

Stary przeżuwa to przez chwilę i wreszcie mówi:

– Co się z tobą, do diabła, dzieje? Nagle ci tak zasmakowało życie? Czy tchórz cię obleciał?

– Nazywaj to jak chcesz – mówię mu. – Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć. Jestem ci to winien.

– Czy to nie wzruszające? – mówi Parker. – Jesteś mi coś winien, poza tym jest ci po drodze, więc postanowiłeś wpaść do mnie i powiadomić mnie, że uciekasz przed przechwalonym dzieciuchem, który ma na koncie jedną jedyną walkę.

– Zejdź ze mnie.

– Tom – mówi Parker – posłuchaj mnie.

Podnoszę głowę. Parker jest tutaj jedynym człowiekiem, który nazywa mnie po imieniu. Nie robi tego często.

– Wiesz – mówi – że przemówienia nie są moją specjalnością. Ale nie możesz tak sobie ni z tego, ni z owego uciec. Nie ze względu na innych, ale ze względu na siebie samego. Bo gdziekolwiek pójdziesz, od siebie się nie uwolnisz.

– Dam sobie jakoś radę – mówię mu.

Parker potrząsa głowa.

– Niech to diabli, jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? Pozwalają nam przebierać się i puszyć, jakby cały ten cholerny świat był naszą własnością. Płacą nam kupę forsy za to tylko, żebyśmy byli mężczyznami. Ale wszystko ma swoją cenę. My musimy być mężczyznami. Nie tylko wtedy, kiedy to jest łatwe, jak na początku. Musimy być mężczyznami do końca, niezależnie od tego, jaki to będzie koniec. My nie tylko odgrywamy te role, Tom, my je przeżywamy, poświęcamy im życie, jesteśmy nimi. Każdy może przebrać się za kowboja i przespacerować się Ulicą Główną. Ale nie każdy może nosić broń i używać jej.

– To było piękne przemówienie, Parker – mówię – ale za bardzo rozdąłeś tę scenę. Wracaj do swojej roli i kończmy sprawę.

– Niech cię diabli – mówi Parker. – Mało mnie teraz obchodzi ta scena i cały Film. Mówię do ciebie serio, Tom Washburn. Byliśmy jak bracia, odkąd przyszedłeś na Plan, przestraszony, potykający się o własne nogi wyrostek, który zdobył dla siebie miejsce samą odwagą. Nie mogę ci pozwolić uciec teraz.

– Kończę tę kawę – mówię – i odjeżdżam.

Natchez nagle skręca się na krześle, chwyta mnie za koszulę na piersi i przysuwa swoją twarz do mojej. W jego drugiej ręce widzę nóż.

– Bierz swój nóż, Tom. Wolę cię zabić własnoręcznie, niż pozwolić, żebyś odjechał jako tchórz.

Twarz Parkera tuż przy mojej, wytrzeszczone oczy, czuję kwaśny oddech starego. Przesuwam ciężar ciała na lewą nogę, prawą stawiam na skraju krzesła Parkera i mocno pcham. Krzesło przewraca się i widzę zdumienie na twarzy starego, który spada na podłogę. Wyciągam rewolwer i celuję mu między oczy.

– Na Boga, Tom – mówi.

Odciągam kurek.

– Ty głupi stary baranie – mówię – czy myślisz, że to jakaś zabawa? Straciłeś zręczność i zrobiłeś się gadatliwy, odkąd ta kula przejechała ci po kręgosłupie. Wydaje ci się, że są jakieś zasady gry i że ty je wszystkie znasz. Otóż nie ma żadnych zasad. Nie mów mi, co ja mam robić i ja nie będę mówić tobie. Jesteś starym kaleką, ale jeżeli ze mną zaczniesz, będę walczyć po swojemu i załatwię cię tak, jak mi będzie wygodnie.

Naprężam palec na spuście. Parker wybałusza oczy, usta mu się trzęsą, próbuje nad sobą zapanować, ale bez skutku. Krzyczy, nie głośno, ale cienko, jak przestraszona dziewczyna.

Spuszczam kurek i chowam broń.



– No, dobrze – mówię. – Może teraz się obudziłeś i przypomniałeś sobie, jak to jest naprawdę.

Podnoszę go i podsuwam pod niego krzesło.

– Przykro mi, że tak wyszło, Natchez. Idę już.

W drzwiach przystaję i oglądam się za siebie. Parker szczerzy zęby w uśmiechu.

– Cieszę się, że ci ulżyło, Tom. Powinienem był pamiętać, że jesteś nerwowy. Wszyscy dobrzy są nerwowi. Ale w pojedynku wszystko będzie w porządku.

– Nie będzie żadnego pojedynku, ty stary idioto. Mówiłem ci już, że odchodzę.

– Powodzenia, Tom. Daj mu popalić!

– Idiota!

Wychodzę.

Na szczycie wzgórza pojawia się jeździec, pozwala koniowi samodzielnie wybierać drogę w dół zbocza ku pustyni. Cichy świst wiatru, błyski miki, piasek ukształtowany w długie, kręte wydmy.

W promieniach południowego słońca jeździec mija gigantyczne formacje skalne wyrzeźbione przez wiatr w fantastyczne kształty. Wieczorem jeździec zsiada z konia i ogląda jego kopyta. Pogwizdując bezgłośnie pod nosem nalewa wody z manierki do kapelusza, poi konia, zakłada kapelusz i sam pije oszczędnie. Pęta konia i rozkłada się do snu. Siedząc przy małym ognisku ogląda zachód nabrzmiałego pustynnego słońca. Jest wysokim, szczupłym mężczyzną w zniszczonym kapeluszu i z czterdziestką czwórką z rogową rękojeścią przypiętą do prawego uda.

Brinstone: opuszczona górnicza osada na północno-wschodnim krańcu Planu. Nad miasteczkiem wznosi się Diabelski Most – naturalna formacja skalna w postaci szerokiego, lekko pochyłego mostu. Jego dalszy koniec, tu niewidoczny, jest mocno zakotwiczony za granicą Planu – w odległości dwustu metrów i stu pięćdziesięciu lat.

Przybywam na kulejącym koniu. Ludzi tu niewiele, ale dostrzegam jedną znajomą twarz: to ten cholerny piegus. Musiał ostro jechać, żeby znaleźć się tu przede mną. Mijam go bez słowa.

Siedząc na koniu podziwiam przez chwilę Diabelski Most. Pięć minut jazdy na drugą stronę i opuszczę Zachód na dobre, skończę z tym wszystkim, z dobrym i złym, ze strachem i śmiechem, z długimi, powolnymi dniami i niebezpiecznymi nocami. Za kilka godzin będę z Consuelą, będę czytał gazety i oglądał telewizję...

Jeszcze tylko ostatni, pożegnalny łyk whisky i zmywam się stąd.

Zatrzymuję konia przed saloonem. Na ulicy jest teraz parę osób, które mi się przyglądają. Wchodzę do saloonu.

Przy barze stoi jeden człowiek. Jest niski i krępy, ubrany w czarną skórzaną kamizelkę i bawolą czapę człowieka z gór. Odwraca się; ma za pasem jeden rewolwer bez kabury. Widzę go po raz pierwszy, ale wiem, kto to jest.

– Uszanowanie, panie Washburn – mówi.

– Jak się masz, Mały Joe – odpowiadam.

Pytającym gestem unosi butelkę. Kiwam głową. Sięga pod bar, wyjmuje drugą szklankę, nalewa mi. Popijamy w milczeniu.

Po chwili mówię:

– Mam nadzieję, że nie miałeś kłopotów ze znalezieniem mnie?

– Tylko trochę – odpowiada Mały Joe. Jest starszy niż myślałem, koło trzydziestki. Ma twardą, kanciastą twarz, wydatne kości policzkowe, czarne wąsy. Pociąga ze swojej szklanki, a potem zwraca się do mnie bardzo grzecznie: – Panie Washburn, doszły mnie plotki, którym nie chciałem wierzyć. Mówią, że chce pan wyjechać z tego terytorium i to w pośpiechu.

– To prawda – odpowiadam mu.

– Mówią też, że nie zamierzał pan przed wyjazdem zobaczyć się ze mną?

– To też prawda, Mały Joe. Uznałem, że nie mam dla ciebie czasu. Ale i tak się spotkaliśmy.

– Rzeczywiście – mówi Mały Joe. Gładzi końce wąsów i chwyta się za koniec nosa. – Prawdę mówiąc, panie Washburn, po prostu nie mogę uwierzyć, że nie chce pan ze mną zatańczyć. Wiem o panu wszystko, panie Washburn, i po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– A jednak to prawda, Joe – mówię do niego. – Kończę tę whisky, a potem wychodzę przez te drzwi, wsiadam na konia i jadę przez Diabelski Most.

Mały Joe znów pociąga się za nos, marszczy czoło i zsuwa kapelusz z czoła.

– Nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś usłyszę coś takiego na własne uszy.

– A ja bym nie uwierzył, że kiedyś coś takiego powiem.

– Naprawdę nie chce pan się ze mną zmierzyć?

Kończę whisky i odstawiam szklankę na bar.

– Trzymaj się, Mały Joe – mówię i ruszam do drzwi.

– Jeszcze tylko jeden drobiazg – mówi Mały Joe.

Odwracam się. Mały Joe odszedł o krok od baru, obie ręce ma na widoku.

– Nie mogę pana zmusić do pojedynku, panie Washburn, ale zawarłem pewien zakład w sprawie tego pańskiego kapelusza.

– Słyszałem.

– I dlatego, mimo że jest mi z tego powodu niewymownie przykro, muszę go mieć.

Stałem naprzeciwko niego nic nie mówiąc.

– Panie Washburn – mówi Mały Joe – nie ma co tak stać i patrzeć. Niech mi pan da ten kapelusz albo próbuje szczęścia.

Zdejmuję kapelusz, ocieram go o rękaw i puszczam w jego stronę. Łapie go nie spuszczając ze mnie oka.

– Niech mnie diabli – mówi.

– Trzymaj się, Mały Joe – mówię i wychodzę z saloonu.

Przed saloonem zebrała się gromadka gapiów. Stali i czekali rozmawiając przyciszonymi głosami. Drzwi saloonu rozchylają się i wychodzi przez nie wysoki, chudy mężczyzna z gołą głową. Na prawym udzie ma przypiętą czterdziestkę czwórkę i wygląda, jakby umiał się nią posługiwać. Ale nie skorzystał z tej umiejętności.

Pod uważnym wzrokiem tłumu Washburn odwiązuje swojego konia, dosiada go i zwraca w stronę mostu.

Drzwi saloonu rozchylają się ponownie. Wychodzi przez nie niski, przysadzisty mężczyzna o twardych rysach, trzymając w ręku zniszczony kapelusz. Patrzy na odjeżdżającego mężczyznę.

Washburn daje ostrogę koniowi, który waha się przez chwilę, a potem wchodzi na kamienny most. Trzeba stale przynaglać konia, żeby wszedł po pochyłej żwirowej powierzchni do połowy mostu. Tutaj Washburn zatrzymuje konia albo pozwala mu stanąć. Siedzi w najwyższym punkcie krzywizny mostu, w przejściu między dwoma światami, ale nie patrzy na żaden z nich. Wyciąga rękę, żeby poprawić rondo kapelusza i ze zdziwieniem stwierdza, że jest z gołą głową. Drapie się z rozmysłem w czoło, jak człowiek, któremu się nigdzie nie śpieszy. Potem zawraca konia i zjeżdża z powrotem do Brinstone.

Tłum obserwuje zbliżającego się Washburna. Ludzie stoją w milczeniu, bez ruchu. Potem, zrozumiawszy, co się tu będzie za chwilę działo, rozbiegają się szukając ukrycia za wozami i korytami z wodą, kucają za workami.

Na zakurzonej ulicy zostaje tylko Mały Joe Potter. Przygląda się, jak Washburn zsiada, odpędza konia z linii ognia i wolno kroczy w jego stronę.

– Hej, Washburn! – woła Mały Joe. – Wrócił pan po kapelusz?

Washburn obnaża zęby w uśmiechu i potrząsa głową.

– Nie, Mały Joe, wróciłem, bo to jest nasz taniec.

Obaj wybuchają śmiechem, jakby to był jakiś znakomity dowcip. Potem, nagle, obaj sięgają po broń. Ogłuszający huk ich czterdziestek czwórek przetacza się przez miasteczko. Dym i kurz przesłaniają pojedynkowiczów.

Dym rozwiewa się. Obaj mężczyźni stoją. Broń Małego Joe skierowana jest w dół. Chce ją okręcić na palcu i patrzy, jak rewolwer wypada mu z dłoni. Potem sam osuwa się na ziemię.

Washburn chowa broń, podchodzi do Małego Joe, przyklęka i unosi jego głowę.

– Niech to diabli – mówi Mały Joe – to był krótki taniec, co, panie Washburn?

– Za krótki – odpowiada Washburn. – Przykro mi, Joe...

Ale Mały Joe już tego nie słyszy. Oczy zaszły mu mgłą, ciało znieruchomiało. Krew sączy się z dwóch dziur w piersi i wycieka na piasek z dwóch dużych ran wylotowych w plecach.

Washburn wstaje, podnosi swój kapelusz, otrzepuje go, zakłada na głowę. Podchodzi do swojego konia. Ludzie wychodzą z ukrycia, słychać gwar rozmów. Washburn wkłada jedną nogę w strzemię, zaczyna wsiadać.

W tym momencie odzywa się drżący, cienki głos:

– Hej, Washburn, broń się!

Washburn z twarzą nagle stężałą obraca się na pięcie, żeby uwolnić prawą rękę i jednocześnie zejść z linii strzału. Nawet w tej nieprawdopodobnej pozycji udaje mu się wyciągnąć rewolwer i odwrócić twarz do piegowatego chłopaka, który stoi w odległości dziesięciu jardów z wymierzoną bronią i strzela.

W głowie Washburna wybucha słońce, słyszy rżenie swojego konia, zapada się przez piaszczystą podłogę świata, kule biją w jego ciało z odgłosem rzeźnickiego tasaka uderzającego na płask ćwiartkę wołowiny. Świat się rozpada, maszyna do robienia obrazów zostaje rozbita, oczy jak strzaskane soczewki odbijają nagłą zagładę świata. Jeszcze rozbłysk czewonego światła jak ostatnie ostrzeżenie i już tylko czerń.

Widz i aktor w jednej osobie patrzy jeszcze przez chwilę na ciemny ekran, poprawia się w fotelu, pociera podbródek. Wygląda na człowieka, którego coś dręczy. W końcu mu się odbija. Wyciąga rękę i wyłącza ekran.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

chód po dach wypchany młodzieżą. Jeden z młodych ludzi wystawił przez okno butelkę i pomachał nią do mnie. Wstęga pienistego płynu zawisła na moment w powietrzu, jak sparaliżowany proporczyk, po czym opadła i rozprysła się o ziemię.

*

- Tomaszu, ja wiem o tobie i Annie.
Mocowałem się właśnie z kęsem ciastka posypanego brązowym cukrem i wypieczonego na węgiel w piekarniku. Udawałem, że żuję pracowicie, dopóki sobie nie przypomniałem, że przecież tych ciastek się nie żuje - trzeba je raz lub dwa zmiażdżyć zębami i połknąć. Odłożyłem widelec na skraj żółtego talerza, starając się zrobić to jak najszybciej.
Sax wzięła bułkę z koszyczka na pieczywo i rozerwała ją na pół. Podniosła nóż i starannie posmarowała masłem puszyste pieczywo. Cisza trwała. Aż chciało się zacisnąć oczy i wepchnąć palce w uszy. Uwaga, nadchodzi! Coś głośnego i wybuchowego. Saxony drugą połową bułki wyczyściła talerz - wzór opanowania.
- Myślałeś, że nie wiem?
Serce waliło mi jak młot.
- Sam nie wiem, Saxony. Nie nadaję się na tajnego agenta.
- Ja też nie, ale myślę, że od samego początku wiedziałam, co się dzieje. Naprawdę. Wierzysz mi? Nie mówię ot tak sobie.
- Wiem, że nie. W to wierzę. Moja matka też zawsze wiedziała, kiedy ojciec... coś kręcił. Kiedy się jest z kimś blisko, trudno nie zauważyć, że zachowuje się inaczej niż zwykle.
- No właśnie - pociągnęła krótki, zdecydowany łyk 7-Up. Dopiero teraz zdobyłem się na to, żeby na nią spojrzeć, po raz pierwszy od chwili jak zasunęła tę bombę. Miała lekkie rumieńce, ale to może dlatego, że w pokoju było duszno. Za to moja twarz musiała przypominać oblicze Wodza Wielkiego Grzmota.
- Kochasz ją?
Trzymała szklankę w ręku. Przyłożyła ją do policzka, a wtedy bąbelki natychmiast zgromadziły się po ciepłej stronie.
- Sam nie wiem, Sax. Wszystko stanęło na głowie. Nie próbuję się usprawiedliwiać, wcale nie, ale czasami czuję się tak, jakbym się dopiero co urodził, a jednocześnie przechodził menopauzę.
Odstawiła szklankę i odepchnęła ją od siebie.
- I dlatego do niej poszedłeś?
- Nie, nie, poszedłem do niej, bo jej pragnąłem. Sam ponoszę winę za to, co się stało.
- To bardzo wielkodusznie z twojej strony.
W jej głosie wyczułem szczyptę jadu i bardzo mnie to ucieszyło. Dotychczas była śmiertelnie spokojna i obiektywna. Byłem świadkiem ostatniej awantury między rodzicami, po której matka wyszła z domu i zabrała mnie do Connecticut. Odbyło się to tak chłodno i spokojnie - jakby omawiali ostatnie notowania giełdowe.
- Co teraz, Sax? Mam sobie pójść?
Zamrugała oczami i zaczęła się bawić skrajem obrusa.
- Zrobisz co zechcesz, Tomaszu. Nie jesteś moją własnością.
- Daj spokój. Powiedz, czego ty chcesz?
- Czego ja chcę? Dlaczego właśnie teraz zadajesz mi to pytanie? Chciałam ciebie, Tomaszu. Nadal chcę. Tylko czy to w tej chwili ma jakiekolwiek znaczenie?
- Chcesz, żebym z tobą został?
Zwinąłem serwetkę w kulkę i przyjrzałem się jej zamkniętej w mojej dłoni. Saxony z upodobaniem wykładała do każdego posiłku czyste lniane serwetki. Raz w tygodniu prała je ręcznie i prasowała. Kupiła dwie zielone, dwie bladoniebieskie i dwie ceglaste - służyły nam w ciągłej rotacji. Poczułem się jak szmata.
Podniosłem wzrok i stwierdziłem, że Saxony intensywnie się we mnie wpatruje. Łza przetoczyła się przez krawędź jej powieki i poturlała w dół różowego policzka. Sax podniosła serwetkę do twarzy i spojrzała na mnie jeszcze raz. Nie miałem siły patrzeć jej w oczy.
- Nie mam prawa czegokolwiek od ciebie wymagać, Tomaszu.
Oddychała głęboko, nieregularnie. Zaczęła mówić coś jeszcze, ale urwała w pół słowa i nic więcej nie powiedziała. Spuściła wzrok i pokręciła głową. Podniosła serwetkę do oczu i powiedziała - „O kurwa".
Rozprostowałem kulkę swojej serwetki i podjąłem próbę wygładzenia jej starannie wzdłuż oryginalnej linii złożenia.

Rozdział VIII

- Uważajcie, żeby sobie nie skręcić karku schodząc po tych schodach. Jedną z wiecznych obietnic ojca było, że je kiedyś nareperuje.
Anna niosła latarkę, ale szła przed Saxony, która podążała przede mną. W rezultacie, żółty snop światła był dla mnie widoczny tylko o tyle, o ile przemykał się jak wyprężona żmija między ich nogami.
- Dlaczego wszystkie piwnice pachną jednakowo? - przytrzymałem się ściany dla równowagi. Ściana była chropawa i wilgotna. Tak samo pachniało w domu Doroty Lee, w lesie.
- Co to za zapach?
- Śmierdzi jak w rozbieralni gimnastycznej, kiedy drużyna wzięła kilka pryszniców.
- Nie, to jest czysty zapach. W piwnicach pachnie tajemnicą i kryjówką.
- Tajemnicą? Jak może pachnieć tajemnicą?
- Dobrze, już dobrze, ale na pewno nie śmierdzi rozbieralnią.
- Poczekajcie, tu jest światło.
Pstryk! - i liche, żółtawe światło rozjaśniło duże, kwadratowe pomieszczenie.
- Uważaj na głowę, Tomaszu, tu jest niski strop.
Wciągnąłem głowę w ramiona i rozejrzałem się po komnacie. Nad całym pomieszczeniem górował stojący w rogu piec barwy wojskowej zieleni. Podłoga była czymś tylko nieco szlachetniejszym od klepiska. Oprócz powiązanych w paczki starych czasopism, nie było tu właściwie nic. „Pageant", „Coronet", „Ken", „Stage", „Gentry" - nigdy nie natknąłem się na te tytuły.
- Co twój ojciec robił w tej piwnicy?
- Zaczekajcie chwilę, pokażę wam. Chodźcie.
Dopiero kiedy Anna ruszyła, zauważyłem otwarte drzwi wiodące najwyraźniej do drugiego pomieszczenia. Pstryknięcie światła - i już byliśmy w środku.
Na ścianie wisiała szkolna tablica o rozmiarach z grubsza trzy stopy na sześć. Przymocowany w jednym jej końcu pojemnik na kredę wypełniony był nowiuteńkimi, długimi słupkami białej kredy. Poczułem się jak u siebie w domu. Musiałem wręcz pohamować silny impuls podejścia do tablicy i wyrysowania diagramu budowy zdania.
- Tu rozpoczynał pisanie wszystkich książek.
Anna wzięła kredę i zaczęła coś bazgrać na środku tablicy. Narysowała niezdarną podobiznę Snopy'ego z komiksu „Fistaszki".
- Przecież mówiłaś, że pracował na górze?
- Owszem, ale dopiero po opracowaniu wszystkich postaci tu, na tej tablicy.
- Robił to przy każdej książce?
- Tak. Chował się tu na całe dnie i tworzył swój kolejny świat.
- Ale jak? W jaki sposób?
- Twierdził, że zawsze ma w głowie głównego bohatera. W przypadku „Krainy Chichów" była to Lady Oliwa, matka Ryszarda Lee. Jej imię wypisywał na środku tablicy, a pod nim szła lista innych imion.
- Prawdziwych czy zmyślonych?
- Prawdziwych, żywych ludzi. Mawiał, że kiedy myśli o prawdziwych ludziach, natychmiast przychodzą mu do głowy te cechy osobowości, które chce wykorzystać.
Napisała na tablicy *Dorota Lee*, a pod spodem *Tomasz Abbey*. Od obu imion poprowadziła strzałki w prawo. Na końcu pierwszej strzałki napisała *Lady Oliwa*, przy moim nazwisku zaś - *Autor biografii ojca*. Nie odziedziczyła po ojcu charakteru pisma: pisała zamaszyście i niechlujnie, w sposób, który niewątpliwie skomentowałbym pod wypracowaniem, gdyby była moją uczennicą.
Następnie pod *Tomasz Abbey - Autor biografii ojca*, napisała: *sławny ojciec, nauczyciel angielskiego, inteligentny, mało pewny siebie, ma zadatki, siła?*
Zmarszczyłem brwi.
- Co ma znaczyć „siła"?
Odpędziła moje pytanie machnięciem ręki.
- Cicho. Robię tak, jak on to robił. Jeżeli czegoś nie wiedział albo nie był pewien czy to wykorzysta, stawiał obok znak zapytania.
- Reszta przymiotników też mnie dotyczy? Mało pewny siebie, ma zadatki...
- Na miejscu ojca napisałabym, jaki mi się wydajesz i co uważam za interesujący materiał. To moje prywatne impresje. Nie gniewasz się, prawda?
- Kto, ja? Skąd. Absolutnie. Ani trochę...
- Wystarczy, Tomaszu, już wyraziłeś swoje zdanie.

– Skądże znowu. Ani...
– Tomasz!
Anna spojrzała na Saxony. Zdaje się, że mi nie uwierzyła.
– Czy on się na mnie gniewa?
– Nie. Zdaje mi się tylko, że ruszyło go to „mało pewny siebie", no i „sławny ojciec".
– Musisz cały czas pamiętać, że jestem sobą, a nie swoim ojcem. Gdyby ojciec chciał cię wykorzystać, mógłby dostrzec w tobie zupełnie inne cechy niż ja.
– Poważnie, Anno? Uważam, że byłby to całkiem niezły pomysł na początek książki. Opisałbym po prostu, jak twój ojciec schodzi tu sam jeden po skrzypiących schodach, zapala światło i rozpoczyna pracę nad książką właśnie na tej tablicy. Pierwszych kilka stron byłoby w tej sposób początkiem i jego książki, i mojej. Co o tym sądzisz?
Odłożyła wreszcie kredę i starła Snoopy'ego wnętrzem dłoni.
– Nie podoba mi się.
– A ja uważam, że to świetny pomysł, Tomaszu.
Nie byłem pewien, czy Sax tak powiedziała dlatego, że pomysł istotnie jej się spodobał, czy żeby dokuczyć Annie.
– Ale tobie, Anno, on się nie podoba?
Anna odwróciła się plecami do tablicy i otrzepała ręce.
– Ty jeszcze nic nie wiesz, Tomaszu, a już próbujesz wymyślać chytre grepsy i sztuczki.
– Nie zamierzałem się popisywać chytrymi sztuczkami, Anno. Naprawdę wydawało mi się, że...
– Daj mi dokończyć. Jeżeli zgadzam się na to, żebyś napisał tę książkę, to pod warunkiem, że napiszesz ją rozważnie i pięknie. Nie masz pojęcia, ile czytałam skandalicznych biografii, które ani nie ożywiają swojego przedmiotu, ani tym bardziej nie czynią go ciekawym czy intrygującym. Nawet nie wiesz, jakie to ważne, żeby ta książka była zrobiona dobrze, Tomaszu. Mam wrażenie, że przez wzgląd na mojego ojca chcesz ją napisać jak należy, ale w takim razie unikaj tanich grepsów. Żadnych grepsów, efektownych skrótów i akapitów zaczynających się od słów: „W dwadzieścia lat później". Tego sobie nie życzę. W twojej książce musi być wszystko, bo inaczej on nie...
Jej tyrada była tak żarliwa, szczera i głośna, że kiedy urwała w pół zdania, poczułem się, jakbym spadł ze stołka.
Głośno przełknąłem ślinę.
– Anno?
– Słucham.
– Anno – wtrąciła się Saxony. – Czy jesteś pewna, że chcesz, żeby to właśnie Tomasz pisał tę książkę? Czy jesteś tego pewna?
– Tak, teraz już jestem. Absolutnie.
Wziąłem głęboki wdech i głośno wypuściłem powietrze, w nadziei, że złamię tym napięcie, które wisiało nad nami jak bomba atomowa.
Saxony podeszła do tablicy, ujęła kawałek kredy i zaczęła rysować coś koło naszych imion – pani Lee i mojego. Już jej szkice kukiełek przekonały mnie, że jest zdolną rysowniczką, ale tym razem przeszła samą siebie.
Lady Oliwa – bardzo wierna, szybka kopia słynnej ilustracji Van Walta – oraz ja, staliśmy nad grobem Marshalla France'a. Nad nami, na obłoku, siedział France i operował sznurkami poprzyczepianymi do nas obojga we wszystkich możliwych miejscach. Była to niewątpliwie zręczna karykatura, ale w świetle tego, co mówiła Anna, również niepokojąca.
– Wątpię, czy jesteś tego pewna, Anno.
Saxony ukończyła rysunek i odłożyła kredę do pojemnika na skraju tablicy.
– Doprawdy? – Anna zniżyła głos. Z natężeniem wpatrywała się w Saxony.
– Doprawdy. Moim zdaniem, biografia powinna być autorską interpretacją życia przedmiotu. Nie powinna sprowadzać się do „zrobił to, zrobił tamto".
– A czy ja twierdzę, że powinna? – pogróżka w tonie Anny ustąpiła miejsca... rozbawieniu.
– Nie, ale dość dobitnie dałaś do zrozumienia, że sama będziesz o wszystkim decydować. Już w tej chwili mam silne przeczucie, że chcesz, żeby Tomasz napisał twoją wersję życia Marshalla France'a, a nie wersję Tomasza Abbeya.
– Sax, daj spokój...
– Nie, Tomaszu, to ty daj spokój. Wiesz, że mam rację.
– Czy ja coś mówiłem?
– Jeszcze nie, ale miałeś zamiar.

Ten kretyn, Dawid Louis, wciąż molestował go o coś nowego. Kiedy dowiedział się o tej książce, napisał do ojca, że chciałby przyjechać do Galen i przeczytać to, co dotychczas zostało napisane. Tak się złożyło, że przyjechał w dwa dni po śmierci Dorothy Lee. Możesz sobie wyobrazić, jaka to była przyjemność gościć go tutaj właśnie wtedy!
– Anno, opowiadasz mi niestworzone rzeczy. Właściwie mówisz, że twój ojciec był – Bogiem! Albo Doktorem Frankensteinem.
– Wierzysz mi?
– Sam nie wiem, co na to odpowiedzieć.
– Ja też nie wiem, Tomaszu. Nie wiem, co ja sama odpowiedziałabym na twoim miejscu. Niezła historia, co?
– Oj, niezła. Niezła. Można ją tak określić.
– Chcesz więcej dowodów? Poczekaj. Pańcia! Pańcia, chodź no tu!

Rozdział V

Opuszczając tej nocy dom France'a, wierzyłem jej już do końca. Widziałem książki, dokumenty, wpisy w dzienniku. Pańcia opowiedziała mi o swoim „poprzednim życiu" w postaci ludzkiej noszącej imię Wilma Inkler.
Coś niewyobrażalnego. Siedzisz sobie w fotelu, u twoich stóp pies. Pies patrzy ci prosto w oczy i blaszanym głosem opowiada, jak to jest być psem. A ty siedzisz, kiwasz głową i cały czas masz świadomość tego, co się dzieje.
Doktor Dolittle w Galen. Doktor Dolittle u czubków. Jeden czort.
Uczyłem kiedyś w szkole zasad pisania tekstów literackich. Uczniowie z upodobaniem tworzyli historie brutalne, przerażające – o obcinaniu głów, gwałtach i nadużywaniu narkotyków. Kiedy przychodziło do zakończenia, jedyną znaną młodocianym autorom metodą wykaraskania się z krwawej jatki, była wolta: „Keith przewrócił się na drugi bok i dotknął jasnych, jedwabistych włosów Diany. Na szczęście wszystko było tylko snem".
Gadające psy, współczesny Prometeusz, posługujący się wiecznym piórem zamiast gliny, jego córka, która podniecała mężczyzn do szaleństwa zwykłym szorowaniem zębów, która sypiała na zmianę ze mną i chamem w baseballowej czapce i która kto wie, czy nie bywała przyczyną ataków serca swoich byłych gachów – „Tomasz odwrócił się na drugi bok i dotknął bullteriera. – To był tylko sen, kochanie – powiedział bullterier".
I co w tej sytuacji miałem robić? Kontynuować pracę nad książką? Pisać swoje? Wracać czym prędzej do domu, zanim zwariuję?
– No i co ja mam robić? – palnąłem dłonią w zimną, czarną kierownicę i podjechałem pod stację benzynową, która miała na zewnątrz automat telefoniczny.
– Anna?
– Tomasz? Co słychać?
Ciekaw byłem, czy Ryszard jest u niej. Oznaczałoby to doprowadzenie sytuacji do perfekcji.
– Anno, co ja mam robić? Skoro już znam prawdę – powiedz mi, co mam robić?
– Też pytanie! Pisać książkę, oczywiście!
– Ale po co? Przecież nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział. A nawet jeżeli moja książka okaże się dobra i wyjdzie drukiem, to przecież ludzie powariują, kiedy to przeczytają. Twoje Galen zamieni się w... sam nie wiem, w co... w mekkę wariatów. A twój ojciec stanie się powszechnym pośmiewiskiem, bo przecież nikt nigdy nie uwierzy w te historie. A ci, którzy uwierzą, sami wystawią się na pośmiewisko.
– Tomaszu?
Jej głos przypłynął do mnie jak z obcej planety. Szyby budki zaszły parą od ciepła mojego ciała, a oświetlony cyferblat zegara z reklamą Pepsi-Coli na budynku stacji benzynowej zatrzymał się na godzinie czwartej dziesięć.
– Słucham.
– Tomaszu, muszę ci jeszcze dużo powiedzieć.
Przytknąłem rękę do skroni.
– Jeszcze więcej? Co jeszcze zostało do powiedzenia, Anno?
– A jednak. To, co najważniejsze. Powiem ci jutro. Jest już bardzo późno, więc jedź teraz do domu. Pogadamy jutro. Śpij smacznie, przyjacielu. Jeszcze coś. Tomasz? Wszystko będzie w porządku. Poznałeś najbardziej szokującą część prawdy. Reszta to już tylko P.S.-y. Do zobaczenia jutro rano.
Mgła pary wodnej wspinała się po szybach. Kiedy odwieszałem słuchawkę, ulicą przejechał samo-



Maria Komsiewicz

Oblizała usta i potarła skrzydełko nosa. Kiedy się naprawdę rozzłościła, zawsze swędział ją nos.

– To co mówisz, Saxony, jest dość okrutne, zważywszy na to, kim jestem i jaka stawka wchodzi w grę – nie uważasz? Owszem, mam swoje uprzedzenia. Rzeczywiście uważam, że książka powinna być napisana w pewien szczególny sposób...

– Nie mówiłam? – Saxony spojrzała na mnie i z żalem pokręciła głową.

– Nie wiesz, o co mi chodzi. Nie przekręcaj moich słów.

Obie założyły ręce na piersiach.

– Spokój, panienki. Jeszcze nawet nie zacząłem pierwszej strony, a wy już stoicie na stanowiskach bojowych. – Nie spojrzały na mnie, ale obie słuchały. – Chcesz, żeby w książce znalazło się wszystko, zgadza się, Anno? Ja też. Chcesz, żebym napisał tę książkę po swojemu, tak Saxony? Ja też. Czy wobec tego ktoś może mi powiedzieć, w czym ten wielki problem? No, słucham? Gdzie jest problem?

Mówiąc to, cały czas myślałem, że tę scenę mógłby odegrać mój ojciec. Może nieco zbyt melodramatyczna, ale wystarczyła, żeby uspokoić ich wojownicze nastroje.

– Już dobrze? A teraz słuchajcie, chcę złożyć propozycję. Czy mogę prosić o głos? Tak? Oto moja propozycja: ty, Anno, udzielisz mi wszelkich informacji potrzebnych do napisania pierwszego rozdziału książki po mojemu. Wszystko jedno jak długo będę go pisał, nie wolno ci zobaczyć ani słówka, zanim nie skończę i nie uznam, że jestem zadowolony z tego, co zrobiłem. Wtedy sam ci to pokażę, a ty będziesz mogła zrobić z tekstem co zechcesz – pociąć go na kawałki, poprzestawiać, wyrzucić do kosza... Nie wiem, może nawet spodoba ci się moja wersja. Wszystko jedno. Jeżeli ci się nie spodoba, wówczas, obiecuję, będę z tobą współpracował tak ściśle, jak tego zażądasz. Nie będę cię, oczywiście, nagrywał na taśmę, ale książka będzie od początku do końca wspólnym dziełem nas trojga. To absolutnie niefachowa metoda i każdy wydawca na wieść o niej rwałby sobie włosy z głowy, ale co mi tam. Jeżeli się zgadzasz, to tak właśnie zrobimy.

– No a jeżeli spodoba mi się pierwsza wersja twojego rozdziału?

– Wówczas napiszę całość po swojemu i przedstawię ci ją po ukończeniu.

Trudno o bardziej sprawiedliwą umowę. Jeżeli pierwszy rozdział nie zadowoli Anny, będziemy współpracować od samego początku. Jeżeli nie spodoba jej się gotowa książka – będzie miała prawo, no, trudno, wyrzucić całość i zatrudnić, by pracował nad nią od początku albo mnie, albo kogoś nowego. O tej ewentualności wolałem na razie nie myśleć.

– Zgoda.

Wzięła czarną, flanelową szmatkę i dwoma energicznymi ruchami starła w niepamięć rysunek Saxony.

– Zgoda, Tomaszu, ale daję ci limit: miesiąc. Miesiąc pracy abolutnie po swojemu, a po miesiącu chcę zobaczyć pierwszy rozdział. Nie stać nas na marnotrawstwo czasu.

Saxony odezwała się pierwsza, nie dając mi szansy.

– Dobrze, ale w takim razie dasz nam dostęp do wszystkiego, o co cię poprosimy. Koniec z ukrywaniem prawdy i kłamstewkami.

Na to ostatnie Anna uniosła brew. Arogancja Saxony budziła we mnie mieszaninę podziwu i rozpaczy.

– Jeżeli zamierzacie trzymać się chronologii – zakładam, że tak? – dam wam wszystko, co dotyczy okresu sprzed jego przyjazdu do Ameryki. W pierwszym rozdziale nie da się umieścić więcej materiału.

Rozdział IX

Na tym stanęło. Zgodnie z obietnicą Anny, z domu France'a popłynął potok książek, dzienników, listów i kartek pocztowych. Z początku ledwo mogliśmy się ich doliczyć, nie mówiąc o jakiejkolwiek analizie.

Wyglądało na to, że France przechowywał dosłownie wszystko, albo też ktoś robił to za niego i w odpowiedniej chwili wręczył mu komplet pamiątek. Duża, brązowa koperta pękała w szwach od mało interesujących dziecinnych rysunków przedstawiających konie i krowy. Mistrz w wieku lat czterech. Notatnik z zaprasowanymi między kartkami szczątkami polnych kwiatów i chwastów, siał je na wszystkie strony przy każdym uniesieniu, pod dowolnym kątem. Wszystkie pozostałe w zielniku chwasty i – pożal się Boże – petunie, opisane były w języku niemieckim chwiejnym dziecięcym pismem. Pudełko po butach zawierało stare, czarno-złote opaski od cygar, pudełka od zapałek, nie wykorzystane bilety na statek i na pociąg. W drugim pudełku leżało sporo starych pocztówek, do których France miał wyraźny sentyment. Wiele z nich przedstawiało góry i stare schroniska turystyczne. Turyści nosili kiedyś śmiesz-

ne stroje: kobiety w długich sukniach typu Daisy Miller i w kapeluszach typu sałatka owocowa, faceci w tweedowych bryczesach, które wydymały się jak balony w okolicy kolan i w komicznych tyrolskich kapelusikach z piórkiem. Wszyscy wpatrywali się w obiektyw: jedni z kretyńskim uśmiechem, inni z tragicznym grymasem „żona-mi-się-utopiła". Żadnych pośrednich wyrazów twarzy, które tak często widuje się na fotografiach współczesnych.

Pocztówki były od szkolnych kolegów i od krewnych, jeżeli wierzyć słowom Anny. Pudło zawierało też brązowy zeszyt szkolny, który przy bliższych oględzinach okazał się rejestrem otrzymanych pocztówek. Było to komiczne, zwłaszcza jeżeli się pamięta, że właściciel rejestru miał osiem, góra dziewięć lat. Od kogo, skąd, data, nawet miejsce, w którym on sam przebywał wówczas jako adresat.

– Anno, właściwie dlaczego on zmienił nazwisko z Martin Frank na Marshall France?

– Nie zwróciłeś uwagi na to, jak zaadresowane są pocztówki? „Marshall France, pod opieką Martina Franka". Postać zwaną Marshall France stworzył, kiedy miał może osiem lat. Była to kompilacja D'Artagnana, Beau Geste'a i Wirgińczyka. Sam mi mówił, że przez długie lata nie reagował na żadne inne imię. Wszyscy musieli zwracać się do niego per „Marshall", inaczej ich ignorował – zachłysnęła się śmiechem. – Taki smarkaty, a co za charakterek!

– No dobrze, to wszystko rozumiem, ale dlaczego po przyjeździe do Ameryki przybrał to nazwisko?

– Prawdę mówiąc, Tomaszu, sama tego do końca nie wiem. Pamiętaj, że ojciec był Żydem i uciekał przed faszystami. Może myślał, że kiedy w końcu Niemcy dojdą do Stanów Zjednoczonych będzie bezpieczniejszy pod godnym nazwiskiem France. – Pochyliła się, żeby poprawić sznurowadło. Ledwo usłyszałem dalszy ciąg jej odpowiedzi. – Niezależnie od jego motywacji, dla twoich celów to świetnie, prawda? Stał się jedną ze stworzonych przez siebie postaci. To bardzo znaczące, panie doktorze.

Popukała się palcem w czoło i obiecała, że wkrótce zobaczymy się znowu.

We dwójkę z Saxony spędziliśmy co najmniej tydzień na przeglądaniu materiału. Potem długo rozmawialiśmy i chociaż w kilku kwestiach nasze opinie się różniły, zgodziliśmy się co do tego, że z małego France'a był kawał dziwaka.

Rozmawialiśmy też o tym, jak najlepiej napisać testowy rozdział. Na studiach miałem ćwiczenia z kompozycji tekstu. Facet, który je prowadził, przyniósł na pierwsze zajęcia dziecinną lalkę. Podniósł ją do góry i oznajmił, że większość ludzi opisałaby lalkę z najbardziej oczywistego punktu widzenia. Wyrysował przy tym niewidzialną linię poziomą od własnego oka do lalki. Ale pisarz z prawdziwego zdarzenia, mówił dalej, wie, że lalkę można opisać z wielu punktów widzenia – z góry, z dołu – i że tu właśnie zaczyna się prawdziwa twórczość. Powiedziałem to wszystko Sax i dodałem, że przyjechałem do Galen właśnie po to, żeby znaleźć ten niezwykły kąt widzenia. Ogólnie rzecz biorąc, zgodziła się ze mną, ale rozmowa i tak zakończyła się karczemną awanturą o charakter rzeczonego kąta. Saxony twierdziła, że jej książka zaczynałaby się od opisu zabawnego chłopczyka, siedzącego w swoim pokoju w małym alpejskim miasteczku w Austrii i dokonującego starannych wpisów w rejestrze pocztówek. Potem wysłałaby go na dwór, żeby nazbierał kwiatów do zielnika, potem kazałaby mu narysować krowę, i tak dalej. Czyli uzyskałaby stwierdzenie nie wprost, że chłopiec był od początku życia artystą, ekscentrykiem i wrażliwcem.

Dla mnie jej pomysł był okej, ale bałem się, że skoro Anna wygwizdała moją koncepcję ze schodzeniem do piwnicy w celu rozpoczęcia pracy nad „Krainą Chichów", to storpeduje również Saxony za „grepsy i chytre sztuczki". Sax niechętnie przyznała, że dla Anny ten pomysł być może być nazbyt literacki.

Jeszcze parę dni zmarnowałem na czucie się zmęczonym, skołowanym i przybitym. Saxony trzymała się ode mnie z daleka i przesiadywała w ogrodzie z panią Fletcher. Lubiła gospodynię o wiele bardziej niż ja. Tam, gdzie Saxony dostrzegała poczciwą zapobiegliwość rodem z Missouri, ja widziałem tylko pozę i tradycjonalizm. Nigdy nie rozmawialiśmy o pani Fletcher, wiedząc, że rozmowa taka skończyłaby się kłótnią. Faktem jest jednak, że to Fałszywa Fletcher podsunęła mi pomysł na początek książki.

Któregoś dnia rano złożyłem broń i zasiadłem na górnym stopniu ganku, przyglądając się, jak pani Fletcher i Saxony krzątają się przy pomidorach. Dzień był pochmurny, duszny i z nadzieją czekałem na nadejście potężnej burzy, która oczyściłaby świat.

Wierny Kulfon wgramolił się po schodkach i usiadł koło mnie, dysząc pospiesznym „kha-kha-kha". We dwóch patrzyliśmy na żniwa pomidorów. Położyłem rękę na jego łbie. Bullteriery mają łby z kamienia, udają tylko, że to skóra i kości.

– Lubisz pomidory, Tomaszu?

– Słucham?

Nie czekałem, co jeszcze powie Anna.

– To idiotyzm, Anno. Nie wygłupiaj się. To bzdury!

Przysiadła na parapecie i schowała ręce pod koszulkę, żeby je rozgrzać. Obraz jej nagich piersi przeleciał mi – ni w pięć, ni w dziewięć – przed oczami. Anna zaczęła stukać kolanem w kolano i czyniąc to, mówiła dalej.

– Ojciec czuł, że po napisaniu „Krainy Chichów" coś się w nim zmieniło. Wiem od matki, że był o krok od rozstroju nerwowego, tak go ta książka wyczerpała. Przez blisko dwa następne lata nie pisał nic. Potem matka umarła, od czego ojciec mało nie zwariował. Kiedy „Kraina Chichów" ukazała się drukiem, zrobiła natychmiast taką furorę, że ojciec bez trudu mógł zostać znakomitością towarzyską, tylko że nie chciał. Wolał pracować w sklepie, u poprzedniego właściciela, i odbywać swoje małe wypady do St. Louis i nad Jezioro Ozarków.

Chciałem ją uprzejmie poprosić, żeby skończyła pieprzyć i zaczęła odpowiadać na moje pytania, ale zrozumiałem, że prędzej czy później sama to zrobi.

– Wtedy byłam też na studiach. Chciałam zostać wielką pianistką. Nie wiem, czy naprawdę byłam taka dobra, ale miałam motywację i silną wolę. To było zaraz po śmierci matki, chwilami dręczyło mnie poczucie winy, że ojciec siedzi w Galen sam jak palec, ale ilekroć poruszałam ten temat, on śmiał się i mówił, żebym nie pletła głupstw.

Zeskoczyła z parapetu i odwróciła się ode mnie. Patrzyła w deszczową noc. Z całej siły hamowałam szczękanie zębów. Kiedy Anna znów się odezwała, jej głos, odbity od szyby, był nieco zmieniony.

– Chodziłam wtedy z chłopakiem, który nazywał się Peter Mexico. Śmieszne nazwisko, na nie? On też był pianistą, tyle że genialnym. Wszyscy to czuli. Nie wiedzieliśmy tylko jednego: Dlaczego Peter Mexico dalej siedzi w Ameryce, zamiast studiować w Paryżu, u Boulanger, albo w Wiedniu, w szkole Webera. Od chwili poznania się byliśmy nierozłączni. Już po tygodniu zamieszkaliśmy razem. Musisz przy tym pamiętać, że był to początek lat sześćdziesiątych, kiedy takie rzeczy nie były jeszcze na porządku dziennym.

Szaleliśmy za sobą. Snuliśmy wspaniałe wizje życia w podniebnej pracowni, z dwoma fortepianami Bösendorfera.

Odwróciła się od okna i podeszła do mnie. Przysiadła na drewnianym oparciu i położyła mi rękę na ramieniu. Mówiła w ciemność.

– Tymczasem mieszkaliśmy w obskurnej klitce, a i na nią ledwo było nas stać. Oboje mieliśmy pokoje w akademiku, ale to było nasze tajne sanktuarium. Chodziliśmy tam po zajęciach albo w nocy, kiedy nie musieliśmy ćwiczyć. Wypisywaliśmy się na weekendy i gnaliśmy tam co sił w nogach. Mieszkanie było całkowicie nieumeblowane. Kupiliśmy duże wojskowe prycze z demobilu, które powiązaliśmy za nogi w coś na kształt łoża małżeńskiego.

Pewnego dnia rano obudziłam się, a Peter nie żył.

Powiedziała to głosem spikera dworcowego. Idealnie monotonnym. „Pociąg odjedzie z toru siódmego" – taki był głos Anny.

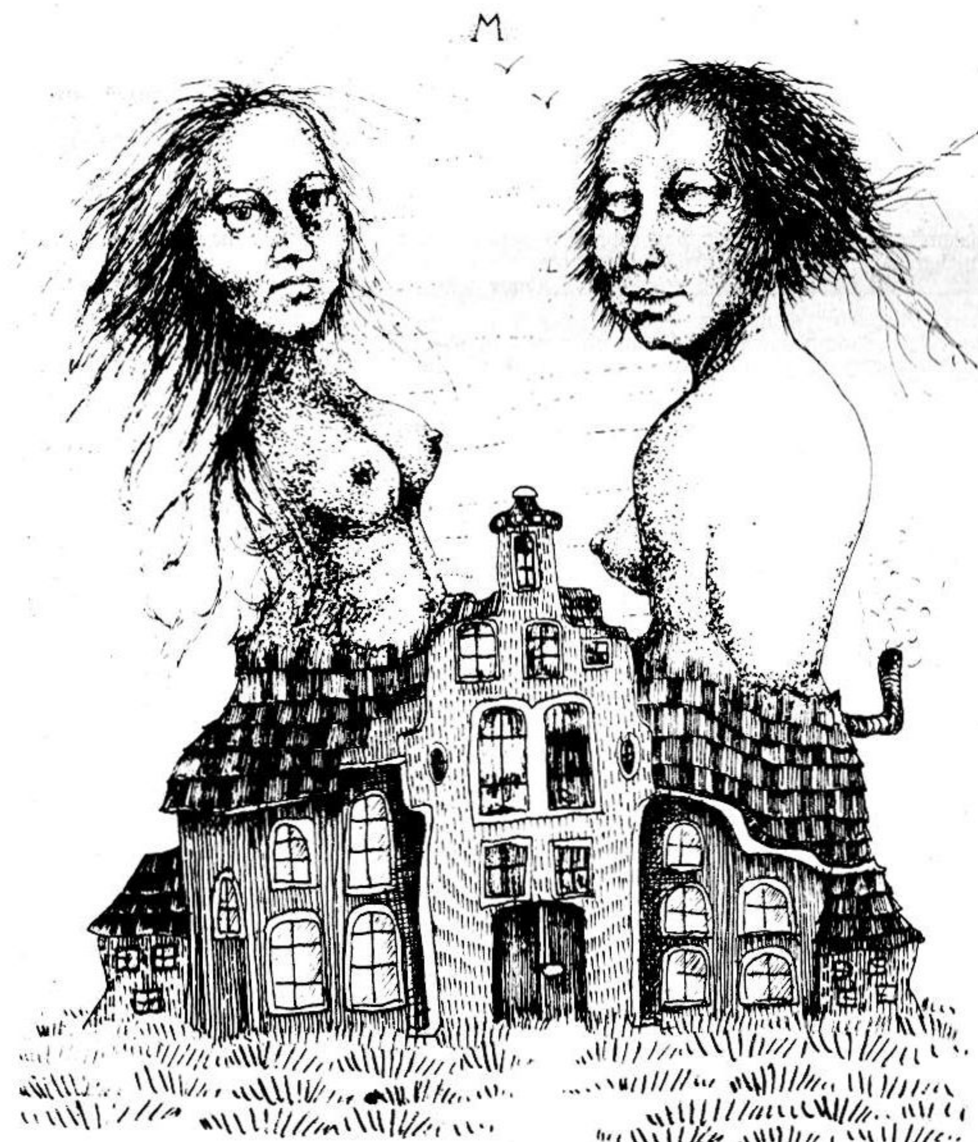
– Przyszła policja, robili te wszystkie idiotyczne badania, orzekli, że przyczyną zgonu był atak serca. Zaraz po pogrzebie ojciec przyjechał po mnie i zabrał mnie do domu. Nic nie chciałam robić. Na niczym mi nie zależało. Siedziałam w swoim pokoju i czytałam ciężką literaturę – „Proces", „Jądro ciemności", Raskolnikowa... – roześmiała się i uścisnęła moje ramię. – Byłam wzorową egzystencjalistką. „Obcego" przeczytałam dziesięć razy. Biedny ojciec, sam ledwo zaczynał wychodzić z kryzysu nerwowego, a tu zwaliłam mu się na głowę z własnym. Ale zachowywał się jak anioł. W sytuacjach kryzysowych zawsze zachowywał się jak anioł.

– Co takiego robił?

– Zapytaj raczej, czego nie robił. Gotował, sprzątał, wysłuchiwał moich ciągłych narzekań na okrutne i niesprawiedliwe życie. Dał mi nawet pieniądze na całą szafę czarnych sukien. Znasz obrazy Edwarda Goreya?

– „Harfa Bez Strun"?

– Tak. Byłam jak ta czarna kobieta z Goreya, stojąca o zmierzchu w środku pola, wpatrzona w horyzont. Powiadam ci, był ze mnie niezły numer. Ponieważ nic nie mogło wyciągnąć mnie z depresji, ojciec zaczął pisać „Nocne wyścigi", bo już nie wiedział, co ma robić. Było to całkowite i zamierzone odejście od całej jego dotychczasowej twórczości. Główną bohaterką byłam ja, ale książka miała być połączeniem prawdy i fantazji. Ojciec opowiadał, że kiedy byłam mała i budziłam się w nocy z płaczem, zawsze na uspokojenie opowiadał mi bajki, więc postanowił i teraz napisać dla mnie bajkę, w nadziei, że skutek będzie podobny. Mój ojciec był cudownym człowiekiem.



– Pytam cię, czy lubisz pomidory – pani Fletcher wyprostowała się powoli i osłaniając dłonią oczy, popatrzyła na Kulfona i na mnie.

– Pomidory? Owszem, nawet bardzo.

– A Marshall, wiesz, który Marshall – on ich nienawidził. Powiadał, że w dzieciństwie jego ojciec stale go zmuszał do jedzenia pomidorów, więc nie może na nie patrzeć. Nie jadł ani ketchupu, ani sosu pomidorowego – w ogóle nic z pomidorami.

Wrzuciła narecze dorodnych czerwonych kul do drewnianej skrzynki, którą podsunęła jej Saxony.

Nagle zorientowałem się, że mam pierwsze zdanie i pomysł na cały pierwszy rozdział.

Saxony weszła do sypialni w godzinę później, przejechała dłońmi po moich plecach, nachyliła się i zapytała, co robię. Chociaż był to gest absolutnie niepotrzebny i teatralny, nie przerywając pisania, wyrwałem z notesu pierwszą, zapisaną już stronę i podałem jej przez ramię.

– „Nie cierpiał pomidorów". Czy to ma być początek twojej książki?

– Czytaj dalej – nie przestawałem pisać.

– „Nie cierpiał pomidorów. Kolekcjonował pocztówki ze zdjęciami stacji kolejowych. Imiona i nazwiska bohaterów swoich książek brał z małego cmentarza w stanie Missouri. Pisanie każdej kolejnej książki rozpoczynał od czarnej szkolnej tablicy w wilgotnym, piwnicznym pomieszczeniu. Przechowywał wszystkie skarby z dzieciństwa, a kiedy przeniósł się z Europy do Ameryki, przyjął nazwisko zmyślonej przez siebie jeszcze w dzieciństwie postaci. W wolnych chwilach siadał za kasą w sklepie spożywczym..."

Saxony przerwała czytanie, a ja, po chwili ciszy głębokiej jak kanion, przestałem udawać, że piszę dalej.

– Widzisz, o co mi chodzi? Chcę wszystko załadować w jeden nabój i od razu wystrzelić w czytelnika. Niech łapią co chcą z pierwszego strzału, a ja w następnych rozdziałach wszystko powtórzę, starannie i pomału. Powiem to jeszcze Annie, ale dlaczego ten pierwszy rozdział nie miałby chwycić czytelnika za krawat i literalnie wciągnąć go w życie France'a? Przez cały czas unikamy jak ognia pewnego stwierdzenia, Sax. Zgadzamy się, oczywiście, co do tego że France był dziwnym dzieckiem, ale on przecież i jako mężczyzna był piekielnym dziwadłem! Ideał artysty-ekscentryka. Popatrz na jego dom, na to miasteczko, które uwielbiał, na książki, które pisał! Przez cały czas obchodziliśmy tę prawdę wielkim łukiem, bo sami przed sobą wzdrygaliśmy się przyznać, że nasz bohater jest dziwakiem. I to jakim dziwakiem!

– Ciekawe, co powie Anna na to, jak się wyrażasz o jej ojcu. Przecież ona sama, gdyby tylko dać jej cień szansy, wyniosłaby go na Olimp.

– Tak, wiem o tym, ale myślę, że jeżeli dobrze zrobię swoje, ona zrozumie, o co mi chodziło.

– Ejże, Sax, to przecież ty mówiłaś, że książka ma być wyłącznie moja!

– Dalej tak mówię.

– No więc tak właśnie chcę ją napisać. Teraz już wiem. Muszę ją napisać właśnie tak.

– Poczekaj, aż Anna to zobaczy.

– Dosyć Sax, wolałbym dla odmiany szczyptę wsparcia moralnego, dobra?

*

Burza, na którą tak oczekiwałem, przyszła wreszcie i rozpanoszyła się na całego. Przez cały następny tydzień lało z małymi przerwami. Saxony wybrała się do biblioteki i wróciła z nareczem najsłynniejszych książek dla dzieci. Podobno bibliotekarka kazała mi przekazać: „A nie mówiłam?"

Postanowiliśmy odnowić lekturę klasyki dziecięcej na wypadek ewentualnych podobieństw lub kontrastów z dziełem France'a.

„Hobbit", „Lew, czarownica i stara szafa", „Po drugiej stronie lustra"... Połowę dnia spędzaliśmy na lekturze, usadowieni na ganku w wilgotnych, wiklinowych fotelach pani Fletcher. Deszcz był łagodny i dobrotliwy, nadawał wszystkiemu barwę niebieskawą albo też połyskliwie zieloną.

Nasza gospodyni musiała zauważyć, że jesteśmy bardzo zajęci, bo prawie się nie pokazywała. Tak samo zresztą jak Anna, której nie widzieliśmy od czasu, kiedy dostarczyła nam pudła z pamiątkami France'a. Mówiła, żebym do niej zadzwonił w razie potrzeby, ale jakoś nie czułem takiej potrzeby.

Dni wypełnione lekturą, pisaniem, deszczem, igraszkami z Saxony (która utrzymywała, że zła pogoda ją podnieca, w związku z czym nasze życie seksualne kwitło), mijały błyskawicznie. Sam nie wiem kiedy przeczytałem „Chatkę Puchatka", „Fistaszki", „Władcę Zielonej Rzeki", i napisałem wstępny szkic rozdziału. Zajęło mi to nieco ponad dwa tygodnie. Uczciliśmy ten wieczór kolacją, na którą było pieczone kurczę i butelka Mateusa rosé, oraz „Pociągiem przez Niemcy" w telewizji, który jest jednym z lepszych fimów mojego ojca.

Następnego dnia obudziłem się w tak świetnej formie, że wyskoczyłem z łóżka i wykonałem dwadzieścia pompek na podłodze. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie potrzebowałem mapy, żeby wiedzieć, dokąd zmierzam. To było cholernie przyjemne.

Po serii pompek podkradłem się do biurka i zapaliłem małą lampkę Tensora, którą zakupiłem w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego Wade'a w miasteczku. Na biurku leżał tekst, Mój Tekst! Wiedziałem, że przerobię go jeszcze z dziesięć razy, ale to nie było ważne. Robiłem to, co chciałem, z kim chciałem i istniała możliwość, istniała taka możliwość, że Annie spodoba się to, co napisałem, a wtedy... O tym jeszcze nie chciałem myśleć. Najpierw skończę, potem zobaczę.

Zza drzwi usłyszałem odgłos węszenia. Szpara poszerzyła się i do pokoju wkroczył Kulfon. Wskoczył na łóżko i położył się. Ostatnio regularnie dotrzymywał nam towarzystwa w chwilach porannego dosypiania. Pani Fletcher wyznaczyła mu w holu starą, zniszczoną sofę, ale odkąd pojawiliśmy się w domu, Kulfon spędzał z nami coraz więcej czasu, dniem i nocą. Którejś nocy, kiedy właśnie mieliśmy się kochać, wskoczył na łóżko i lodowatym nosem przeciągnął po mojej gołej nodze. Walnąłem głową o kant łóżka i całe podniecenie diabli wzięli, gdzieś w pół drogi między złością a śmiechem.

Obejrzałem się przez ramię i stwierdziłem, że Kulfon znów uwalił się na piersi Saxony. Saxony śmiała się i próbowała go zepchnąć, ale nie z Kulfonem takie numery. Ani drgnął. Zamknął oczy. Przerwa obiadowa. Przeszedłem od biurka do łóżka.

– Piękna i Bestia, co? – Poklepałem psa po głowie. – Witaj, Piękna.

– Bardzo śmieszne. Nie stój tak. On mnie udusi!

– Może to erotoman i jego wytrawne psie pieszczoty?

– Tomaszu, bądź tak dobry i zdejmij go ze mnie. Dziękuję bardzo.

Kiedy już siłą przeciągnąłem Kulfona na swoją stronę łóżka (jego łeb spoczął dokładnie na mojej poduszce), Saxony założyła ręce pod głowę i spojrzała na mnie.

– Wiesz, co myślę?

– Nie mam pojęcia, Petunio, wyznaj mi, o czym myślisz.

– Myślę, że kiedy już skończysz tę książkę, powinieneś napisać biografię swojego ojca.

– Mojego ojca? Po co miałbym pisać o nim książkę?

– Uważam, że powinieneś.

Przeniosła wzrok ze mnie na sufit.

– To jeszcze nie powód.

Jej wzrok powrócił do mnie.

– Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała?

– Jasne, że chcę. Nigdy dotąd o tym nie wspominałaś.

– To prawda, ale ostatnio myślałam o tym, jak ważną rolę odgrywa on w twoim życiu, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie. Wiesz, jak często o nim mówisz? – uniosła rękę, żeby uniemożliwić mi komentarz. – Wiem, wiem, działał ci na nerwy, a w ogóle to prawie nigdy nie było go w domu. Zgoda. Ale on jest w tobie, Tomaszu. Bardziej niż w jakimkolwiek znanym mi układzie ojciec-syn. Czy ci się to podoba, czy nie, odcisnął na tobie swoje piętno i dlatego uważam, że byłoby dla ciebie bardzo ważne, żebyś wkrótce usiadł i po prostu o nim napisał. Nieważne, czy to będzie biografia, czy tylko twoje wspomnienia...

Usadowiłem się na skraju łóżka plecami do niej.

– Ale co to da?

– Ja, widzisz, w wielu sprawach nie rozumiałam swojej matki. Już ci o niej mówiłam.

– Tak, mówiłaś, że potrafiła w każdym, z byle powodu, obudzić poczucie winy.

– No właśnie. Aż kiedyś ojciec powiedział mi, że jej matka popełniła samobójstwo. Nawet nie wiesz, ile mi to wyjaśniło. Ile rzeczy nagle nabrało sensu. Nie mogę powiedzieć, że nagle zaczęłam ją bardziej lubić, ale zobaczyłam zupełnie innego człowieka.

– I uważasz, że gdybym poszperał w życiu swojego ojca, zyskałbym większą jasność, co do łączącej nas zależności?

– Może tak, może nie. – Wyciągnęła rękę i położyła ją na mojej nodze. – Uważam, że za dużo jest spraw nie rozwiązanych, które każą ci go jednocześnie kochać i nienawidzieć. Może gdybyś naprawdę zbadał, jaki on był, oczyściłoby ci to pas startowy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak mi się zdaje. Nie wiem, Sax. Naprawdę nie chcę teraz o tym myśleć. Na razie i bez tego mam kupę roboty.

– Dobra. Nie mówię przecież, żeby wszystko rzucił i zrobił to natychmiast, Tomaszu. Nie zrozum mnie źle. Ja tylko uważam, że powinieneś się nad tym zastanowić.

– Zastanowię się. Jasne.

kolor brązowy. Na stronach nie było dat. Zapis ciągły. Żadnych rysunków, żadnych ozdobników. Tylko opisy Galen, Missouri. Galen od strony wschodniej, Galen od strony zachodniej, Galen ze wszystkich pozostałych stron świata. Każdy sklep, każda ulica, nazwiska ludzi, ich zawody, pokrewieństwa, imiona dzieci. Wielu z tych ludzi znałem osobiście.

Opis jednego elementu zajmował czasem dziesięć, dwanaście, stron. Linia brwi, barwa nikłego wąsika ocieniającego usta kobiety.

Przerzucając kartki, zorientowałem się, że cały zeszyt jest taki. France sporządził szczegółowy inwentarz miasta – jeżeli coś takiego w ogóle jest możliwe. Podejrzliwie zerknąłem na ostatnią stronę kołonotatnika. Na samym dole widniał napis: „Księga Druga". Rozejrzałem się, szukając wzrokiem Anny. Wyglądała przez okno, odwrócona do mnie plecami.

– Ile jest takich ksiąg?

– Czterdzieści trzy.

– Wszystkie takie jak ta? Listy osób i przedmiotów?

– Tak, w „Pierwszej Serii" są tylko spisy osób i szczegóły przedmiotów.

– Jak to: w „Pierwszej Serii?"

– W „Pierwszej Serii Galen". Ojciec tak je nazywał. Wiedział, że zanim przystąpi do „Drugiej Serii", musi sporządzić coś w rodzaju encyklopedii galeńskiej. Samo miasto i wszystko, co było w mieście, tak jak on to widział. Skompletowanie tych danych zajęło mu przeszło dwa lata.

Odłożyłem zeszyty na kolana. W pokoju zrobiło się jeszcze zimniej, więc wyciągnąłem koszulę spod poduszki i ubrałem się.

– Czym jest wobec tego „Druga Seria"?

Anna mówiła dalej, jakby nie słyszała mojego pytania.

– Przerwał pisanie „Nocnych wyścigów w głąb Anny", żeby poświęcić temu cały czas. Dawid Louis proponował mu przerobienie całych fragmentów „Wyścigów", ale dla ojca ta książka nic już wówczas nie znaczyła. Jedyny z niej pożytek, to odkrycie kotów.

– Chwileczkę, Anno, poczekaj. Zdaje się, że coś przegapiłem. Co mówiłaś o kotach? Skąd tu nagle jakieś koty?

Bawiłem się srebrzystą, metalową spiralą kołonotatnika.

– Czytałeś „Nocne wyścigi", tę wersję którą mają mieszkańcy Galen?

– Tak, jak dłuższa.

– O osiemdziesiąt trzy strony. Pamiętasz, co się wydarzyło na ostatnich stronach naszego wydania?

Ze wstydem przyznałem się, że nie pamiętam.

– Umiera stara pani Little. Ale przed śmiercią poleca swoim trzem kotom, żeby przeniosły się do jej najbliższej przyjaciółki, kiedy już ona sama zejdzie z tego świata.

Istotnie, coś takiego tam było.

– Rzeczywiście! Potem stara umiera, a koty wychodzą z domu i maszerują wprost do jej przyjaciółki. Rozumiesz wszystko, co się stało.

Deszcz bębnił o dach. Na zewnątrz zapaliła się latarnia i widziałem, jak deszcz smaga snop jej światła.

– Ojciec napisał tę scenę w dniu śmierci Doroty Lee – Anna urwała i popatrzyła na mnie. – W książce zmienił nazwisko Doroty z Lee na Little. Dorota Little.

Anna znów umilkła. Czekałem na dalszy ciąg, ale ciszę zapełnił tylko deszcz.

– Napisał tę scenę w dniu jej śmierci? A to ci dopiero zbieg okoliczności!

– Nie, Tomaszu. Mój ojciec napisał jej śmierć.

Dłonie mi skostniały. Deszcz ciął ulicę ukośnymi strugami.

– Napisał jej śmierć, a w godzinę później przyszły koty, żeby nas zawiadomić o śmierci swojej pani – dokładnie tak, jak ojciec to napisał. W ten sposób dokonał swojego odkrycia. Usłyszałam koty i otworzyłam drzwi. Stały na dolnym stopniu ganku, a światło z holu odbijało się w ich ślepiach, nadając im barwę płynnego złota. Wiedziałam, jak ojciec nie cierpi kotów, więc próbowałam je odpędzić, ale się nie dawały. Przeciwnie, zaczęły tak głośno piszczeć i miauczeć, że ojciec zszedł na dół z gabinetu, ciekaw, co to za hałasy. Zobaczył koty w żałobie, z płonącymi ślepiami i w jednej chwili pojął wszystko. Usiadł na schodach i zapłakał, ponieważ wiedział, że to on zabił Dorotę Lee. Siedział na tych schodach, a koty właziły mu na kolana.

Przycupnięty na skraju krzesła, rozcierałem ręce dla rozgrzewki. Na dworze zerwał się wiatr, który targał drzwiami i miotał deszczem. Po chwili ustał, równie nagle jak się zaczął. Wolałbym nie rozumieć tego, co mówiła Anna, ale niestety, rozumiałem. Marshall France odkrył, że co napisał – to się działo – było – stawało się. Ot tak.

zdecydowanie żeński. W tym stworzenu istotnie tkwiła kobieta. Czy był to karzeł, czy bullterier – głos miał kobiecy. Donośny i wyraźny.

– Powiedz mu, jak się naprawdę nazywał Kulfon.

Pies przymknął oczy i westchnął, jakby go coś zabolało.

– Gert Inkler. To był mój mąż.

– O rany! Facet z albumu o dworcach kolejowych! Ten, który chciał obejść świat dookoła!

Należy pamiętać, że rozmawiałem z psem.

– Czy ja oszalałem? Rozmawiam z pieprzonym psem!

– Nie jestem psem! Chwilowo tak, ale to się zmieni, jeszcze dzisiaj. Dzisiaj koniec! Koniec! Na zawsze!

Pańcia wyraźnie była na mnie obrażona. Jej pysk co prawda nie zmienił wyrazu, ale głos stał się o ton wyższy, bardziej zaczepny. Nie warto pytać, co się działo w mojej głowie, bo i tak nie byłbym w stanie tego opisać. Siedziałem goły w łóżku Anny France i rozmawiałem z bullterierem, który oświadczał, że od dzisiaj przestaje być bullterierem.

– Wilmo, wyjdź teraz na chwilę i daj nam pomówić. Zawołam cię, jak będzie trzeba.

Patrzyłem za odchodzącym psem. Czułem się, jakby w mojej głowie rozwijał się kłębek przędzy. Myślałem, że kiedy wstanę, zakręci mi się w głowie, ale jakoś się nie zakręciło.

– Czy już wszystko rozumiesz, Tomaszu?

Usiadłem z powrotem na łóżku, doszczętnie pokonany. W ubieraniu doszedłem zaledwie do białych slipek.

– Co rozumiem, Anno? Że macie tutaj gadające psy? Nie rozumiem. Że wiedziałaś z góry , że chłopiec umrze? Nie rozumiem. Że miejscowi świętują przejechanie psa przez samochód? Nie rozumiem. Czy masz dalsze pytania? Na nie również odpowiedź brzmi – „Nie".

– Skąd wiesz o Kulfonie?

– Rozmawiał ze mną tuż przed śmiercią. Przypadkiem. Zaskoczyłem go podczas drzemki. Gadał przez sen.

– Boisz się?

– Tak. Gdzie moje spodnie?

– Nie wyglądasz na przestraszonego.

– Gdybym w tej chwili przestał się ruszać, dostałbym ataku epilepsji. Gdzie moje pieprzone portki?!

Wyskoczyłem z łóżka i latałem po pokoju jak wariat. Bałem się jak cholera, byłem śmiertelnie wyczerpany pieprzeniem Anny i dręczyła mnie potworna ciekawość.

Anna złapała mnie za nogę i przyciągnęła do siebie.

– Czy mam ci wszystko wyjaśnić?

– Co mi chcesz wyjaśniać, Anno? Puść mnie, dobrze? Co tu jest do wyjaśniania?

– Galen. Mój ojciec. Wszystko.

– Czy to znaczy, że dotychczas nic, co mi mówiłaś, nie było prawdą? To fantastyczna wiadomość. Gdzie moja koszula, do cholery?!

– Uspokój się, Tomaszu. Wszystko, co wiesz, jest prawdą, a raczej częścią prawdy. Proszę cię, przestań chodzić w kółko. Chcę ci wszystko powiedzieć. To ważne!

Zobaczyłem róg koszuli wystający spod poduszki, ale w głosie Anny było tyle siły i stanowczości, że nie sięgnąłem po koszulę. Koło łóżka stało wiekowe krzesło z bocznymi oparciami. Usiadłem w nim. Nie chciałem, żeby Anna mnie dotykała, kiedy będzie mówiła to, co ma mi do powiedzenia – cokolwiek to będzie. Popatrzyłem na swoje bose stopy i poczułem, jak zimna, drewniana podłoga wspina się na mnie przez pięty. Nie chciałem patrzeć na Annę. Nie byłem pewien, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie na nią patrzeć.

Z zewnątrz dał się słyszeć klakson samochodu. Może to Ryszard Lee przyjechał, żeby nam dotrzymać towarzystwa. Ciekaw byłem, co w tej chwili robi Saxony.

Anna podeszła do szyfonierki, która od początku przypominała mi żelazną dziewicę. Otworzyła jedno skrzydło i nachyliła się do środka. Spojrzałem na nią otwarcie dopiero kiedy się upewniłem, że nie może mnie widzieć. Anna przerzucała ubrania i buty. W pewnym momencie z szafki wyfrunął sandał, a tuż za nim gruby drewniany wieszak. Po dłuższej chwili Anna wyłoniła się z chaosu trzymając dużą, metalową skrzynkę wielkości przenośnej maszyny do pisania. Otworzyła wieko i wyjęła niebieski kołonotatnik. Postawiła skrzynkę na podłodze i przerzuciła pierwsze kartki zeszytu.

– Tak, to ten – przyjrzała się zeszytowi raz jeszcze, po czym podała go mnie. – Strony są ponumerowane. Zacznij czytać około czterdziestej.

Zacząłem czytać. Pismo było to samo: fantazyjna, wydłużona, ukośna kursywa. Atrament spłowiał na

Kulfon wsadził nos w zagłębienie jej szyi, co w przyspieszonym tempie wygoniło Saxony z łóżka. Byłem zadowolony, że rozmowa na tym się skończyła.

Wyszło słońce, więc po śniadaniu postanowiliśmy przejść się po mieście. Pora była wczesna i wszystko od rosy i wspomnienia po deszczu błyszczało jak mokre szkło. Zdążyliśmy już poznać kilka osób – właścicieli sklepów, i nie tylko – którzy machali do nas, kiedy nas mijali samochodami. To była kolejna zaleta życia w małym miasteczku: za mało było tu ludzi, żeby ktokolwiek mógł sobie pozwolić na luksus ignorowania bliźniego. Zawsze przecież istniała możliwość, że przyjdzie mu kupować kapustę u tego, kogo obraził, albo nająć go do naprawy samochodu jeszcze tego samego dnia.

Zbliżając się do biblioteki, zauważyliśmy, że po przeciwnej stronie ulicy zbliża się do nas moja przyjaciółka „Aniemówiłam". Szła chyba otworzyć bibliotekę.

– Nareszcie mam pana, panie pustelniku! Chwileczkę. Niech przejdę przez jezdnię.

Rozejrzała się na obie strony tak uważnie, jakby miała przekroczyć autostradę San Diego. Ulicą przejechała Toyota, prowadzona przez kobietę, którą często widywałem w miasteczku, ale której właściwie nie znałem. Ona też nam pomachała.

– Mam dla pana jeszcze parę książek, panie Abbey. Jest pan na nie przygotowany?

Róż na jej policzkach działał na mnie, nie wiedzieć czemu, przygnębiająco.

– Tomasz jeszcze nie skończył czytać „O czym szumią wierzby", pani Ameden. Jak tylko dojdzie do końca, odniosę cały poprzedni transport i wezmę nowy.

– Nigdy nie przepadałam za „O czym szumią wierzby". Jak można uczynić główną postacią coś tak obmierzłego jak żabę?

Zatkało mnie. Bibliotekarka zmierzyła mnie surowym wzrokiem i pokręciła niebieskawosiwą głową.

– Nie ma co się oszukiwać, taka jest prawda. Żaby, małe ludziki z włochatymi nogami, jak ten cały hobbit... Wiecie, co Marshall mówił na ten temat? „Najgorszą rzeczą – mawiał – jaka może spotkać człowieka w bajce to zostać zamienionym w zwierzę. Za to największą nagrodą dla zwierzęcia jest zamiana w człowieka". Całkowicie podzielam ten pogląd. Ale mniejsza o to, nie pozwalajcie mi tyle gadać. Jak tam pańska książka?

Im dłużej z nią rozmawialiśmy, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że w tym miasteczku wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Bibliotekarka wiedziała o testowym rozdziale, o tym, jak obficie córka France'a uraczyła nas materiałami i o nieprzekraczalnym terminie jednego miesiąca. Tylko skąd? Naturalnie, że podobnie jak Anna, wszyscy mieszkańcy miasteczka czuli się na swój sposób uprawnieni do France'a, skoro spędził wśród nich taki kawał życia, ale czy Anna z tego tylko powodu ze wszystkiego im się zwierzała, czy też był jakiś inny, mniej oczywisty powód ich wiedzy?

W wyobraźni zobaczyłem przez moment taką scenę: Anna, naga, przytroczona rzemieniami do słupa w czyjejś piwnicznej bawialni i ćwiczona batem tak długo, aż zdradzi otaczającym ją beznamiętnym twarzom Galeńczyków wszystko, co chcą wiedzieć o Saxony i o mnie.

– Pocztówki ze stacjami też mu dawałaś?

– Nie, nigdy! Aaau, tak, tak, dałam mu wszystko!

I wtedy (scena ta sama) drzwi z desek pękają z hukiem i wpadam ja, kręcąc oburącz młynka dwoma łańcuchami à la Bruce Lee Karate Mistrz.

– ...do domu?

– Tomasz!

Ocknąłem się i zobaczyłem dwie kobiety wyraźnie oczekujące ode mnie odpowiedzi. Saxony dźgała mnie w bok jak sztyletem i z całej siły szczypała pod pachą.

– Przepraszam. Nie dosłyszałem pytania.

– Od razu widać, że to pisarz. Głowa w chmurach... całkiem jak Marshall. Słyszał pan, że Anna na parę lat przed śmiercią ojca odebrała mu kluczyki do samochodu? Bez przerwy wpadał na drzewa. Marzyciel, ot co. Zwyczajny marzyciel.

Każdy tu znał co najmniej tuzin anegdotek na temat France'a. Marshall za kierownicą, Marshall przy kasie w sklepie, Marshall i jego nienawiść do pomidorów. Był to istotny raj dla biografa, ale zacząłem się zastanawiać, dlaczego oni aż tak bardzo zwracali na niego uwagę i dlaczego tak gęsto się między sobą kontaktowali. Wciąż przypominał mi się Faulkner i jego Oxford w stanie Mississippi. Z tego co czytałem, wszyscy w miasteczku znali go i byli dumni, że tam mieszkał, ale nie było to dla nich żadne wielkie halo – Faulkner był po prostu ich słynnym pisarzem. A tutejsi mówili o Marshallu Fransie jak o miniaturze Boga, jakby wszyscy byli jego sługami, albo – co najmniej – jakby dla każdego był najukochańszym bratem z licznego rodzeństwa.

Postanowiliśmy na razie nie korzystać z biblioteki, a zamiast tego odbyć spacer po mieście, bo po pierwsze nie byłem tego ranka w nastroju do oglądania jakichkolwiek książek, a po drugie paru miejsc nie odwiedzałem od kilku dni.

Wycieczka szlakiem Tomasza Abbeya rozpoczynała się od dworca autobusowego, z obłażącymi białymi ławkami parkowymi na zewnątrz i rozkładami jazdy autobusów wywieszonymi dokładnie za ławkami, tak że trzeba było niemal wejść na kolana siedzącemu tam człowiekowi, żeby odczytać, o której przyjeżdża autobus pospieszny do St. Louis. Za maleńkim pleksiglasowym okienkiem siedziała gruba, niebrzydka kobieta i sprzedawała bilety. Ileż to filmów zaczyna się od ujęcia przyprószonej kurzem stacji autobusowej w zabitej deskami mieścinie? Autobus Greyhounda sunie wolno główną ulicą, zatrzymuje się koło kawiarenki „Nick i Bonnie" albo przy tablicy dworcowej z napisem „Taylor". Nad przednią szybą, gdzie pas szkła ma kolor zielony, tkwi tablica z informacją, że ten konkretny wóz jedzie do Houston albo do Los Angeles. Ale po drodze staje ni stąd, ni zowąd w miasteczku Taylor, stan Kansas (Czytaj: Galen, Missouri) i widz, oczywiście, chciałby wiedzieć dlaczego. Przednie drzwi otwierają się z cichym sykiem i z autobusu wysiada Spencer Tracy albo John Garfield. Może mieć w ręku sponiewieraną walizkę i wyglądać jak włóczęga albo może być wystrojony w zabójcze, miastowe ciuchy. Tak czy owak, nie ma żadnego widocznego powodu, żeby wysiadał właśnie tutaj...

Moim ulubionym miejscem numer dwa był sklep z koszmarkami, zaledwie kilka kroków od dworca autobusowego. Wewnątrz stały setki gotowych do straszenia statuetek z gipsu: Apollo, Wenus, Dawid Michała Anioła, Laurel i Hary, Charlie Chaplin, dżokeje ze szpicrutami w wyciągniętych rękach. Wieńce bożonarodzeniowe czekały na klientów ustawione w karne szeregi zjaw. Właścicielem sklepiku był Włoch, który bez przerwy produkował towar na zapleczu i z rzadka tylko wychodził stamtąd, kiedy usłyszał, że ktoś buszuje po sklepie. Przez cały czas pobytu w Galen, zaledwie dwa czy trzy razy oglądałem jego dzieła w domach i ogródkach tutejszych mieszkańców, zakładałem jednak, że czerpie z nich dostateczne zyski, skoro jakoś utrzymuje się przy życiu. Najbardziej niesamowita była nieskazitelna biel wszystkich przedmiotów. Wejście do sklepiku było jak wstąpienie w chmury, tyle że chmury przybierały tu postać Johna F. Kennedy'ego albo ukrzyżowanego Chrystusa. Saxony nienawidziła kantorku i zawsze kiedy go odwiedzałem, szła do pobliskiego sklepu, żeby sprawdzić, czy nie ma przypadkiem jakichś nowych książek w tanich wydaniach. Dałem sobie słowo, że przed wyjazdem z Galen kupię coś u Włocha, chociażby przez wzgląd na to, że tyle godzin przesiedziałem w jego sklepiku. Nigdy nie spotkałem tam żadnego innego klienta.

– Aaa, to pan Abbey! Miałem nadzieję, że pan się wkrótce zjawi. Mam coś specjalnie dla pana. Proszę zaczekać.

Zniknął na zapleczu, a po chwili wyłonił się stamtąd z przepiękną małą statuetką Lady Oliwy, która – w przeciwieństwie do reszty dzieł – została pomalowana dokładnie według ilustracji w książce.

– Fantastyczna! Wspaniała! Skąd pan...

– Nie, nie, proszę mi nie dziękować, to była praca zlecona. Anna wstąpiła do mnie tydzień temu i kazała zrobić dla pana ten drobiazg. Jeżeli koniecznie chce pan komuś dziękować, to Annie.

Przebiegle wsunąłem statuetkę do kieszeni i postanowiłem na razie nie pokazywać jej Sax. Nie byłem w nastroju do brzemiennych dyskusji. Miałem jeszcze parę minut do umówionego spotkania z Saxony w jej sklepie, więc skoczyłem do budki telefonicznej i wykręciłem numer Anny.

– France, słucham? – Jej głos zabrzmiał jak uderzenie młotem w kowadło.

– Anna? Mówi Tomasz Abbey Jak się masz?

– Cześć, Tomaszu. Mam się doskonale. A co u ciebie? Jak tam książka?

– Dobrze, w porządku. Skończyłem wstępny szkic rozdziału i wydaje mi się, że wyszło jak należy.

– Moje gratulacje! Pan Tomasz Wspaniały! Zdążyłeś grubo przed czasem. Dużo niespodzianek?

W jednej sekundzie ton jej głosu przeszedł z szorstkiego w łagodny.

– Tak... sam nie wiem. Chyba tak. Słuchaj, byłem właśnie u Marrone'a i dostałem od niego twój prezent. Jest wspaniały. Miałaś fantastyczny pomysł. Jestem głęboko wzruszony.

– A co na to Saxony? – głos Anny był z powrotem zimny i wyniosły.

– Hmmm, jak by ci to powiedzieć, jeszcze jej nie pokazałem.

– Właśnie tego byłam ciekawa. Ale przecież możesz jej powiedzieć, że jest to prezent dla was obojga. Powiedz jej, że to mała premia za skończenie rozdziału. Za to się chyba na ciebie nie pogniewa, co?

– Ale dlaczego miałbym tak mówić? Przecież to prezent dla mnie od ciebie?

– Tak, to prawda, ale nie zrozum mnie źle – jej głos zamarł i zawisł gdzieś w przestrzeni, nie wyjaśniając niczego.

– No więc, jeżeli to jest prezent od ciebie, to nie mam zamiaru z nikim się nim dzielić.

Uświadomiłem sobie, że jestem rozdrażniony.

Nic z tego nie rozumiałem, ale zaraz przypomniał mi się pewien kawałek z „Krainy Chichów", w którym Lady Oliwa poucza jedno ze swoich dzieci:

Pytania są niebezpieczne,
Nie ruszaj ich, będą spały.
Zapytasz – zbudzisz, i znacznie więcej
Niż myślisz pytań powstanie.

– Tomasz? Jesteś tam? Co się stało?

Zobaczyłem wylewające się z kuchni żółte światło i usłyszałem przenośne radio Saxony, które brzęczało nowym rockowym przebojem, nadawanym wówczas bez przerwy. Saxony nazywała ten utwór „Pieśnią Na Cześć Chińskiej Tortury Wody".

Kiedy wszedłem do kuchni, podniosła wzrok znad rzeźby i wzruszyła ramionami.

– No i co tam się stało?

Rozdział IV

– Anno?

Odgarnęła włosy z czoła i podłożyła jedno nagie ramię pod głowę.

– Słucham.

– Słyszałaś o psie pani Fletcher?

Patrzyłem na jej piersi.

– Owszem, słyszałam, że wczoraj w nocy przejechał go samochód. To przykre, prawda?

W jej głosie nie było jednak wiele smutku. Sam nie wiedziałem, czy chciałbym widzieć jej minę, kiedy zadam następne pytanie. Pokój był mroczny i pełen cieni. Pachniał seksem i starymi drewnianymi meblami wystawionymi na zimowe chłody. Pierwszy raz uprzytomniłem sobie ten zapach, a także fakt, że za nim nie przepadam.

– Byłem przy tym, jak pani Fletcher otrzymała wiadomość – dwoma palcami prawej ręki zacząłem bębnić po kocu, który okrywał nas od pasa w dół.

– Mhm?

– Mówię, że byłem przy tym, jak pani Fletcher otrzymała wiadomość. Wiesz, co zrobiła?

Anna bez pośpiechu odwróciła twarz w moją stronę.

– No, co takiego zrobiła, Tomaszu?

– Śmiała się. Była zachwycona. Zachowywała się, jakby od lat nie słyszała równie dobrej wiadomości.

– To stara wariatka, Tomaszu.

– Tak, wiem, stale mi to powtarzasz. Ale Karolina Cort nie jest wariatką, prawda?

– Karolina Cort? Skąd ty ją znasz? – sądząc po głosie, Anna nie była zadowolona.

– To ona przyszła do nas z wiadomością dla pani Fletcher. Też się cieszyła. Pocałowała mnie na pożegnanie – pociągnąłem koc ku sobie.

– Żeby je pokręciło!

Anna usiadła w łóżku i sięgnęła po koszulkę i dżinsy, leżące na podłodze po jej stronie. Nie wiedziałem, czy mam się wynosić, czy zostać. Kiedy Anna wpadała w złość, lepiej było usunąć się jej z drogi.

W dwie minuty była ubrana. Stanęła koło łóżka z rękami na biodrach i wpatrywała się we mnie z wściekłością. Przez chwilę miałem wrażenie, że mnie uderzy.

– Pańcia! – świdrując mnie oczami, ryknęła na psa całkiem nie swoim głosem. – Pańcia, chodź tutaj!

Czekając na Pańcię, mierzyliśmy się wzrokiem. Usłyszałem stukot pazurów po drewnianych schodach, a potem tupotanie psich łap po chodniku w holu. Anna podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je. Pańcia wdreptała do środka, obrzuciła mnie lekceważącym spojrzeniem, przysiadła na stopie Anny i oparła się o jej nogę.

– Pańcia, powiedz Tomaszowi, kim jesteś.

Pies spojrzał na nią z kamiennym pyskiem.

– Masz mu powiedzieć! Już można, już czas. Musimy mu powiedzieć.

Pies zaskowytał i wciągnął łeb między barki. Wystawił łapę jak do uścisku dłoni.

– Powiedz mu!

– Wil-Wilma Inkler.

Ostrożnie przesunąłem się na skraj łóżka. Głos był identyczny jak wtedy głos Kulfona: przypominał głos karła, z tym, że w przypadku Pańci był jeszcze bardziej makabryczny, czy też perwersyjny, bo

Saxon dłubała w kuchni przy marionetce, a ja wypisywałem na maszynie notatki do Rozdziału Trzeciego, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zawołałem, że ja otworzę, ale zanim wstałem z krzesła, wystukałem jeszcze jedną literę.

Na ganku, pod nieosłoniętą, górną żarówką, stała ładna młoda dziewczyna, której jeszcze nigdy nie widziałem. Promieniała z radości.

– Dobry wieczór, panie Abbey. Jest pani Fletcher?

– Pani Fletcher? Chyba jest.

Drzwi na górze były zamknięte. Wdrapałem się na schody i zapukałem. Pani Fletcher wyszła w szlafroku i w kapciach.

– Cześć, Tom. Co się stało? Oglądam Kojaka.

– Jakaś dziewczyna jest na dole, chce się z panią widzieć.

– W środku nocy?

– Tak. Czeka przy wejściu.

– W taką pogodę? Poczekaj, wezmę cię pod rękę, bo inaczej nogi sobie połamię na tych schodach.

Kiedy zeszliśmy na dół, dziewczyna stała dokładnie w tym samym miejscu co przedtem.

– Karolina Cort! Co cię do mnie sprowadza o tej porze? – pani Fletcher pogrzebała gorączkowo w kieszeniach szlafroka i triumfalnie wydobyła zniszczone etui na okulary z różowej skóry. Zakładając filigranowe oprawki za uszy, zrobiła krok do przodu. – No, co tam takiego?

Karolina Cort uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i dotknęła łokcia starej kobiety. Patrzyła to na panią Fletcher, to na mnie.

Przez moment zląkłem się, że może być Świadkiem Jehowy albo orędowniczką Jezusa, która przychodzi w środku nocy z intencją nawracania grzeszników.

– Nie uwierzy pani, pani Fletcher. Kulfon zabity, przed chwilą! Potrącony we mgle przez samochód!

Zamknąłem oczy i potarłem podbródek. Poczułem, jak mgła podchodzi mi do nosa, o mało się nie zakrztusiłem. Z zamkniętymi oczami usłyszałem głos pani Fletcher. Przenikliwy i rozentuzjazmowany.

– Którego dzisiaj mamy? Czy to się zgadza, Karolino? Już nie pamiętam.

Usłyszałem nerwowy chichot i otworzyłem oczy. Karolina energicznie kiwała głową i uśmiechała się od ucha do ucha.

– Co do joty, Gąseczko! Jest dwudziesty czwarty października!

Spojrzałem na panią Fletcher. Też się szczerzyła, nie mniej niż Karolina. Zakrywała usta dłonią. Uśmiech wymknął się jednak spod jej dłoni i rósł dalej.

– Kto to zrobił, Karolino?

– Sam Dorris! Dokładnie tak, jak miało być!

– Dzięki Bogu!

– Tak. A Timmy Benjamin grał z braćmi w futbol i złamał sobie palec!

– Mały palec? Złamał mały palec? – pani Fletcher wczepiła się w rękaw Karoliny.

Wpadły w ekstazę. Obejmowały się i całowały, jakby właśnie odtrąbiono koniec wojny. Pani Fletcher spojrzała na mnie oczami pełnymi łez. Nie mogłem się w tym wszystkim połapać.

– To na pewno dzięki tobie, Tom. Wszystko idzie teraz jak należy.

Promieniała. Zabili jej psa, a ona nie posiadała się ze szczęścia.

– Czy mogę pana pocałować, panie Abbey? Nie ma pani nic przeciwko temu?

Karolina cmoknęła mnie gorąco w policzek, odwinęła się i poleciała z powrotem w mgłę. Sam nie wiedziałem, gdzie jest bardziej niesamowicie – w domu, czy na dworze.

Pani Fletcher jeszcze raz obrzuciła mnie uszczęśliwionym spojrzeniem.

– Odkąd się wziąłeś za tę książkę, Tom, wszystko zaczęło iść tak, jak powinno. Anna dobrze wiedziała, co robi, mój synu.

Ujęła moją dłoń w obie ręce.

– A Kulfon, pani Fletcher? Przejechali go. Nie żyje.

– Wiem o tym. Zobaczymy się rano, Tom.

Weszła na górę, pomachała mi ze szczytu schodów, po czym zamknęła drzwi, odgradzając swój świat od naszego.

Wróciłem do naszego apartamentu i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Kulfon zabity. Pies, który do mnie mówił, został zabity. To fatalne (albo świetne, zależy od punktu widzenia), ale ta radość na twarzach obu kobiet, kiedy Karolina przyniosła wiadomość...



Maria Korusiewicz

– Przecież tak naprawdę wcale byś się nie dzielił. My dwoje przecież wiedzielibyśmy...

Rozmowa przerodziła się w autentyczną kłótnię. Mówiąc uczciwie, poczułem się rozczarowany. Otrzymanie prezentu sprowokowało mnie do mimowolnego snucia fantazji na temat tego, co mnie może spotkać z Anną, a jej lekki ton podziałał na mnie jak zimny prysznic. Zresztą, nie wiem, o co chodziło. Na koniec Anna oświadczyła, że Pańcia ma wyznaczone szczepienie u weterynarza i szybko zakończyła rozmowę. Żegnając mnie, powtórzyła jeszcze raz, że gdybyśmy czegoś potrzebowali, ona chętnie służy pomocą – i już jej nie było. Odwiesiłem słuchawkę, ale przedtem jeszcze przez chwilę trzymałem na niej rękę. Co ja, u diabła, wyprawiam? Nie dalej jak rano cieszyłem się, że moje życie tak się przyjemnie poukładało, a nie minęły dwie godziny i ciskam słuchawkę telefoniczną, bo nie mogę się dobrać do Anny France.

Opuściłem budkę i zgnębiony podreptałem do sklepu, w którym miałem się spotkać z Saxony.

– Hej, Sax, jak tam? Co porabiasz?

– Tomasz! To ma być niespodzianka!

Człowiek zza lady stanął przed nią i uśmiechnął się do mnie wyrozumiale. W ręku trzymał kilka fiolek z tuszem do rzęs.

– Od kiedy się malujesz, Sax?

– Na razie tylko próbuję, nie denerwuj się.

Chciałem jej powiedzieć, że jej oczy podobają mi się tak jak są, ale nie zamierzałem wypaść w oczach sprzedawcy jak postać z „Mojej małej Margie". Sprzedawca nosił na kitlu małą plakietkę z nazwiskiem: Melvin Parker. Przypominał domokrążnego misjonarza, który chodzi od drzwi do drzwi głosząc ewangelię.

Coś stuknęło za naszymi plecami. Odwróciłem się i ujrzałem Ryszarda Lee, który jednym głośnym haustem opróżniał ćwierćlitrową butelkę coca-coli.

– Siemasz, Mel. Siemasz, Abbey. Witam – to ostatnie przeznaczone było dla Saxony. Powiedział to z taką galanterią, że miałem wrażenie, iż za chwilę zasalutuje w daszek od czapki baseballowej. Poczułem lekkie ukłucie zazdrości.

– Mel, chodź no tu do mnie na chwileczkę.

Sprzedawca podszedł do stoiska z szyldem „Recepty", a Lee dołączył do niego. Mel sięgnął pod ladę i wydobył gigantyczne, czerwono-białe pudło niepowlekanych kondomów „Trojanin". Lee ani słowem nie wspominał, po co przyszedł.

Nie chcę się pysznić, ale „Trojan" można było przechowywać w portfelu i po trzy lata, kiedy się miało lat dwanaście czy trzynaście, z uwagi na ich niebywałą trwałość i grubość gumy. Krążył nawet taki dowcip, że żeby przebić „Trojanina", trzeba przejechać po nim ciężarówką. Istotnie, były bardzo mocne, ale kiedy przychodziła magiczna chwila i powód do ich zastosowania, cała przyjemność przypominała kopulację z zeppelinem na interesie.

Lee nachylił się do Parkera i długo mu coś szeptał do ucha. Starałem się nie zwracać na nich uwagi, ale miałem do wyboru albo tych dwóch, albo rzęsy Saxony w lustrze po przeciwnej stronie.

– A teraz niech no tylko znajdę te zafajdane kluczyki, to zabiorę cię na przejażdżkę moim buldożerem!

Uznałem, że musi to być puenta świńskiego dowcipu, bo Lee ryknął, jakby mu komar wleciał do rozporka.

Pośmiali się obaj serdecznie, chociaż śmiech Ryszarda Lee był bardziej wymuszony i trwał dłużej niż śmiech Parkera.

„Trojanie" zniknęli w brązowej papierowej torbie i zostali opłaceni brudnym banknotem dwudziestodolarowym.

Upychając torbę pod pachą, Lee odebrał resztę i zwrócił się do mnie. Mam paskudny zwyczaj oceniania ludzi już przy pierwszym spotkaniu. Niestety, bardzo często się mylę. Ale jestem przy tym konsekwentny i jeżeli ktoś nie spodoba mi się od pierwszego wejrzenia – nawet jeżeli jest to anioł w przebraniu – trzeba dużo czasu, żebym dostrzegł swój błąd i zmienił stosunek do człowieka. Ryszarda Lee nie polubiłem. Wyglądał na takiego, co całymi dniami paraduje w samych gaciach, a kąpiel bierze co drugi czwartek. W kącikach oczu zauważyłem u niego grudki ropy, a w takich przypadkach zawsze mnie korci, żeby je powycierać. Tak samo jak zawsze mam ochotę zdjąć z brody właściciela niezauważony okruch.

– Słyszałem, że Anna pozwoliła panu pisać książkę. Moje gratulacje.

Moje serce nieco zmiękło, kiedy Ryszard wyciągnął wielką grabę, ale natychmiast znów stwardniało, bo zobaczyłem, że szczerzy się bezwstydnie do Saxony.

– Może byście do mnie zajrzeli dziś wieczorkiem? Pokazałbym wam zdjęcia matki i takie tam. Wpadnijcie na kolację. Myślę, że starczy dla wszystkich.

Na nocnym stoliku leżały wspomnienia o Jamesie Jonesie – pióra Willie Morris, przed szafą stały moje zapasowe tenisówki, czarne, na łóżku leżał pies.

– Tomasz. Tak. Tomasz.

Pisnąłem histerycznie. Nie podskoczyłem, kiedy wymówił moje imię, ale prąd przeszył mi kręgosłup i w tej samej chwili zaskowytałem.

Biała kupa zakotłowała się, szczeknęła parę razy i pies stanął w pościeli, patrząc mi w oczy jakby nigdy nic i merdając przy tym ogonem. Wyglądał zupełnie jak stary, głupi Kulfon.

– Słyszałem cię!

Mimo całego przerażenia, czułem się jak idiota przemawiając do niego w ten sposób. Kulfon dalej w najlepsze merdał białym pejczem ogona. Zwolnił na moment, kiedy do niego mówiłem, ale natychmiast wrócił do tempa szybkiej wycieraczki samochodowej.

– Kulfon, nie rób ze mnie durnia. Mówię ci, że wszystko słyszałem.

Co ja wyrabiam? – pomyślałem jednocześnie. Kulfon bezbłędnie odegrał rolę „brzydkiego pieska" – wziął ogon pod siebie i stulił uszy.

– Do cholery, psie! Wszystko słyszałem! Nie rób jaj! Słyszałem, jak gadałeś „Oddychać przez sierść"...

Urwałem w pół zdania, bo Kulfon zrobił coś dziwnego. Przymknął na dłużej oczy i przysiadł na tylnych łapach, jak żaba, z miną kompletnie zrezygnowaną.

– No? Jak tam? Powiesz coś jeszcze? No, gadaj! Nie udawaj Greka!

Słowo daję, sam nie wiedziałem, co mówię. Kulfon otworzył oczy i spojrzał prosto na mnie.

– Wracają – powiedział – Zaraz będą w domu.

Jego głos był donośny i wyraźny, ale przypominał głos karła – piskliwy i jakby z trudem przechodzący przez gardło. Miał rację. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi samochodu i głosy na zewnątrz. Spojrzałem na Kulfona, a on puścił do mnie oko.

– Kim ty właściwie jesteś?

Nic nie powiedział. Szczeknął zamek u wejścia i już po chwili cały dom zapełnił się jasnobrązowymi sklepowymi torebkami, zmarzniętymi policzkami i ujadaniem Kulfona.

Chciałem się komuś zwierzyć, ale ilekroć zbierałem się na odwagę wyznania wszystkiego Saxony przypominało mi się opowiadanie Jamesa Thurbera o jednorożcu w ogrodzie. Myszowaty człowieczek odkrywa w ogrodzie jednorożca. Mówi o tym swojej wielkiej jak piec żonie. Żona wyśmiewa go, jak zawsze, kiedy jej coś mówi. Jednorożec dalej odwiedza ogród, ale pokazuje się tylko mężowi. Ten z kolei zamęcza starą opowieściami o swoim wspaniałym, nowym przyjacielu. W końcu żona ma tego dość i dzwoni po facetów w białych kitlach z kaftanem bezpieczeństwa. Opowiadanie ma dalszy ciąg, w którym to właśnie żonę odwożą do czubków, ale ja zawsze pamiętam je tylko do tego miejsca, w którym mąż o jeden raz za dużo wspomniał o jednorożcu, a żona złapała za telefon i wykręciła numer domu wariatów.

Ale jeżeli nie mogłem zwierzyć się Saxony, to już na pewno nie mogłem powiedzieć Annie. Już i tak wystarczająco się wpakowałem, opowiadając jej o tym, jak zobaczyłem Latawiec Krang na twarzy Sharon Lee. Teraz tylko brakowało, żebym dołożył do listy Kulfona – Psa Który Mówi, a moje dni jako biografa Marshalla France'a byłyby policzone.

Kulfon trzymał się odtąd z dala ode mnie. Nie wskakiwał już z rana na łóżko, nie chodził po domu. Ilekroć znaleźliśmy się w jednym pomieszczeniu, obserwowałem go czujnie, ale ciasno obciągnięty skórą, bezmyślny pysk nie zdradzał niczego poza guzikami psich oczu i okazjonalnym błyskiem różowych jak balonowa guma do żucia dziąseł, kiedy Kulfon jadł albo dokonywał toalety. Pies w każdym calu.

Stwierdzono przecież, że morświny mówią, prawda? W języku małp też odkryto parę słów, tak czy nie? A ta kobieta z Afryki, Goodall? Czemu wobec tego gadający pies miałby budzić aż takie zdziwienie? Te i tym podobne idiotyczne racjonalizacje latały mi po głowie na nieopierzonych skrzydłach. Byłem świadkiem cudu, a jednak zastanawiałem się, czy przypadkiem nie tędy właśnie przechodzą na „tamtą stronę" wszyscy wariaci. Kobiety o twarzach latawców... gadające psy... Wszystko, co miałem w sobie za lekkie dziwactwa, nagle wstało z miejsc, skłoniło się głęboko i zaczęło po mnie krążyć w przyspieszonym tempie – nieco nadmierne upodobanie do kolekcjonowania masek, ciągłe mówienie o ojcu, które wskazywałoby na coś w rodzaju obsesji... Tego typu drobiazgi.

W czterdzieści osiem godzin po cudzie, Kulfon stracił życie. Codziennie przed spaniem pani Fletcher dawała mu jeść i wypuszczała na ostatni spacer. W Galen nikt się zbytnio nie przejmował zaleceniem wyprowadzania psów na smyczy, psy wałęsały się swobodnie po mieście o każdej porze dnia.

Tego wieczora wszystko kryła gęsta zimowa mgła; nieliczne odgłosy dobiegały z ulicy jak przez watę.

Stopniowo, z mgły słów, zaczął się przede mną wyłaniać prawdziwy obraz tego człowieka. Fakty, które ustaliliśmy na początku, stały się teraz trywialne i nieistotne. Gdzie się urodził, co robił w roku 1927, gdzie jeździł z rodzicami na wakacje... Wszystko to notowałem z obowiązku, ale cały czas pragnąłem dobrać się głębiej, pod skórę. Chciałem go poznać tak dobrze, żeby wiedzieć, jak myślał mając lat dwadzieścia, dwadzieścia pięć, czterdzieści. Czy chciałem być nim? Czasami. To chyba normalne dla biografa. Jak można chcieć zgłębić życie drugiego człowieka, bez tajemnej choćby ochoty zostania tym człowiekiem?

Co mnie tak pociągało w Marshallu Fransie? Jego wizja. Umiejętność tworzenia światów, które czarowały, przerażały, zdumiewały, rodziły podejrzenia, kazały z całej siły zaciskać powieki albo klaskać w ręce z radości. Tworzył te światy bez przerwy, bez wysiłku. Wyznałem to któregoś dnia Annie, na co zapytała mnie, jaka jest różnica między książkami jej ojca, a dobrym filmem, który w gruncie rzeczy działa na odbiorcę tak samo. Niby miała rację, a jednak ja nigdy nie oglądałem filmu, który byłby tak bliski mojej wyobraźni jak dowolna książka France'a. France mógłby z powodzeniem być moim psychoanalitykiem albo najbliższym przyjacielem, albo spowiednikiem. Wiedział, jak mnie rozśmieszyć, jak przestraszyć, jak zakończyć opowieść w ten jeden, jedyny właściwy sposób. Był jak kucharz, który doskonale zna mój gust w przyprawach. Jeżeli wziąć pod uwagę, że w ten sam sposób odbierały dzieła France'a setki, tysiące osób, to dokonania tego człowieka zasługiwały na najwyższy podziw.

Czasami, kiedy wracałem po południu, Saxony nie było w domu. Nigdy nie pytałem, dokąd chodzi – zakładałem, że jest z panią Fletcher. Dom był wtedy zimny i ciemny, tylko na podłogach i meblach pod oknami kładło się sennie smutne październikowo-szare światło. Robiło się od tego jakoś tak zimowo i smutno. Walcząc z pustką, obiegałem jak głupi cały dom, zapalając wszystkie światła po kolei. Miałem żal do Saxony, że nie siedzi w domu, chociaż sam siebie karciłem za hipokryzję. Zwłaszcza, kiedy pół popołudnia schodziło mi na pracy, a drugie pół na kochaniu się z Anną.

Byłem w znakomitej formie seksualnej. Nie wiem, czy chciałem ukarać Annę za Ryszarda Lee, czy udowodnić jej, że jestem lepszy. Z czasem zacząłem odczuwać obecność Ryszarda jako wieczny cień – jego ręce wyłaniały się z ciemności. Wiedziałem, że jest to rewanż Anny, która odpowiada na pieszczoty cienia, pojękuje i porusza się dla niego, chce jego. Właśnie to działało na moją wyboraźnię jak ostroga, ilekroć pomyślałem o Annie.

Jednego z takich bezmyślnych, smutnych wieczorów odkryłem tajemnicę Kulfona. Anna i ja kochaliśmy się tego dnia od ściany do ściany, przez całą podłogę. Było to mocne, ale przez cały dzień nie wykonałem ani kawałka pożytecznej pracy; czułem się zmęczony i przygnębiony. Tęskniłem do wieczoru z Saxony. Zamierzaliśmy oglądać w telewizji klasyk Ronalda Colmana, na który szykowaliśmy się cały tydzień. W ramach niespodzianki, wracając do domu, kupiłem po drodze wszystkie surowce potrzebne do przyrządzenia gorących krówek z bakaliami.

Już wchodząc po schodach zauważyłem, że w naszej części domu się nie świeci. Skrzywiłem się i poprawiłem torbę z zakupami, którą trzymałem na brzuchu. Jadąc do domu, wymyśliłem sobie ckliwą, sentymentalną scenkę – kopniakiem otworzę drzwi na oścież i popędzę prosto tam, gdzie akurat będzie Saxony, każę jej wszystko rzucić, bo Tom Wspaniały jest w domu, i powiem – „Oto sekretne skarby tajemniczego Wschodu, o pani". (W tym miejscu miałem wysypać przed nią siekane orzechy.) „Kadzidło i mirra z jaskiń Zanzibaru!" (Wisienki maraschino.) Kolejna pompatyczna kwestia – i na stole ukazałby się gęsty słodki syrop. Byłem aż w dwóch miejscach, żeby dostać jej ulubiony gatunek.

Ale wszystko na nic, bo Saxony nie było w domu. Otworzyłem frontowe drzwi i cicho zamknąłem je za sobą. W domu unosiła się woń dusznego gorąca z kaloryferów i wilgotnego, zagrzybionego drewna, którym zimą pachną podłogi. Już-już miałem zapalić światło, kiedy moja ręka zamarła w pół gestu, bo usłyszałem głos – a raczej mamrotanie – z sypialni. Aha! Saxony ucięła sobie drzemkę!

Skradając się na czubkach tenisówek z kuchni do sypialni, jeszcze raz usłyszałem niewyraźny głos. Prawie obcy. Za wysoki i za bardzo urywany jak na głos Saxony. Otworzyłem drzwi najwolniej jak umiałem, żeby nie skrzypnęły. Story były szczelnie zaciągnięte. Jedynym ciałem widocznym na łóżku była nieziemsko biała, dobrze znajoma klucha, odwrócona grzbietem do mnie – Kulfon. Piękny widok, nie przeczę, ale chwilowo wyjątkowo nieudany jako substytut Saxony.

Łapy wyprężył sztywno przed sobą. Kilka razy zadrżał na całym ciele i klapnął szczęką. Pomyślałem, że pewnie znów śnią mu się jakieś psie koszmary. Wtedy przemówił.

– Sierść. Właśnie. Oddychać przez sierść.

Lodowaty prąd przebiegł mi w górę po kręgosłupie, aż do karku. Pieprzony pies gadał! Nie byłem w stanie się poruszyć. Chciałem usłyszeć więcej, ale jednocześnie chciałem stamtąd wiać co sił w nogach.

Błyskawicznie omiotłem wzrokiem wszystkie kąty pokoju. Byliśmy sami. Byłem sam.



Maria Korusiewicz

Popatrzyłem na Sax z nikłą nadzieją, że wymyśli jakąś wymówkę. A z drugiej strony wiedziałem przecież, że prędzej czy później będę musiał porozmawiać z tym facetem ze względu na to, jak ważna była jego matka.

– Ja bardzo chętnie, a ty, Tomaszu? Nic specjalnego dzisiaj nie robimy, o ile pamiętam.

– Nie. Oczywiście. To świetnie. Doskonały pomysł, Ryszardzie. Serdeczne dzięki za zaproszenie.

– No to załatwione. Po południu idę na ryby i jak będziemy mieli szczęście, na kolację czekają nas świeże zębacze, prosto z haczyka.

– To fantastycznie. Świeże zębacze, no, no, no.

Spróbowałem okazać entuzjazm, ale jeżeli mimo to zdradził mnie wyraz twarzy, to tylko dlatego, że pomyślałem o wąsach zębacza.

Ryszard poszedł sobie, a Saxony zdecydowała się na Max Factora. Podszedłem do lady, żeby zapłacić. Mel, kręcąc kasę, pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie lubiłem zębaczy. Są takie tłuste tylko dzięki temu, że żrą co popadnie. Takie ryby-śmieciarze, wie pan? Dwa dolary siedem centów, proszę pana.

*

Wszędzie krzyże. Jezus demonstrował krwawe rany z pięćdziesięciu rozwieszonych po całym pokoju obrazów, z których każdy przedstawiał go w innych mękach. W całym domu pachniało smażoną rybą i pomidorami. Wszystko prócz kanapy, na której usiadłem, a która dla odmiany pachniała mokrym psem i tytoniem.

Żona Ryszarda Lee, Sharon, miała niewinną, a zarazem niepokojąco różową twarz, typową dla karlic. Ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać, nawet kiedy potknęła się o bullteriera imieniem Kumpel i runęła jak długa. Dwie córki, Midge i Ruth Ann, były za to jej przeciwieństwem: snuły się z kąta w kąt, jakby powietrze było dla nich za gęste.

Ryszard pochwalił się przed nami kolekcją broni palnej krótkiej, kolekcją broni palnej długiej, kolekcją wędek i rzadkim okazem monety z głową Indianina. Sharon przyniosła album rodzinny, ale większość zamieszczonych w nim zdjęć przedstawiała albo kolejne psy, które trzymali w domu, albo – trudno odgadnąć czemu – zdjęcia członków rodziny w chorobie lub kontuzji: Ryszard uśmiechający się do własnej nogi w grubym białym gipsie, Midge radośnie demonstrująca paskudny czarnoniebieski siniak pod okiem, Ruth Ann leżąca na wznak w łóżku, które wyglądało na szpitale, z wyraźnymi oznakami cierpienia na twarzy.

– Biedactwo, co jej było? – zapytałem, wskazując na fotografię Ruth Ann.

– Kiedy to było? Zaraz, zaraz. Ruth Ann, nie pamiętasz, kiedy ci robiłem to zdjęcie?

Ruth Ann przyczłapała bliżej i przyglądając się zdjęciu, chuchała mi na tył głowy.

– To? To wtedy jak mi dysk wyskoczył na gimnastyce. Nie pamiętasz, tatusiu?

– Ależ oczywiście, Ryszardzie, to jest to zdjęcie z wypadniętym dyskiem.

– Psia krew, rzeczywiście. Jej pobyt w szpitalu kosztował mnie koło trzystu dolców. Mieli wolną tylko pół-separatkę, ale dałem ją tam, wszystko jedno. Prawda, że tak, Ruth Ann?

Chociaż odzywali się do siebie tonem spod budki z piwem (tak też wyglądali i tacy byli), nie ulegało dla mnie wątpliwości, że bardzo się lubią. Ryszard co chwila obejmował którąś w pasie, to żonę, to córki, a one były tym zachwycone i za każdym razem wtulały się w niego z radosnym popiskiwaniem. Trochę niesamowicie zrobiło mi się na myśl o tej gromadce siedzącej w smutnym, białym domu nad zdjęciem Ruth Ann na wyciągu, a z drugiej strony – ile jest na świecie szczęśliwych rodzin, których członkowie cieszą się nawzajem swoją obecnością?

– Kolacja gotowa, wszyscy do stołu.

Jako gość honorowy, dostałem największego zębacza, z paszczą rozwartą w przedśmiertnym skurczu. Nie zabrakło też duszonych pomidorów z liśćmi mlecza. Nic nie pomagało, że spychałem zębacza w najodleglejszy kąt talerza: nie mogłem się go pozbyć. Uznałem w końcu, że w tej walce nie wygram i muszę zjeść chociaż trochę.

– Dużo pan już napisał tej swojej książki?

– Nie, właściwie dopiero zaczynamy. To potrwa.

Państwo Lee wymienili spojrzenia przez stół i na parę sekund zapadła cisza.

– Napisać książkę – to jest coś, czego bym nigdy nie potrafił. W szkole, owszem, od czasu do czasu lubiłem coś przeczytać.

– Powiedz mi coś więcej, Tomaszu, bo ja kompletnie nie mam pojęcia, jak to jest w szpitalu. Przecież nie spędziłam tam połowy swojego cholernego życia.

– Nie denerwuj się tak, Sax, bo jeszcze dostaniesz ataku serca.

Pod pierwszym z brzegu pretekstem nawiałem z pokoju. Kulfon deptał mi po piętach. Takiej rozdrażnionej nie widziałem jej od dnia pierwszego spotkania, kiedy zaproponowałem, że odkupię od niej książkę France'a.

Kuchnia tonęła w blasku słońca. Na dworze było zimno jak diabli, ale w domu ciepło jak w ulu, a wpadające przez okno słońce czyniło mieszkanie żywym i przytulnym.

Wziąłem szklankę i obejrzałem ją pod światło – Saxony miała bzika na punkcie brudnych naczyń i sztućców. Szklanka pomyślnie przeszła przez kontrolę. Podszedłem do lodówki po puszkę soku pomidorowego, ukochanego napoju Saxony.

Stuk-stuk-stuk – i oto Saxony stała w drzwiach, opierając się ciężko na kulach.

– Tomaszu?

– Co tam, koleżanko? – przebiłem puszkę otwieraczem i obróciłem ją o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zrobić otwór na drugim brzegu pokrywki.

– W tym szpitalu było okropnie. Przepraszam, jestem głupia i rozdrażniona, ale tak bardzo się cieszę, że jestem z powrotem tutaj, z tobą, z Kulfonem, i tak dalej, że to wszystko wyłazi ze mnie nie tak jak trzeba. Jestem wstrętna, przepraszam.

Odłożyłem otwieracz i popatrzyłem na nią. Framuga drzwi tworzyła wielką, białą ramę wokół jej postaci w sosnowo-zielonej sukience. Minę miała zmęczoną i czujną zarazem. Na sekundę stanął mi w oczach obraz Anny, nagiej, pod Ryszardem Lee.

– Chcesz się kochać, Sax? Myślisz, że to ci dobrze zrobi? Odprężysz się trochę? Może właśnie to jest sposób na przełamanie lodów. Już nic nie mów, tylko idź do łóżka. Musimy to wszystko z siebie wyrzucić.

– Ale ja mam... to na nodze. Nie będzie ci przeszkadzać? Tym też się martwiłam, kiedy leżałam w szpitalu. – Patrzyła w podłogę i kręciła głową. – Człowiek ma tam tyle czasu na myślenie o głupstwach i ciągle wyszukuje sobie nowe zmartwienia. Bałam się, że nie będziemy tego mogli robić przez całe miesiące, dopóki każą mi nosić to świństwo na nodze.

Uniosłem łyżkę jak cygaro i zastrzygłem brwiami jak Groucho Marx.

– Mój miły króliczku, jedyną trudnością będzie utrzymanie mnie z dala od ciebie, skoro to tango już się raz zaczęło! – jeszcze raz poruszyłem brwiami i strząsnąłem popiół z cygara. Wcale nie miałem ochoty się kochać. – Powiedz tylko magiczne słowo, a ptaszek sfrunie na dół i wypłaci ci pięćdziesiąt dolarów.

Podszedłem do niej, ugiąłem kolana i zarzuciłem ją sobie na ramię. Była ciepła, ciężka i miękka, pachniała świeżą bielizną. Wydałem okrzyk Tarzana i potykając się po drodze kilka razy, przebiegłem drogę z kuchni do pokoju, taszcząc na plecach Saxony.

I jak było? Okej. Dobrze. Świetnie. Szczerze mówiąc, było w porządku. W porządku i tyle. I wcale nie chodziło o gips.

Rozdział III

Nagle wszyscy w Galen zrobili się dla mnie strasznie mili. Nie wiedziałem, czy to dlatego, że wiedzą, że Anna zaakceptowała mój pierwszy rozdział, czy dlatego, że wiedzą, że zostałem kochankiem Anny (a raczej jednym z jej kochanków). Tak czy owak, pani Fletcher na pewno wiedziała co jest grane, bo nieraz po powrocie Saxony ze szpitala pomagała mi się wymknąć z domu do Anny.

Saxony i pani Fletcher spędzały razem sporo czasu. Nieraz widziałem, jak się do siebie przytulają i chichoczą, całkiem jak matka i córka. Saxony udzielała pani Fletcher lekcji rzeźby w drewnie, a Gąseczka uczyła ją, jak się gotuje „wiejskie żarcie". Widząc taką bliskość między nimi, byłem rozdarty między coś w rodzaju zazdrości i ulgę. Nigdy nie czułem bliskości z kimś starszym, nawet z matką, która była dla mnie bardzo dobra, ale zbyt neurotyczna, zbyt zaborcza, żeby się z nią dało dłużej wytrzymać. A Sax i Gąseczka chichotały, piekły i dłubały w drewnie, często jak dwie małe dziewczynki, które zaszyły się w kącie sali, zaabsorbowane swoją sekretną, dziewczyńską zabawą. Wiedziałem o takich zabawach, bo szpiegowałem siostrę i jej koleżanki. Były przy tym zawsze takie szczęśliwe i zadowolone z siebie, że ze złości cofałem się o krok od dziurki od klucza albo szpary w drzwiach i na całe gardło wrzeszczałem, że wszystko widzę, powiem mamie! Chociaż nigdy nic złego nie robiły.

Tymczasem Anna, w drugim końcu miasta, dopuściła mnie do kartoteki France'a i spędzałem tam często całe popołudnia, siedząc przy jego biurku, pocąc się nad wczesnymi utworami, notatkami, szkicami, i tak dalej.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział I

Szabadabada – był wieczór i w rytm walca sunąłem do Anny, nieco wcześniej niż się zapowiadałem. Saxony miała za parę dni wrócić do domu, ale nie zamierzałem się tym martwić aż do ostatniej chwili. Zbliżając się do domu Anny zobaczyłem, że światło na ganku się zapala, a drzwi frontowe stają otworem. Ukazała się w nich Anna z Ryszardem Lee. Śmiali się, Anna trzymała rękę na jego ramieniu. Ryszard nie patrzył na nią, ale w ostatniej chwili odwrócił się gwałtownie i wziął Annę w ramiona. Całowali się pod samą lampą. Trwało to i trwało. Ryszard Lee! Dlaczego, na litość Boską, Ryszard Lee? Kiedy się wreszcie od siebie oderwali on położył ręce na gorsie jej białej bluzki, ona zaś roześmiała się z czegoś, co powiedział. Podniosła do ust jego rękę i ucałowała ją. Ryszard odwrócił się i zszedł po stopniach ganku. Pańcia odprowadziła go aż do furgonetki zaparkowanej na wprost wejścia do domu.

– Jutro w porządku, tak, Anno? – huknął tubalnym głosem ponad dachem wozu.

Anna kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Ryszard wesoło poklepał karoserię, a wycofując wóz, zostawił na drodze gumową łatę z opony.

Kiedy „zjawiłem się planowo" w kilka minut później, Anna wyglądała na zadowoloną, że przyszedłem przed czasem. Miała niebywałe rumieńce. Zaciągnąłem ją na górę, do sypialni, i potraktowałem w łóżku jak dmuchaną lalkę. Kiedy skończyliśmy, nie minęły dwie sekundy jak rzuciłem się na nią znowu, jeszcze gwałtowniej niż za pierwszym razem. Na ogół nie rozmawialiśmy przy tym, ale tym razem zapytałem ją, czy robi to jeszcze z innymi mężczyznami.

Kołysała się pode mną i wierciła, a jej palce ugniatały i szczypały moje ciało gdziekolwiek się znalazły. Oczy miała zaciśnięte, a usta otwarte w pięknym, zmysłowym uśmiechu.

– Tak. Tak. Tak – trzymała mnie mocno za szyję i dyszała chrapliwie w samo ucho. Nie otworzyła oczu, tylko dalej się uśmiechała. Wiedziała, że na nią patrzę.

– Z kim?

Trzymałem w dłoniach jej piersi. Sam nie wiedziałem, czy chcę ją zranić, czy zajeździć na śmierć, czy wiać gdzie pieprz rośnie, czy co.

– Tak. Tak. Tak.

Kołysała się i kiwała głową, powtarzając „tak". Słowa poruszały się w takt jej bioder.

– Z kim?

– Z Ryszardem Lee – nie otwierała oczu. – Ty-i-Ryszard. Och! Ty-i-Ry-szard!

Dlaczego to, do cholery, musiał być właśnie on? Dlaczego upatrzyła sobie tego chama w baseballowej czapce? A on – czy kupił skrzynkę Trojan, żeby ich używać właśnie na Annie?

Anna nic już więcej nie mówiła, ale byłem pewien, że odpowiedziałaby na każde pytanie dotyczące „ich dwoje Ta jej szczerość do reszty zamąciła mi w głowie. Po raz pierwszy spędziłem u Anny całą noc

Rozdział II

– Nareszcie w domu! Cieszysz się?

Opierała się na staromodnych drewnianych kulach. Jej twarz powlekała szpitalna bladość. Przekuśtykała do łóżka, złożyła na nim kule i siadła z impetem. Sprężyny jęknęły i ugięły się.

– Mógłbyś mi podać szklankę wody? Kulfon, przestań, proszę cię.

Kulfon od chwili jej wejścia tańczył po całym pokoju. Saxony w pierwszej chwili wzruszyła się jego radosnym powitaniem, ale jej wzruszenie szybko przeszło w autentyczną złość, bo Kulfon stale plątał się pod nogami. Nie odzywałem się, chociaż byłem zdania, że Saxony okazuje w tej kwestii pewną nadwrażliwość. Kulfon nic nie mógł na to poradzić, że był szczęśliwy.

– Kupiłem ci sok pomidorowy, Sax. Może wypijesz Krwawą Mary? Mamy trochę sosu Worcestershire i pieprzu...

– Już jestem zmęczona. Boże, jakie to głupie. Dziesięć minut temu wyszłam ze szpitala i już padam.

Podszedłem do łóżka i usiadłem przy niej. Położyłem dłoń w miejscu, gdzie jej kolano zamieniło się w twardy gips.

– Nie martw się, zawsze tak jest po długim leżeniu w łóżku. Organizm przyzwyczaja się do pozycji horyzontalnej. To nic wielkiego. Przecież nikt od ciebie nie wymaga, żebyś natychmiast wstała i startowała do Bostońskiego Maratonu.

– Teraz przecież też czytasz, Ryszardzie, co ty wygadujesz? Masz prenumeraty na co się da.

Sharon pokiwała głową, jakby sama sobie przyznawała rację. Nadal ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać, nawet w trakcie jedzenia.

– No tak... tego... ale ten Marshall to umiał pisać, co? Miał tysiące gotowych historii w jednym małym palcu. – Ryszard pokręcił głową i usunął z talerza pomidor. – Myślę, że jak człowiek ma w sobie tyle niesamowitych pomysłów, to już musi zostać pisarzem, nie ma rady. Albo do czubków. A ty jak myślisz, Tom? – wpakował całego pomidora do ust i mówił przez niego. – Są tacy, co mają w sobie niesamowite historie, ale wystarczy im, jak je raz komuś opowiedzą. Wygada się taki i już mu dobrze. Jak Bob Fumo, no nie, Sharon? Bob potrafi przez całą noc bez przerwy opowiadać pierwszorzędne historie, potem pójdzie spać, obudzi się – i może opowiadać następną setkę. Gada i ma spokój. A tacy jak ty, mają pewnie o wiele gorzej, nie?

– I o wiele wolniej – uśmiechnąłem się do talerza i przesunąłem widelcem kawałek ryby.

– No właśnie, wolniej. Jak myślisz, ile czasu ci zajmie skończenie tego o Marshallu?

– To naprawdę bardzo trudno powiedzieć. Jeszcze nigdy nie pisałem książki, a zanim się do niej zabiorę na dobre, powinienem się jeszcze dowiedzieć mnóstwa rzeczy.

Znów nastąpiła pauza w konwersacji. Sharon wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Saxony zaoferowała jej pomoc, ale została spławiona, kategorycznie i z uśmiechem.

– Słyszałeś, że chłopak Haydenów, ten, którego samochód potrącił przed waszym domem, już nie żyje? – twarz Ryszarda była przy tym bez wyrazu. Ani cienia litości, cienia żalu.

Mnie jednak coś ścisnęło w żołądku, trochę dlatego, że widziałem wypadek na własne oczy, a trochę dlatego, że chłopczyk na dwie sekundy przed rozpłaszczeniem się na jezdni, był zdrowy i zadowolony.

– Jak to znieśli jego rodzice?

Ryszard przeciągnął się i popatrzył na drzwi do kuchni.

– W porządku. Co tu można zrobić?

Jak ludzie tak mogą? Ich syn ginie w wypadku, a oni nawet nie mają ochoty czegoś rozwalić albo przynajmniej powygrażać Bogu pięścią? Chłopi i prostactwo to ludzie z innej gliny, oczywiście, oglądają śmierć na co dzień, wszyscy o tym wiemy, ale ludzkie uczucia to w końcu ludzkie uczucia, do cholery! Jak można nie opłakiwać śmierci dziecka? Miałem nadzieję, że Lee tylko popisuje się stoicyzmem.

– O raju, coś mi się przypomniało! Anna mnie przecież uprzedzała, że on umrze. Czy to nie dziwne?

Saxony, która spałaszowała całą rybę, pomidory i chwasty, zakręciła łyżeczką.

– Jak to – uprzedzała? Skąd mogła wiedzieć, że on umrze?

– Nie pytaj, Sax. Pamiętam tylko, jak mówiła, że dziecko umrze. Swoją drogą, nie trzeba było wielkiego jasnowidza, żeby tak mówić – mały był w bardzo kiepskim stanie, kiedy go zabierali z ulicy.

– Za kogo ty masz Annę, Tom – za Niewiarygodnego Kreskina? Oglądałeś kiedyś tego gościa w programie Johnny Carsona? Tego magika? Nie do wiary, co on wyprawia za sztuki...

Drzwi do kuchni otwarły się z rozmachem i do pokoju wkroczyła Sharon z wielkim, parującym plackiem na czarnej metalowej tacy.

Teraz uwaga. Ja to widziałem na własne oczy, a wnioski można wyciągać jakie kto chce. Widziałem i tyle. Saxony twierdzi, że ona nie widziała. Kiedy jej to później opowiedziałem, nazwała mnie idiotą, a już na dobre się wściekła, kiedy z uporem twierdziłem, że to prawda. To była prawda.

W „Smutku Zielonego Psa" jest postać imieniem Krang. Krang jest zbzikowanym latawcem, który doszedł do wniosku, że wiatr to jego wróg. Codziennie błaga, żeby go puścić w górę, aby na wiecznym polu walki – czyli na niebie – mógł dalej toczyć swoją wojnę z wiatrem. Zielony Pies zakochuje się w twarzy wymalowanej na latawcu. Ucieka z domu, w którym mieszkał i w którym, „panami wszystkiego, co ludzie uważali za swoją własność, były Ziewaki", wykrada Krang z szafy, mocuje jej biały sznurek do swojej obroży i we dwójkę wyruszają w świat.

Kiedy Sharon Lee ukazała się w drzwiach kuchni, zobaczyłem z początku Sharon Lee. A kiedy spojrzałem ponownie, zobaczyłem, że to Krang wychodzi z kuchni z gorącym plackiem na czarnej metalowej tacy. Żywa ilustracja Van Walta: szeroko otwarte, puste oczy, w których czai się radość potwierdzona wesołym uśmiechem od ucha do ucha. Czerwone policzki, czerwone usta, cyrkowo żółta cera... Z początku pomyślałem, że to może maska – a ja ich miałem za przygłupów? Ktokolwiek miał w domu taką maskę, a jeszcze do tego umiał ją włożyć w odpowiednim momencie, był geniuszem! Prymitywnym bo prymitywnym, ale geniuszem. Poczułem się jak w filmie Felliniego albo w komiczno-koszmarnym śnie, z którego człowiek wcale się nie chce obudzić, chociaż straszy.

– To niesamowite, Sharon! – powiedziałem to o wiele za głośno, ale nie da się ukryć, że byłem zdrowo zaskoczony. Zerknąłem w prawo, ciekaw, jak zareagowała Saxony. Patrzyła na mnie, z niezadowoleniem marszcząc brwi.

– Co jest takie niesamowite?

– Sharon! Nie wygłupiaj się Sax, chyba widzisz, to zdumiewające!

Saxony przeskoczyła mnie wzrokiem i posłała uśmiech w stronę Krang.

– Rzeczywiście, rzeczywiście! – pisnęła w końcu, ale pod nosem mruknęła do mnie: – Bez przesady, Tomaszu, ciasto jak ciasto.

– Taak, cia-sto-jak-cia-sto, świetny kawał.

– Tomasz... – jej uśmiech znikł bez śladu, a w głosie zabrzmiała groźba.

Coś tu było nie w porządku. Odwróciłem się i zobaczyłem Sharon, która krajała placek. Nie Krang. W całym domu nie było ani jednej Krang. Była tylko wiecznie uśmiechnięta Sharon Lee i jej słynny gorący placek z brzoskwiniami.

– Domyślam się, że Tom zje dużą porcję, prawda, Ryszardzie?

– Chyba tak, jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się tak bezczelnie przymawiał. Może dasz mu całe ciasto, kochanie, a my zadowolimy się prażoną kukurydzą?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Sharon nałożyła mi wielki kawał placka. Szczęka mi opadła. To przecież przed chwilą była Krang, jak pragnę zdrowia. Kropka w kropkę ilustracja Van Walta. Sprawdziłem to później, żeby się upewnić.

Żadnej maski nie było. To była Sharon, za chwilę Krang, a potem znów Sharon. Byłem jedynym, który to widział. Byłem jedynym, którego to spotkało. Gdybym dniem i nocą ślęczał nad biografią, miałbym przynajmniej jakieś wytłumaczenie: biograf A wciela się w życie autora B, i to tak dokładnie, że wszędzie zaczyna widzieć postacie stworzone przez B. Owszem, to był pogląd od dawna znany i oklepany, ale ja przecież nawet jeszcze nie zacząłem pisać tej książki!

W kilka dni później, kiedy Saxony znów wybrała się po zakupy z panią Fletcher, jadłem obiad z Anną.

Z nieszczerym rozbawieniem opowiedziałem jej o swoim „przywidzeniu".

– Krang? Tylko Krang? Nikogo więcej nie widziałeś? – Anna podsunęła mi jajecznicę.

– Jak to: tylko Krang? Na litość Boską, Anno, jeżeli niespodzianki będą się mnożyć w tym tempie, to nie minie tydzień, a będę patrzył jak wszyscy bohaterowie jego książek galopują po podwórku na grzbiecie Kulfona.

Na dźwięk imienia Kulfon, ogon Pańci dwukrotnie pacnął o podłogę. Siedziała tuż przy Annie, licząc na to, że coś spadnie ze stołu.

Anna jadła gorącą sałatkę z curry.

– Nie wydaje mi się, żeby Sharon Lee była bardzo podobna do Krang – uśmiechnęła się Anna.

– Właściwie w ogóle nie jest podobna. Mają tylko jedną wspólną cechę: ten przyklejony uśmiech od ucha do ucha.

– Coś ci powiem, Tomaszu, może poprawi ci to humor. Czy wiesz, że Van Walt był moim ojcem?

– Van Walt, twoim...? Chcesz powiedzieć, że twój ojciec sam ilustrował książki? To jego rysunki?

– Van Walt istniał naprawdę, był przyjacielem ojca z dzieciństwa, zabili go naziści. Ojciec przybrał jego nazwisko, kiedy zaczął ilustrować książki.

– A więc można przyjąć hipotezę, że Sharon Lee była w pewnym sensie pierwowzorem Krang?

– To całkiem możliwe. Sam mówisz, że mają identyczny uśmiech. – Anna otarła usta serwetką, którą następnie odłożyła na stół koło talerza. – Osobiście uważam, że to dla ciebie dobry znak. Ojciec staje się twoim dybukiem, będzie cię teraz prześladował bez przerwy, dzień i noc, dopóki nie skończysz książki.

Popatrzyłem na nią przez obszar świeżego białego obrusa. Zamrugała szybko oczami, roześmiała się i podała Pańci pod stołem kawałek jajka. Nie od razu uświadomiłem sobie, że kiedy tak na mnie spojrzała, dostałem niesamowitej erekcji.

Gdyby historia ta była filmem z lat czterdziestych, następne ujęcie pokazywałoby duży kalendarz. Kartki opadałyby jedna po drugiej, co jest filmolandzką prezentacją upływu czasu. Harowałem jak wół, cyzelowałem, przycinałem i polerowałem tekst, który na zmianę to mnie zachwycał, to zniechęcał. Raz wstałem w środku nocy, po długim i wyczerpującym kochaniu się z Saxony. Podszedłem do biurka i tępo gapiłem się na rękopis w blasku księżyca. Przez dobrą minutę groziłem mu palcem, po czym wróciłem do łóżka, nie czując się ani odrobinę lepiej. Chciałem, żeby tekst był idealny – lepszy niż sobie wymarzyłem. Podejrzewałem, że jest to dla mnie coś w rodzaju ostatniej szansy. Jeżeli nie włożę w ten tekst wszystkiego, lepiej będzie wrócić do Connecticut i przez resztę życia wykładać „Szkarłatną literę" uczniom dziesiątej klasy.

przeżycia były niczym w porównaniu z moimi, ale opowieści o koleżankach, o gimnazjum, o szczególnych względach ze strony otoczenia, itepe, budziły tyle skojarzeń, że głowa mało mi nie odpadła od potakiwania.

Opowiadałem jej o sobie, nie czując ani cienia zażenowania.

Wstąpiliśmy do baru przy szosie i oboje zamówiliśmy na śniadanie „Przysmak Szofera": jajka, naleśniki, parówki, grzanki i kawę, która okazała się nawet do wypicia. Byłem głodny jak wilk i spałaszowałem wszystko. Kiedy skończyłem i podniosłem wzrok na Annę, zobaczyłem, że i ona wymiotła talerz do czysta, do oryginalnego desenia w czerwone i białe paski. Oparła mi rękę na kolanie i poprosiła Millie, kelnerkę, o jeszcze dwie kawy. Chciałem, żeby wszyscy w barze wiedzieli, że kobieta, która jest ze mną to Anna France i że nie dalej jak przed paroma godzinami kochaliśmy się jak szaleni na wzgórzu o dwie mile stąd. Byłem kompletnie wyczerpany i szczęśliwy, nie myślałem o Saxony.

Od tego dnia, aż do powrotu Sax ze szpitala, przynajmniej część każdej nocy spędzałem u Anny. Czasem Anna przyrządzała kolację (daruj jej, Panie), a czasem przychodziłem do niej już po kolacji, rozmawialiśmy albo oglądaliśmy telewizję, ale za każdym razem nieuchronnie lądowaliśmy w łóżku. O pierwszej albo drugiej nad ranem wychodziłem stamtąd na miękkich nogach i wyziębionym na kość samochodem jechałem do siebie.

Z początku była to niesamowita przygoda. Piękna, urzekająca Anna France miała na mnie ochotę. Olśniewająca córka Marshalla France'a chciała mnie, m n i e , a nie syna Stephena Abbeya. Ta druga wersja przydarzała mi się nieraz z interesującymi kobietami: z chwilą, kiedy się dowiadywały, kim jestem, zaczynały działać jak podłączone do prądu, w myśl zasady „jeżeli nie mogę mieć tatusia, to niech będzie syn". Paskudnie jest robić to z kimś, o kim wiadomo, że nie robi tego z tobą, tylko z całkiem innym człowiekiem, którego ty jesteś namiastką.

W przypadku Anny zakładałem, że jeżeli w ogóle istnieje jakiś powód z wyrachowania, to najwyżej ten, że byłem biografem jej ojca, a ponieważ dotychczasowa część pracy znalazła jej uznanie, chciała, żebym i dalej pisał równie dobrze. Jej ciało, gdybym naprawdę chciał być okrutny i cyniczny, było dodatkowym bodźcem do dobrej roboty.

Nie chciałem na razie myśleć o wszystkich komplikacjach, które miały nieuchronnie nastąpić lada dzień. Z rana pracowałem, i to solidnie, po południu składałem wizytę w szpitalu, a nocą jeździłem do domu France'a.

Lekarze musieli włożyć Saxony w nogę specjalną szpilę, przez co jej pobyt w szpitalu się przeciągał. Była bardzo przygnębiona, kiedy to usłyszała, mimo że robiłem wszystko – co nie znaczy, że dużo – żeby ją rozweselić. Przyniosłem jej do szpitala wszystko co dotąd napisałem, z prośbą o przeczytanie, poprawki i sugestie. Zażądała całego pudełka dużych czarnych ołówków Dixon Beginners i bazgrała swoje uwagi po całym tekście. Stawała się doskonałą redaktorką, a nasze pomysły były najczęściej na tej samej fali. W chwilach wolnych od ołówka, czytała biografie – co popadło: Andrew Carnegie, Einstein, Delmore Schwartz – robiąc przy tym sążniste notatki. Pielęgniarki musiały chyba dojść do wniosku, że żyjemy jak pies z kotem, bo bez przerwy się kłóciliśmy. Saxony siedziała zwykle oparta o poduszki, prezentując spod pościeli wielki biały gips, i udzielała mi wykładów z notatek w czarno-białym szkolnym zeszycie, który zawsze miała pod ręką. Miałem identyczny zeszyt (oba kupione w magazynie „Lazy Larry") i od czasu do czasu coś w nim zapisywałem, ale w opinii Saxony zdecydowanie za rzadko.

Nie wiem, czy to atmosfera szpitala czyniła ją bezradną, czy też we mnie wyczuła jakąś różnicę. Niezależnie od przyczyny, chociaż często bywała uszczypliwa i szorstka, wydawała mi się bardziej bezbronna i krucha niż kiedykolwiek przedtem. Kochałem ją za to jak głupi, ale miłość nie powstrzymywała mnie przed odwiedzaniem Anny.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak świetnie i wybuchowo. Każdy, dosłownie każdy dzień dawał co najmniej dwadzieścia powodów do życia. Kładąc się nocą do łóżka, nie mogłem zasnąć – mimo zmęczenia – bo myśl o dniu następnym była zbyt podniecająca. Z zachwytem wiodłem wszystkie moje żywoty na raz: życie pisarza, badacza literackiego, kochanka Anny, mężczyzny Saxony. Ale wiedziałem jednocześnie, że ten cudownie wygodny świat lada chwila przestanie istnieć i że wkrótce może przyjść moment, że będę skakał jak po rozżarzonych węglach, ratując, co się da. Gdyby mnie jednak ktoś zapytał o najpiękniejszy okres w życiu, bez wahania odpowiedziałbym, że to właśnie tamte jesienne tygodnie w Galen, przed nadejściem pory zimy i śmierci.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

Mówiąc to poczułem, jak coś we mnie pęka i spuszcza powietrze. Poczułem się spokojniejszy, mniej spięty. Jak gdybym włączył automat i główne centrum zasilania mogło się zamknąć na resztę nocy, bo chwilowo go nie potrzebowałem.

- Czemu o to pytasz, Anno?
- Bo mnie interesujesz. Czy to takie dziwne?
- Zależy. Interesuje cię zawodowo, czy prywatnie?
- Prywatnie.

To było wszystko. Wszystko, co do mnie powiedziała głębokim głosem à la Lauren Bacall, w tonie „gdybyś-czegoś-potrzebował-daj-mi-znać". Prywatnie! Nie miałem odwagi na nią spojrzeć. Zamknąłem oczy i czułem, jak serce przebija górną część mojego ciała. Ciekaw byłem, czy nie umrę przypadkiem na atak serca. Może właśnie tej nocy. Dwie sekundy wcześniej byłem bliski zaśnięcia – to wprost nie do wiary.

- No i co ja mam na to powiedzieć?
- Nic. Nic nie musisz mówić. Odpowiedziałam tylko na twoje pytanie.
- Ach tak.

Wziąłem głęboki wdech, usiłując znaleźć na plastykowym siedzeniu w miarę wygodną pozycję dla siebie i towarzyszącej mi erekcji długości jedenastu stóp.

Nie jestem wielkim uwodzicielem. Przez wiele lat zdawało mi się, że najlepszą metodą jest odbyć z dziewczyną intymną trzygodzinną rozmowę, zakończoną ni stąd, ni zowąd ostentacyjnym oświadczeniem, że chciałoby się pójść z nią do łóżka. Nie była to metoda stuprocentowo skuteczna, zwłaszcza na studiach, gdzie dziewczyny, które mi się podobały, były „intelektualistkami" obnoszącymi pod pachą „Mdłości" albo Kate Millet, a jako zakładek używającymi pocztówki z reprodukcją Renoira. Mój probem polegał wówczas na tym, że podczas rozmów wypijałem hektolitry czarnej kawy, częstokroć trucizny zwanej espresso, ponieważ to robiło dobre wrażenie, a kiedy wreszcie przychodziła Ta Chwila, musiałem bez przerwy ganiać do toalety, żeby wszystko wysikać. Poza tym, zdaje się, że niejedną dziewczynę zanudziłem do łez, bo kiedyś w końcu usłyszałem: „Dlaczego ty nie przestaniesz ględzić i nie zabierzesz się do mnie?" Była to dla mnie wówczas cenna wskazówka, chociaż gdy stosowałem ją później, bywałem częściej odpychany, niż przyjmowany z entuzjazmem. W rezultacie, po dziś dzień nie wiem nigdy, czy 1) dana kobieta chce mnie, czy nie, 2) jeżeli, chce, to jak mam się do niej dobrać, 3)... Wystarczy. Obraz jest, zdaje się, dość klarowny. Na szczęście, w przypadku Saxony było to wzajemne, za co byłem losowi niepomiernie wdzięczny. Ale Anna? Anna France? Rozpieszczona córeczka mojego idola? Czy mówi mi, że mnie chce, czy tylko ze mną flirtuje i sprawdza, jak daleko może się posunąć, zanim ja wykonam jakiś ruch i będzie mnie musiała zastrzelić.

- Anno?
- Tomaszu?
- Nie bardzo wiem, czego się po mnie spodziewasz. Nie wiem, czy mówisz to, co wydaje mi się, że słyszę. Wiesz, o co mi chodzi?
- Tak, chyba wiem.

Moja ręka drżała, kiedy wyciągnąłem ją w jej stronę. Była to moja lewa ręka. Wybrałem lewą, bo gdyby Anna jednak nie chciała, żebym jej dotknął i odepchnęła moją rękę, miałbym ją szybciej z powrotem na siedzeniu fotela. A kiedy już byłem w połowie gestu, uświadomiłem sobie, że nie wiem, w co ta ręka ma jej dotknąć. W kolano? W biust? W ramię? Ale ręka i tak sama wiedziała, że ma szukać twarzy. Wolno, cały czas drżąc, dotknąłem jej policzka. Był gorący. Anna ujęła moją rękę, podniosła ją do ust i pocałowała, a potem uścisnęła mocno i położyła na swoim prawym kolanie. Czułem się tak, jakby w mojej głowie miała zaraz nastąpić eksplozja. W ten sposób odbyliśmy resztę drogi na „piknik".

Na to, co się później stało jest tylko jedno określenie: Anna oddała mi się bez reszty. Nie chodzi o wielkie słowa czy ekstrawagancje erotyczne, ale o to, że ledwo zaczęliśmy się kochać, poczułem, że ona pozwoli mi zrobić z sobą co zechcę, albo że zrobi dla mnie wszystko, o co poproszę. Nie rzucała się namiętnie i podpalała stropu, ale tak bardzo była, że chwilami czułem, jakbym przeszedł przez nią na wylot i musiał mozolnie przedzierać się z powrotem, zanim którekolwiek z nas skończy, nie mówiąc nawet o pełnym zaspokojeniu. Potem, kiedy ją zapytałem, czy na tym właśnie miał od początku polegać piknik, odpowiedziała – „Tak".

Tej nocy udało mi się nawet naciągnąć ją na pewne osobiste zwierzenia. Fakt, że się kochaliśmy, skruszył bariery i zanim słońce zaczęło wschodzić (wcisnęliśmy się w jej podwójny śpiwór, ułożony obok samochodu na wysokim wzgórzu, z którego widać było pastwiska i krowy), wiedziałem już, że Anna przeszła taką samą gehennę bycia dzieckiem sławnego ojca, jak ja. Cały czas powtarzała, że jej

Tymczasem Saxony, między szperaniem w materiałach, czytaniem i ciągłymi dyskusjami ze mną, znalazła czas na pracę nad nową marionetką. Przyznam szczerze, że nie bardzo się tym interesowałem. Nauczyliśmy się wstawać wcześnie rano, zjadać szybkie, lekkie śniadanie i aż do obiadu znikać każde w swojej kryjówce.

Robotę skończyłem na dwa dni przed upływem wyznaczonego miesiąca. Zakręciłem skuwkę Montblanca, ostrożnie zamknąłem notes i pieczołowicie ułożyłem pióro równolegle do niego. Obie dłonie złożyłem na notesie i spojrzałem za okno. Zapytałem sam siebie, czy chce mi się płakać. Zapytałem sam siebie, czy chce mi się podskoczyć i zatańczyć, ale i na to otrzymałem veto. Uśmiechnąłem się i wziąłem do ręki moje duże, krępe pióro Montblanc. Było świecące, czarnozłote, i ważyło o wiele więcej niż powinno ważyć wieczne pióro. Poprawiłem nim miliony klasówek, a teraz napisało dla mnie początek książki. Poczciwy, wierny Montblanc. Przyjdzie dzień, że trafi do muzeum, za szkło, a na drugim końcu wskazującej go białej strzałki widnieć będzie taki oto tekst: „Pióro, którym Tomasz Abbey napisał słynną biografię Marshalla France'a". Czułem się tak lekko, jakby byle podmuch wiatru był w stanie unieść mnie w górę wraz z fotelem. Mój intelekt położył się wygodnie i założył ręce pod głowę. Spojrzałem na niebo i poczułem się całkiem nieźle.

- Skończyłeś? Naprawdę?
- Skończyłem. Naprawdę.
- Całkowicie i ostatecznie?
- Tak jest, Saxolini. Absolutnie. I ostatecznie.

Wzruszyłem ramionami i nadal czułem się tak, jakbym ważył dwa funty.

Saxony siedziała na wysokim chromowanym stołku, piastując w rękach coś, co wyglądało jak nie oheblowana ręka lalki. Kulfon leżał pod stołem, mozoląc się nad sporą kością, którą mu sprezentowaliśmy poprzedniego dnia.

- Poczekaj chwilę – odłożyła rękę i wstała ze stołka. – Wyjdź na moment z kuchni, zawołam cię.

Wyszliśmy z Kulfonem na ganek. Kulfon rzucił kość w miejscu, w którym ja się zatrzymałem i położył się na niej. Popatrzyłem na nieruchomy ogród i pustą ulicę. Naprawdę nie miałem pojęcia, jaki to dzień.

- Już, Tomaszu, możesz wejść!

Bez słowa zachęty z mojej strony, Kulfon wziął kość i skierował się ku szklanym drzwiom. Stanął tam i czekał z nosem przytkniętym do kraty. Jak on to wszystko rozumiał? Kulfon, Pies Czarodziejski.

- Jeszcze nie całkiem skończyłam, ale chciałam ci to dać dzisiaj.

Na podstawie fotografii Marshalla France'a wyrzeźbiła doskonale szczegółową twarz-maskę. Wyraz tej twarzy, kolor uczu, cera, usta – wszystko było przerażająco realistyczne. Obracałem ją w rękach bez końca i oglądałem pod wszystkimi możliwymi kątami. Była wspaniała, ale i mocno niepokojąca.

Lady Oliwa od Anny, Marshall France od Saxony, rozdział napisany, a do tego jeszcze nadchodziła jesień, moja ulubiona pora roku.

Anna była zachwycona pierwszym rozdziałem.

Zaniosłem go do niej osobiście i spędziłem godzinę, trzęsąc się, truchlejąc i skacząc nerwowo po jej salonie. Dotykałem wszystkich przedmiotów po kolei i z każdą chwilą utwierdzałem się w przekonaniu, że Anna odrzuci całą moją pisaninę i każe mi się najbliższym transportem wynosić z miasta. Kiedy wmaszerowała do salonu z moim rozdziałem wetkniętym pod pachę jak stara gazeta, zrozumiałem, że to koniec. Ale myliłem się. Anna podeszła bliżej, podała mi tekst i ucałowała mnie mocno w oba policzki, tak jak to robią Francuzi.

- Wunderbar!
- Naprawdę? – uśmiechnąłem się, zmarszczyłem brwi, spróbowałem się jeszcze raz uśmiechnąć, ale nie dałem rady.
- Tak jest, z całą pewnością, panie Abbey. Z początku nie bardzo wiedziałam, do czego zmierzasz, ale zaraz potem całość otworzyła się przede mną jak te japońskie kamyki, które się wrzuca do wody, a one rozkwitają nagle jak księżycowe kwiaty. Rozumiesz?
- Tak mi się zdaje.

Z trudem przełknąłem ślinę. Usiadła na kanapie i wzięła do rąk czarną jedwabną poduszkę z żółtym smokiem.

- Od samego początku miałeś rację. Książka musi się otwierać jak pawi ogon – szszszuuu! Byłaby do niczego, gdyby zaczynała się w Rattenbergu. „Urodził się w Rattenbergu"... – nie, nie, wykluczone. „Nie znosił pomidorów" – to jest odpowiedni początek. Idealny. Skąd o tym wiedziałeś? Rzeczywiście nienawidził pomidorów. Ryczałby, powtarzam, ryczałby ze śmiechu, gdyby się dowiedział, że jego oficjalna biografia tak się właśnie zaczyna. Wspaniale, Tomaszu.

– Naprawdę?

– Przestań powtarzać „naprawdę". Oczywiście, że naprawdę. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Złapałeś go, Tomaszu. Jeżeli dalszy ciąg książki będzie równie dobry... – pomachała do mnie maszynopisem i pocałowała go – wówczas on znów ożyje i zacznie oddychać. I to dzięki tobie. Nie powiem już ani słowa na temat tego, jak ta książka powinna być napisana.

Gdyby film na tym się kończył, napisy ukazałyby się na tle ujęcia, w którym młody Tomasz Abbey odbiera swój tekst z rąk olśniewającej Anny France, wychodzi z jej domu i kroczy ulicą ku sławie, bogactwu i miłości porządnej dziewczyny. Screen Gems Production. The End.

Stało się jednak inaczej: w dwa dni później przez Galen przeszła szalona, spóźniona letnia trąba powietrzna, która poczyniła w miasteczku niebywałe spustoszenie. Jedyną ofiarą w ludziach była Saxony, którą trzeba było odwieźć do szpitala ze skomplikowanym złamaniem nogi.

Miejscowych kataklizm nie wzruszył ani odrobinę, chociaż pralnia została zrównana z ziemią podobnie jak znaczne partie budynku szkoły podstawowej i nowy budynek poczty. Czy to dzięki wrodzonemu stoicyzmowi mieszkańców Środkowego Zachodu, czy z innych powodów, nikt nie kwękał, nie biadolił i nie przejmował się zbytnio sytuacją. Wcześniej zresztą uprzedzano mnie w mieście kilkarotnie, że coś takiego jak burza może się zdarzyć.

Brakowało mi Saxony i przez kilka dni obijałem się bezczynnie po domu, wreszcie jednak postanowiłem narzucić sobie dzienny harmonogram zajęć, który byłby zarazem wygodny i produktywny. Chociażby dlatego, że Saxony wściekłaby się na mnie, gdyby jej powiedział, że podczas jej pobytu w szpitalu nie pracowałem nad książką.

Wstawałem około ósmej, jadłem śniadanie i do dwunastej albo pierwszej zajmowałem się biografią. Potem robiłem kanapki i jechałem do szpitala na spokojny lunch z Sax. Trwało to zwykle do trzeciej lub czwartej, po czym wracałem do domu i albo jeszcze trochę pracowałem, jeżeli byłem w odpowiednim nastroju, albo pichciłem kawalerski obiad. Pani Fletcher zaoferowała się, że będzie mi gotować, to jednak oznaczałoby konieczność jadania w jej towarzystwie, więc odmówiłem. Po obiedzie przepisywałem na maszynie to, co napisałem rano i kończyłem rutynę dzienną oglądaniem telewizji albo lekturą.

Rozdział drugi posuwał się bardzo opornie. Począwszy od niego, miałem się krok za krokiem posuwać przez życie France'a. Wiedziałem, że najlepiej byłoby zacząć od jego dzieciństwa – ale od którego momentu dzieciństwa? Od wrzasków w kołysce? Czy od malucha kolekcjonującego pocztówki, według koncepcji Saxony? Wysmażyłem ze dwa czy trzy szkice i wszystkie odczytałem Saxony, ale ani jej, ani mnie, żaden z nich nie odpowiadał. Postanowiłem zmienić metodę: siąść i zacząć pisać, tak jak to było przy pierwszym rozdziale, a dokąd mnie to zaprowadzi – zobaczymy. Zacznę od Rattenbergu, ale jeżeli przypadkiem zboczę z tematu, podążę za dygresją jak za różdżką wskazującą źródło. Jeżeli będzie bardzo źle, zawsze przecież mogę wyrzucić to, co napisałem.

Nocami, między oglądaniem takich seriali jak „Ulice San Francisco" i „Aniołki Charliego", rozmyślałem też o możliwości napisania książki o ojcu. Odkąd Saxony mi to uświadomiła, sam zauważyłem, jak często o nim mówię i myślę. Dosłownie co dzień materializowała się jakaś cząstka ektoplazmy Stephena Abbeya, czy to w postaci anegdoty, czy filmu w telewizji, czy też jakiejś jego cechy, którą nagle odkrywałem w sobie. Czy zostanę wyegzorcyzmowany ze Stephena Abbeya, kiedy o nim napiszę? A jak zareaguje na to moja matka? Wiedziałem, że go kochała jeszcze długo po tym, jak ją zmusił do odejścia swoim kompletnym oderwaniem od rzeczywistości. Gdybym miał o nim napisać, chciałbym napisać wszystko, co pamiętam, a nie wypociny w stylu „Moje życie z tatusiem", które ciurkiem leją się spod piór dzieci sławnych ludzi i które są zwykle albo nadętym peanem na cześć, albo zjadliwą filipiką. Zadzwoniłem do matki, żeby jej życzyć Szczęśliwego Pierwszego Września (to był taki nasz mały prywatny obyczaj), ale nie zdobyłem się na odwagę poruszenia tematu.

Któregoś wieczora siedziałem przy stole w kuchni spisując wspomnienia, kiedy nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Westchnąłem i zakręciłem pióro. Zapisałem bite cztery strony podłużnego żółtego notesu, a czułem, że to ledwo początek. Spojrzałem tępo na notes i pokręciłem głową. „Moje życie z tatusiem", autor Tomasz Abbey. Wstałem, żeby otworzyć drzwi.

– Jak się masz, Tomaszu. Wpadłam, żeby cię zabrać na piknik o północy.

Ubrana była na czarno, jak na rajd komandosów.

– Witaj, Anno. Wejdź.

Otworzyłem drzwi szerzej, ale ona nie skorzystała z zaproszenia.

– Nie. Wszystko zostawiłam w samochodzie i musisz jechać ze mną natychmiast. Tylko mi nie mów, że jest jedenasta w nocy. Właśnie o tej porze rozpoczynają się najlepsze pikniki.

Przyjrzałem jej się uważnie, czy nie żartuje. Przekonawszy się, że nie, pogasiłem światła i wziąłem kurtkę.

Dni były już chłodniejsze a niektóre noce po jesiennemu wręcz zimne. W „Centrum Tanich Zakupów Lazy Larry", kupiłem jaskrawo czerwony skafander. Saxony orzekła, że wyglądałam w nim jak skrzyżowanie światła stopu z Fredem Flintstonem z „Jaskiniowców".

Księżyc był tej nocy marzeniem wilkołaka: pełnia, biały jak żużel, zawieszony najwyżej pół mili nad ziemią. Gwiazdy też było widać, ale rolę pierwszoplanową grał tej nocy księżyc. Zanim wsiadłem do samochodu, postałem chwilę obok, gapiąc się na księżyc i dopinając starannie wszystkie po kolei guziki skafandra. W nieruchomym powietrzu mój oddech unosił się w postaci obłoczka pary wodnej. Anna stanęła po drugiej stronie wozu i oparła czarne łokcie na dachu.

– Nie mogę przywyknąć do tego, że niebo nocą jest tu takie czyste. Chyba działają jakieś specjalne filtry.

– Czystość nieba nad Missouri wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć koma czterdzieści cztery procenta.

– Dokładnie.

– Jedźmy. Zimno tutaj.

W samochodzie pachniało jabłkami. Odwróciłem się i zobaczyłem na tylnym siedzeniu dwa wielkie kosze pełne owoców.

– Mogę jabłko?

– Proszę, ale uważaj na robaki.

Jakoś odechciało mi się jabłka. Anna uśmiechnęła się. W błękitnawym mroku samochodu jej zęby były białe jak pas na jezdni.

– Co to za „piknik o północy"?

– Nie wolno ci zadawać żadnych pytań. Usiądź wygodnie i napawaj się przejażdżką. Wszystko zobaczysz na miejscu.

Zrobiłem co mi kazała. Położyłem głowę na oparciu fotela i patrzyłem wzdłuż nosa na odwijającą się przed nami nocną drogę.

– W nocy trzeba tu bardzo uważać. Po szosie zawsze pęta się jakaś krowa, pies albo borsuk. Raz potrąciłam samicę oposa. Zatrzymałam się i podbiegłam do niej, ale już nie żyła. A najgorsze było to, że ledwo tam dobiegłam, z jej brzucha zaczęły wyłazić młode. Jeszcze ślepe.

– Zabawna historyjka, nie ma co.

– To było straszne. Czułam się jak zbrodniarz.

– Ach tak... a jak się miewa Pancia? Kulfon przesyła jej ukłony.

– Ma cieczkę, więc przez dwa tygodnie muszę ją trzymać pod kluczem.

Droga wiła się do góry, w dół i na boki. Byłem zmęczony, a gorące powietrze bijące od podwozia sprawiało, że moje powieki zachowywały się jak ciężkie aksamitne kotary.

– Tomaszu, czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście. Można przekręcić ogrzewanie?

– Tak, wciśnij środkowy guzik. Czy mogę ci zadać pytanie osobiste?

Wcisnąłem nie ten środkowy guzik i dmuchawa ruszyła pełną parą. Anna sięgnęła ponad moją ręką i nacisnęła właściwy guzik. Dmuchanie ustało, a ja po raz pierwszy od początku jazdy usłyszałem pracę silnika i kół.

– Co to za osobiste pytanie?

– Co cię łączy z Saxony?

Ach, więc to tak! Saxony bezpiecznie zablokowana w szpitalu, moja mała komandoska za kierownicą, ja obok... Mogłem odpowiedzieć na jej pytanie na wiele sposobów. Czy zależało mi, żeby myślała, że jestem zwolennikiem kawalerstwa? Że zadowalam się Sax do czasu pojawienia się tej jedynej? Że chciałbym, żeby tą jedyną była właśnie ona, Anna, nawet jeżeli jest to lekka przesada?

– Co nas łączy? Chodzi ci o to, czy ją kocham?

Żadnych świadków. Gdyby cokolwiek zaszło między nami tej nocy, nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. Małe kłamstwo nie skrzywdziłoby Saxony. Ani trochę. Była jedenasta w nocy, była Anna, byłem ja, a Saxony nie było... Więc w końcu powiedziałem:

– Owszem, Anno, kocham ją.

Po czym westchnąłem ciężko. Co innego mogłem zrobić? Skłamać? Tak, wiem, że mogłem skłamać, ale nie chciałem. Czyż nie jestem wzorem szlachetności?

– A ona ciebie kocha?

Anna trzymała obie ręce na szczycie kierownicy, wpatrzona prosto przed siebie.

– Myślę, że tak. Ona mówi, że tak.

Carrin uznał, że jego podły nastrój ciągnie się od samobójstwa Millera w zeszłym tygodniu. Świadomość ta wcale nie pomogła mu uwolnić się od niejasnych, bezkształtnych obaw. Było to głupie. Samobójstwo Millera nie miało z nim żadnego związku.

Tylko dlaczego ten gruby pogodny człowiek to zrobił? Miller miał po co żyć – żona, dzieci, dobra praca i wszystkie wspaniałe luksusy naszego wieku. Dlaczego on to zrobił?

– Dzień dobry, kochanie! – powitała go żona, kiedy siadał do śniadania.

– Wiem. Czy coś jeszcze?

Kalendarz wyrecytował długą listę zadań: podlać trawnik, oddać super-turbo do przeglądu, kupić kotlety jagnięce na poniedziałek, i tak dalej. Rzeczy, na które od dawna nie mógł znaleźć czasu.

– Dość. Wystarczy.

Pozwolił się ubrać automatycznemu kamerdynerowi, który zręcznie udrapował dobrane tkaniny na jego kościstej postaci. Na zakończenie mgiełka modnych męskich perfum i przeszedł do salonu, przeciskając się między stojącymi wzdłuż ścian urządzeniami.

CENA

Robert Sheckley

(Cost of Living)

– Dzień dobry! Cześć Billy!

Syn coś odmruknął.

Z ludźmi nic nie wiadomo, podsumował Carrin i zamówił śniadanie. Posiłek był elegancko przygotowany i podany przez nowy automat kuchenny firmy Avignon Electric.

Ponury nastrój Carrina nie przechodził... a tak chciał być dzisiaj w najlepszej formie. Miał wolne i oczekiwał wizyty przedstawiciela Avignon Electric. Był to ważny dzień.

Odprowadził syna do drzwi.

– Trzymaj się, Billy!

Syn kiwnął głową, przełożył teczkę z ręki do ręki i wyszedł bez słowa. Carrin zastanowił się, czy chłopak nie ma jakichś zmartwień. Miał nadzieję, że nie. Jeden zmartwiony w rodzinie wystarczy aż nadto.

– Do zobaczenia, kochanie. – Pocałował żonę, która wyruszała na zakupy.

Ona w każdym razie jest szczęśliwa, pomyślał patrząc, jak żona oddala się chodnikiem. Ciekawe, ile dziś wyda w sklepie A.E., przemknęło mu przez myśl.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze pół godziny do wizyty przedstawiciela A.E. Najlepszy sposób na zły nastrój to spłukać go, pomyślał i poszedł wziąć natrysk.

Kabina z natryskiem była lśniącym plastykowym cudem i sam widok tego luksusu przyniósł Carrinowi ulgę. Wrzucił ubranie do automatu piorąco-prasującego A.E. i nastawił natrysk na maksimum. O pięć stopni cieplejsza od temperatury ciała woda smagała jego chude, białe ciało. Potem relaksujący masaż autoręcznikiem A.E.

Wspaniale, myślał, podczas gdy automat rozciągał i ugniatał jego wątłe mięśnie. I powinno być wspaniale, przypomniał sobie. Autoręcznik z przystawką golącą kosztował trzysta trzynaście dolarów plus podatek.

Ale wart był tego, uznał, podczas gdy golarka A.E. wysunęła się z kąta i usunęła mu z twarzy zadatki zarostu. Ostatecznie, cóż warte byłoby życie, gdyby człowiek nie mógł korzystać z tej odrobiny luksusu?

Czuł, że jego skóra żyje, kiedy wyłączył autoręcznik. Powinien się czuć wspaniale, ale tak nie było. Samobójstwo Millera nie wychodziło mu z głowy rujnując jego wolny dzień.

Czy coś jeszcze leżało mu na wątrobie? W domu przecież wszystko było w porządku, papiery dla przedstawiciela A.E. miał przygotowane.

– Czy nic nie zapomniałem? – zadał sobie na głos pytanie.

– Za piętnaście minut przyjdzie przedstawiciel Avignon Electric – przypomniał mu szeptem ścienny kalendarz firmy A.E.

Rzut oka na ścienne wskaźniki upewnił go, że w domu panował porządek. Naczynia po śniadaniu zostały zdezynfekowane i odstawione do kredensu, mieszkanie wysprzątane, odkurzone, wypolerowane, ubrania żony powieszone, gwiazdoloty syna schowane do szafy.

– Przestań się martwić, ty hipochondryku! – powiedział do siebie ze złością.

– Pan Pathis z działu rozliczeń Avignon Electric – zaanosowały drzwi.

Carrin już miał powiedzieć drzwiom, żeby się otworzyły, kiedy zauważył automatycznego barmana.

Dobry Boże, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Automatyczny barman był produktem Castile Motors. Kupił go w chwili słabości. Firma A.E. nie byłaby zachwycona, ponieważ produkowała własny model barmana.

Przepędził automat do kuchni i powiedział drzwiom, żeby się otworzyły.

– Moje uszanowanie panu! – powiedział pan Pathis.

Był to wysoki, imponujący mężczyzna ubrany konserwatywnie w tweedową togę. Od oczu rozchodziły mu się kurze łapki świadczące jak często się uśmiecha. Teraz też uśmiechał się promiennie potrząsając prawicą Carrina i rozglądając się po zagraconym salonie.

– Piękne ma pan mieszkanie. Piękne! Myślę, że nie naruszę zasad naszej firmy, jeżeli zdradzę panu, że jest pan właścicielem najpiękniejszego wnętrza w tym rewirze.

Carrin poczuł nagły przypływ dumy na myśl o szeregach identycznych domków w tym kwadracie ulic, w następnym, jeszcze w następnym.

– Wszystko w porządku? – spytał Pathis stawiając teczkę na krześle. – Czy wszystko działa bez zarzutu?

– Ależ tak! – stwierdził entuzjastycznie Carrin. – Avignon Electric nigdy nie zawodzi.

– Czy fono jest sprawny? Zmienia płyty przez pełne siedemnaście godzin?

– Tak, tak – powiedział Carrin. Nie miał jak dotąd okazji do wypróbowania fonografu, ale był to niewątpliwie piękny mebel.

– A trójwymiarowy projektor? Co pan sądzi o programach?

– Odbiór idealny. – Obejrzał jeden program w zeszłym miesiącu i złudzenie było pełne.

– A jak tam kuchnia? Automatyczny kucharz w porządku? Jak tam menu?

– Wspaniałe rzeczy. Po prostu wspaniałe.

Pan Pathis spytał potem o lodówkę, jego odkurzacz, jego samochód, jego helikopter, jego podziemny basen pływacki i setki innych urządzeń, które Carrin zakupił od Avignon Electric.

Wszystko działa znakomicie – zapewnił Carrin nie całkiem zgodnie z prawdą, bo nie wszystko jeszcze zdążył rozpakować. – Absolutnie bez zarzutu.

– Ogromnie się cieszę – powiedział Pathis z westchnieniem ulgi. – Nie ma pan pojęcia, jak bardzo staramy się zadowolić naszych klientów.

– Doceniam to w pełni, panie Pathis.

Carrin miał nadzieję, że przedstawiciel A.E. nie zechce zajrzeć do kuchni. Wyobraził sobie barmana firmy Castile Motors sterczącego tam jak jeżozwierz na wystawie psów.

– Z dumą mogę stwierdzić, że większość mieszkańców w tej okolicy zaopatruje się u nas – mówił Pathis. – Jesteśmy poważną firmą.

– Czy Miller też był waszym klientem? – spytał Carrin.

– Ten, co popełnił samobójstwo? – Pathis zmarszczył czoło. – Tak, był. To zaskakujące, absolutnie zaskakujące. Zaledwie w zeszłym miesiącu kupił ode mnie super-turbo osiągający na prostej przeszło trzysta mil na godzinę. Cieszył się z niego jak dziecko, a potem nagle coś takiego! Naturalnie wóz zwiększył nieco jego zadłużenie.

– Naturalnie.

– Ale czy to ważne? Miał wszystkie luksusy świata. A tu nagle poszedł i się powiesił.

– Tak – Pathis znów zmarszczył czoło. – Miał w domu wszystkie najnowocześniejsze urządzenia, a powiesił się na kawałku sznurka. Musiał być od dawna niezrównoważony.

Jego twarz wygładziła się i wrócił na nią zwykły uśmiech.

– Ale dość na ten temat! Porozmawiajmy o panu!

Uśmiech poszerzył się jeszcze, kiedy Pathis otworzył swoją teczkę.

– Oto więc pańskie rozliczenie. Jest pan nam winien dwieście trzy tysiące dolarów i dwadzieścia dziewięć centów po ostatnim zakupie. Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził Carrin, bo pamiętał tę sumę ze swoich kopii rachunków. – Tu jest moja rata.

Wręczył Pathisowi kopertę, którą ten sprawdził i wsunął do kieszeni.

– Świetnie. A teraz, zapewne zdaje pan sobie sprawę, że nie starczy panu życia, żeby spłacić pełne dwieście tysięcy, prawda?

– No, chyba tak – zgodził się trzeźwo Carrin.

Miał dopiero trzydzieści dziewięć lat i pełne sto lat przed sobą dzięki postępom nauk medycznych. Ale przy pensji trzech tysięcy rocznie, nie miał szans, żeby spłacić należność i jednocześnie utrzymać rodzinę.

– Oczywiście, za nic nie chcielibyśmy pozbawiać pana niezbędnych sprzętów. Nie mówiąc o wspaniałych produktach, które wypuszczamy w przyszłym roku. Rzeczy, z których na pewno nie chciałby pan zrezygnować!

Carrin kiwnął głową. Jasne, że chciał mieć te nowe rzeczy.

– Cóż, w takim razie sądzę, że załatwimy to zwyczajowo. Pod zastaw zarobków pańskiego syna za pierwsze trzydzieści lat jego dorosłego życia możemy bez trudu uzyskać dla pana dalszy kredyt.

Pathis wyciągnął z teczki plik formularzy i rozłożył je przed Carrinem.

– Zechce pan podpisać tutaj i tutaj.

– Ale... – bąknął Carrin – nie jestem pewien... Chciałbym zapewnić chłopcu start życiowy, a nie obarczać go...

– Ależ drogi panie – przerwał mu Pathis – przecież to jest również dla pańskiego syna. On też tu mieszka, prawda? Ma prawo korzystać z tych luksusów, z cudów nauki.

– Jasne – powiedział Carrin. – Tylko, że...

– Proszę pana, przecież dzisiaj przeciętny człowiek żyje jak król. Sto lat temu najbogatszy człowiek świata nie mógłby sobie pozwolić na to, co dziś posiada zwykły obywatel. Niech pan nie patrzy na to jako na dług. To inwestycja.

– To prawda – powiedział Carrin nie całkiem przekonany.

Pomyślał o swoim synu, o jego modelach gwiazdolotów, o mapach nieba. Zadawał sobie pytanie, czy to będzie słuszne.

– Na czym polega problem? – spytał dziarsko Pathis.

– Tak się zastanawiam. Zadłużyć się na poczet zarobków syna... czy to nie przesada?

– Przesada? Ależ drogi panie! – Pathis zaniósł się śmiechem. – Zna pan Mellona, który mieszka o kilka domów dalej? Niech pan nie mówi, że dowiedział się pan tego ode mnie, ale on zastawił już pensje wnuków do końca ich statystycznie przewidzianego życia. I jeszcze nie ma połowy rzeczy, które postanowił mieć. Musimy coś dla niego wymyśleć. Nasza praca polega na spełnianiu życzeń naszych klientów i dobrze o tym wiemy.

Carrin był wyraźnie w rozterce.

– A po pana śmierci wszystko to przecież przejdzie na własność pańskiego syna.

To prawda, pomyślał Carrin. Wszystkie te cudowne rzeczy wypełniające jego dom staną się własnością syna. Poza tym chodziło tylko o trzydzieści lat ze statystycznie przewidywalnych stu pięćdziesięciu.

Podpisał zamaszyście.

– Znakomicie! – powiedział Pathis. – A nawiasem mówiąc, czy ma pan w domu majordomusa naszej produkcji?

Okazało się, że nie. Pathis wyjaśnił, że mechaniczny majordomus jest nowym zdumiewającym osiągnięciem nauki i techniki. Został zaprogramowany do przejęcia wszystkich funkcji związanych ze sprzątaniem i gotowaniem, tak żeby jego właściciel nie musiał ruszyć palcem.

– Zamiast przez cały dzień biegać i naciskać guziki ktoś, kto ma mechanicznego majordomusa, przyciska tylko jeden! Epokowy wynalazek!

Ponieważ majordomus kosztował zaledwie pięćset trzydzieści pięć dolarów, Carrin zamówił go, dopisując jego cenę do długu syna.

Co racja, to racja, myślał odprowadzając Pathisa do drzwi. Ten dom będzie kiedyś własnością syna. I synowej. Niewątpliwie będą chcieli mieć dom nowocześnie wyposażony.

Tylko jeden guzik, myślał. Jaka oszczędność czasu!

Po wyjściu Pathisa Carrin zasiadł w ruchomym fotelu i włączył trójwymiarowy projektor. Pokręciwszy zdalnym sterowaniem stwierdził, że nie ma ochoty oglądać żadnego programu. Odchylił oparcie i postanowił się zdrzemnąć.

Coś nadal nie dawało mu spokoju.

– Dzień dobry, kochanie! – Obudził się i stwierdził, że żona wróciła. Pocałowała go w ucho! – Zobacz, co mam!

Kupiła „sekscytujący negliż" firmy A.E. Carrin był mile zaskoczony, że tylko tyle. Zwykle wracała z zakupów obładowana.

– Śliczne – powiedział.

Pochyliła się, żeby ją pocałował i zachichotała zalotnie: zwyczaj, który przejęła od najpopularniejszej ostatnio gwiazdy trój-ekranu. Carrin wolałby, żeby tego nie robiła.

– Zaprogramuję kolację – powiedziała i poszła do kuchni. Carrin uśmiechnął się na myśl, że wkrótce żona będzie mogła zamawiać posiłki nie ruszając się z saloniku. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wtedy przyszedł syn.

– Jak tam, synu? – spytał z uczuciem.

– W porządku – odpowiedział apatycznie Bill.

– O co chodzi, synu? – Chłopak wpatrywał się w podłogę i nie odpowiadał. – Chodź i powiedz tacie, co cię gnębi!

Billy usiadł na skrzynce i oparł głowę na rękach. Podniósł na ojca zamyślone oczy.

– Tato, czy gdybym chciał, to mógłbym zostać inżynierem serwisu?

Carrin uśmiechnął się. Billy nie mógł się zdecydować, czy chce zostać inżynierem serwisu, czy pilotem kosmicznym. Inżynierowie serwisu stanowili elitę. To oni naprawiali automaty naprawcze. Automaty naprawcze potrafiły naprawiać prawie wszystko, ale nie można mieć maszyn do naprawiania maszyn naprawczych. I tutaj wkraczali inżynierowie serwisu.

Jednak konkurencja w tym zawodzie była ogromna i tylko nieliczne wybitne umysły otrzymywały dyplom. Billy był wprawdzie inteligentnym chłopcem, ale nie zdradzał jakichś wybitnych uzdolnień technicznych.

– To możliwe, synu. Wszystko jest możliwe.

– Ale czy to jest możliwe dla mnie?

– Nie wiem – odpowiedział Carrin najuczciwiej, jak mógł.

– A ja wcale nie chcę być inżynierem serwisu – powiedział Billy rozumiejąc, że odpowiedź brzmi nie. – Chcę być pilotem kosmicznym.

– Pilotem kosmicznym? – spytała Leela wchodząc do pokoju. – Przecież wiesz, że nie ma żadnych pilotów kosmicznych.

– Właśnie, że są – upierał się Billy. – W szkole pan powiedział, że rząd wyśle ekspedycję na Marsa.

– Mówią tak od stu lat – powiedział Carrin – ale jeszcze nic nie zrobili.

– Teraz zrobią.

– A dlaczego właściwie chcesz lecieć na tego Marsa? – spytała Leela robiąc oko do męża. – Nie ma tam ładnych dziewcząt.

– Nie obchodzą mnie dziewczyny. Chcę polecieć na Marsa i tyle.

– Na pewno by ci się tam nie podobało, kochanie – powiedziała Leela. – Paskudna stara planeta bez powietrza.

– Jest tam trochę powietrza i chcę tam polecieć – upierał się ponuro chłopiec. – Mnie się nie podoba tutaj.

– Co to ma znaczyć? – spytał Carrin podrywając się w fotelu. – Czy ci czegoś tu brakuje? Chciałbyś coś mieć?

– Nie, ojcze. Mam wszystko. – Ilekroć Billy nazywał go „ojcem", Carrin wiedział, że coś jest nie w porządku.

– Posłuchaj, synu, kiedy byłem w swoim wieku, ja też chciałem lecieć na Marsa. Chciałem robić różne wielkie rzeczy. Chciałem nawet zostać inżynierem serwisu.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo dorosłem. Zrozumiałem, że są ważniejsze rzeczy. Najpierw musiałem spłacić dług, który odziedziczyłem po ojcu, potem poznałem twoją matkę...

Leela zachichotała.

– ... i zapragnąłem mieć własny dom. Z tobą będzie tak samo. Spłacisz swój dług i ożenisz się tak jak wszyscy.

Billy przez chwilę milczał. Potem odgarnął z czoła włosy – ciemne i proste jak u ojca – i oblizał wargi.

– A dlaczego ja mam dług, ojcze?

Carrin wszystko mu cierpliwie tłumaczył. Że rodzina potrzebuje wielu rzeczy, żeby żyć w sposób cywilizowany. Że trzeba za to płacić i że jest w zwyczaju, żeby syn, kiedy dorasta, przejmował część długu ojca.

Milczenie Billy'ego irytowało go. Zupełnie, jakby chłopak miał do niego pretensje, po tym jak on latami harował, żeby zapewnić temu niewdzięcznemu szczeniakowi wszelkie luksusy.

– Synu – powiedział surowo – uczyłeś się w szkole historii? To dobrze. W takim razie wiesz, jak to było w przeszłości. Wojny. Chciałbyś być rozerwanym na strzępy?

Chłopak nie odpowiadał.

– Albo czy chciałbyś giąć grzbiet przez osiem godzin dziennie przy pracy, którą powinna wykonywać maszyna? Albo chodzić stale głodny? Albo marznąć i moknąć bez dachu nad głową?

Zrobił przerwę na odpowiedź, nie otrzymał jej i ciągnął dalej.

– Żyjesz w najszczęśliwszych czasach w całych dziejach ludzkości. Otaczają cię wszelkie cuda nauki i sztuki. Najwspanialsza muzyka, najlepsze książki i obrazy są w zasięgu twojej ręki. Wystarczy tylko nacisnąć guzik. – Zmienił ton na łagodniejszy. – No i co na to powiesz?

– Zastanawiam się, jak polecieć na Marsa – powiedział chłopiec. – Chodzi o ten dług. Pewno nie da się od tego wykręcić?

– Oczywiście, że nie.

– Chyba, żebym poleciał na gapę.

– Ale tego nie zrobisz.

– Jasne, że nie – powiedział chłopiec, ale jakoś jakby bez przekonania.

– Zostaniesz tutaj i ożenisz się z miłą i ładną dziewczyną – stwierdziła Leela.

– Jasne – powiedział Billy. – Oczywiście. – Uśmiechnął się nagle. – Z tym Marsem to ja żartowałem. Naprawdę.

– Cieszę się – powiedziała Leela.

– To było tylko tak sobie – Billy uśmiechnął się z przymusem, wstał i pobiegł na górę.

– Pewnie poszedł bawić się swoimi rakietami – zauważyła Leela. – Mały urwis.

Carrinowie zjedli w spokoju kolację, po której Carrin musiał iść do pracy. W tym miesiącu miał nocną zmianę. Pocałował na pożegnanie żonę, wsiadł do super-turbo i z rykiem silnika pomknął do fabryki. Automatyczna brama zidentyfikowała go i wpuściła. Zaparkował wóz i wszedł do hali.

Automatyczne tokarki, automatyczne prasy, wszystko było tu zautomatyzowane. Fabryka była wielka i jasna, maszyny mruczały cicho same do siebie wykonując swoją pracę i wykonując ją dobrze.

Carrin poszedł na koniec taśmy montażowej pralek automatycznych, żeby zmienić pracującego tam człowieka.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Jasne – odpowiedział tamten. – W tym roku nie miałem ani jednego braku. Te nowe modele nie mrugają już lampkami, ale mają wmontowany głos.

Carrin usiadł w fotelu i czekał na pierwszą pralkę. Jego praca była szczytem prostoty. Siedział, a maszyny defilowały przed nim. Przy każdej przyciskał guzik i sprawdzał, czy działa. Działały zawsze. Minąwszy go pralki szły do pakowalni.

Właśnie podjechała na wałkach pierwsza. Wcisnął włącznik.

– Gotowa do prania – odezwała się pralka automatyczna.

Carrin przycisnął inny guzik i pralka odjechała.

Ten mój chłopak, myślał Carrin. Czy dorośnie i podejmie swoje obowiązki? Czy dojrzeje i stanie się odpowiedzialnym członkiem społeczeństwa? Wątpliwe. Ten chłopak był urodzonym buntownikiem. Jeżeli ktoś kiedyś poleci na Marsa, to właśnie on.

Ta myśl jakoś go nie zasmuciła.

– Gotowa do prania – zgłosiła się następna pralka.

Carrin przypomniał sobie coś w związku z Millerem. Ten pełen życia człowiek często mówił o innych planetach, o wyprawach i o ryzyku. Ale tylko mówił. A potem popełnił samobójstwo.

– Gotowa do prania.

Carrin miał przed sobą osiem godzin, poprawił się więc w fotelu i rozluźnił pasek. Osiem godzin przyciskania guzików i słuchania maszyn obwieszczających swoją gotowość do pracy.

– Gotowa do prania.

Przycisnął guzik.

– Gotowa do prania.

Carrin oddalił się myślą od swojej pracy, która, prawdę mówiąc, nie wymagała zbyt wiele uwagi. Nagle uświadomił sobie, co go dręczyło.

Przyciskanie guzików go nie bawiło.

Przełożył Lech Jęczmyk

Philip K. Dick

Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?

BLADE RUNNER

Timowi i Serenie Powers,
Mym najdroższym przyjaciołom.

Philip K. Dick napisał powieść „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?" w roku 1968. Tak się złożyło, że w Polsce napierw stał się dostępny oparty na niej film „Blade Runner". Zamieszczone tu dwa pierwsze rozdziały powieści, stanowiące jakby dwa krótkie, odrębne opowiadania, pozwalają wczuć się w atmosferę utworu i dają pojęcie o istotnej różnicy między powieścią i filmem. „Czy androidy marzą...?" wyraża w sposób bardzo czytelny dwa obsesyjne tematy twórczości Dicka. Jeden to przeciwstawienie sztucznego (fałszywego, podrabianego, złego) i naturalnego (prawdziwego, dobrego). Sztucznie programowane stany emocjonalne (przez narkotyki lub elektronikę), sztuczne zwierzęta i wreszcie najwyższy stopień oszustwa – sztuczni ludzie. Oto budowana rękami ludzi jeszcze jedna kurtyna między nimi i rzeczywistością, między człowiekiem i prawdą. Zamiast dążyć do prawdy, zrywać zasłony ułudy (dla Dicka ważny tu był grecki termin dokos, odpowiednik hinduskiej mai), ludzie odcinają się od prawdziwej rzeczywistości jeszcze jedną, technologiczną barierą. Drugim tematem przewijającym się przez twórczość Dicka jest problem Mesjasza. Jak zwykle jest to mesjasz podejrzany, najprawdopodobniej też fałszywy. Tutaj jest nim Wilbur Mercer, który ma coś z Mojżesza (znaleziony w nadmuchiwanej łódce) i Chrystusa (umęczenie i zmartwychwstanie). Wyznawcy podłączając się do aparatury przeżywają jego mękę, wychodząc z realnymi stygmatami (śladami kamienowania). Niby wszystko pięknie, tylko to pośrednictwo elektroniki... Pierwszy rozdział, który śmiało mógłby się ukazywać w antologiach opowiadań, demonstruje Dickowski talent do kreślenia komedii obyczajowej z życia klas średnich, odwiecznych nieporozumień między mężem i żoną, z których każde nadaje na innej fali. I oczywiście, rzecz rozgrywa się w ulubionym przez Dicka krajobrazie spustoszonym, jakże odmiennym od kipiącej życiem wizji filmowej (o filmie piszemy na str. 53). Powieść ukaże się w całości w jednym z najbliższych wydań kwartalnika PSMF „Feniks". (L.J.)

Auckland
W dniu wczorajszym zdechł żółw ofiarowany królowi Tonga w 1777 roku przez słynnego podróżnika, kapitana Cooka. Zwierzę miało nieomal 200 lat. Żółw, zwany Tu'Imalila, zdechł na terenie królewskiego pałacu w stolicy Tongi, Nuku, wyspa Aloga. Naród tongański uważał zwierzę za wodza; do doglądania go wyznaczono specjalnych opiekunów. Żółw oślepł kilka lat temu podczas pożaru buszu. Radio Tonga poinformowało, że ciało Tu'Imalili zostanie przesłane do Muzeum w Auckland, Nowa Zelandia.

Reuter, 1966

I

Przyjemny, delikatny elektryczny impuls automatycznego budzika wysłany przez stojący przy łóżku programator nastroju obudził Ricka Deckarda. Zdziwiony – zawsze dziwiło go, że niespodziewanie zupełnie nie chce mu się spać – wstał z łóżka ubrany w swą wielobarwną piżamę i przeciągnął się. Leżąc w swoim łóżku jego żona Iran otworzyła szare, niewesołe oczy. Mrugnęła, jęknęła cicho i znowu zamknęła powieki.

– Nastawiłaś swojego Penfielda na zbyt słaby impuls – powiedział Rick. – Przeprogramuję go, obudzisz się i...

– Nie dotykaj mojego programatora. – Jej głos był nieprzyjemnie ostry. – Wcale nie chcę się obudzić.

Usiadł na krawędzi łóżka, pochylił się i zaczął przekonywać ją łagodnie: – Jeżeli zaprogramujesz odpowiednio silny impuls, będziesz zadowolona, że się obudziłaś. Na tym polega cały problem. Przy ustawieniu programu na pozycję C, impuls odblokowuje świadomość. Wiem to po sobie. – Przyjaźnie, bowiem czuł się życzliwie usposobiony do całego świata, (jego program ustawiony był na D), poklepał jej nagie, nieopalone ramię.

– Trzymaj swoje łapy przy sobie, glino – burknęła.

– Nie jestem gliną. – Poczuł przypływ irytacji, choć wcale go nie zaprogramował.

– Jesteś czymś gorszym – oznajmiła żona. Oczy miała zamknięte. – Jesteś mordercą wynajętym przez gliny.

– Nigdy w życiu nie zabiłem ludzkiej istoty. – Jego irytacja potęgowała się, stawała się wyraźną wrogością.

– Tylko te biedne andki – odparła Iran.

– Chciałbym zauważyć, że nigdy nie wahałaś się wydać pieniędzy, które dostałem za zrealizowanie listu gończego, na pierwszą lepszą rzecz, jaka ci wpadła w oko. Wstał i podszedł do konsoli swego programatora nastroju. – Zamiast oszczędzać, żebyśmy mogli kupić prawdziwą owcę i zastąpić nią tę elektryczną imitację. Zwykłe, elektryczne zwierzę, za moje ciężko wypracowane przez lata zarobki. – Zawahał się, czy zaprogramować trankwilizację międzymózgowia (która usunęłaby jego wściekłość) czy też stymulację (co z kolei podrażniłoby go w sposób wystarczający, by wygrać tę sprzeczkę).

– Jeżeli nastawisz – oznajmiła Iran, patrząc nań uważnie – na większą agresję, nastawię to samo. Nastawię na maksimum i będziesz miał taką drakę, przy której zbledną wszystkie nasze dotychczasowe sprzeczki. No, spróbuj. – Wstała gwałtownie, podskoczyła do swego programatora nastoju i stanęła przy nim, wpatrując się w Ricka z wściekłością.

Westchnął. Jej groźba podziałała. – Nastawię to, co mam zaplanowane na dziś. – Odszukał na tabeli 3 stycznia 2021 i zobaczył, że przewidziana jest poważna, profesjonalna postawa. – Jeżeli zaprogramuję zgodnie z planem – zapytał przezornie – czy zrobisz to samo? – Czekał, nie chcąc wykonać pierwszego kroku, zanim żona nie zgodzi się pójść w jego ślady.

– W moim planie na dziś mam sześć godzin depresji połączonej z samooskarżeniem – odparła Iran.

– Co? Dlaczego to wprowadziłaś? – Taki pomysł unicestwiał całą koncepcję programatora nastroju. – Nie miałem pojęcia, że można zaplanować coś takiego – dodał posępnie.

– Siedziałam tu pewnego popołudnia – odparła Iran – i oczywiście włączyłam Przyjacielskiego Bustera i Jego Przyjacielskich Przyjaciół. Mówił o wielkiej rewelacji, którą ma zamiar wkrótce ogłosić i wtedy właśnie puścili tę wstrętną reklamówkę, tę, której nie cierpię, wiesz – o Ołowianych Ochraniaczach Mountibanka. Wtedy wyłączyłam na chwilę dźwięk i wtedy usłyszałam dom, ten dom. Usłyszałam... – wykonała ręką.

– Puste mieszkania – powiedział Rick. Czasem sam je słyszał w nocy, kiedy powinien był spać. A przecież obecnie na wpół zamieszkały budynek mieszkalny zajmował wysokie miejsce w statystyce zagęszczenia; tam gdzie przed wojną były kiedyś przedmieścia, można było znaleźć całkowicie puste budynki – tak w każdym razie słyszał. Nie zweryfikował tej informacji; jak większość ludzi nie zależało mu na sprawdzeniu tego bezpośrednio.

– W chwili, gdy wyłączyłam w telewizorze fonię – powiedziała Iran – byłam w nastroju 382, właśnie go nastawiłam. Tak więc, choć odbierałam tę pustkę intelektualnie, nie czułam jej. Moją pierwszą reakcją było uczucie wdzięczności, że stać nas na programator nastroju Penfielda. Ale kiedy uświadomiłam sobie jak niezdrowe jest to odczuwanie nieobecności życia, nie tylko w tym budynku, ale. wszędzie i odreagowywanie tego... rozumiesz? Mam wrażenie, że nie. Ale przyjęto uważać to za oznakę choroby umysłowej, nazwano to „brakiem właściwego oddziaływania". Pozostawiłam więc wyłączoną fonię, usiadłam przy programatorze i zaczęłam eksperymentować. I wreszcie znalazłam, jak ustawić rozpacz. – Na jej smagłej, zuchwałej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, jakby udało się jej osiągnąć coś godnego uwagi. – Włączyłam więc ją do mojego planu, dwa razy w miesiącu. Sądzę, że to sensowny okres, by odczuć beznadziejność wszystkiego, beznadziejność pozostawania tu, na Ziemi, podczas gdy wszyscy rozgarnięci ludzie wyemigrowali, nie uważasz?

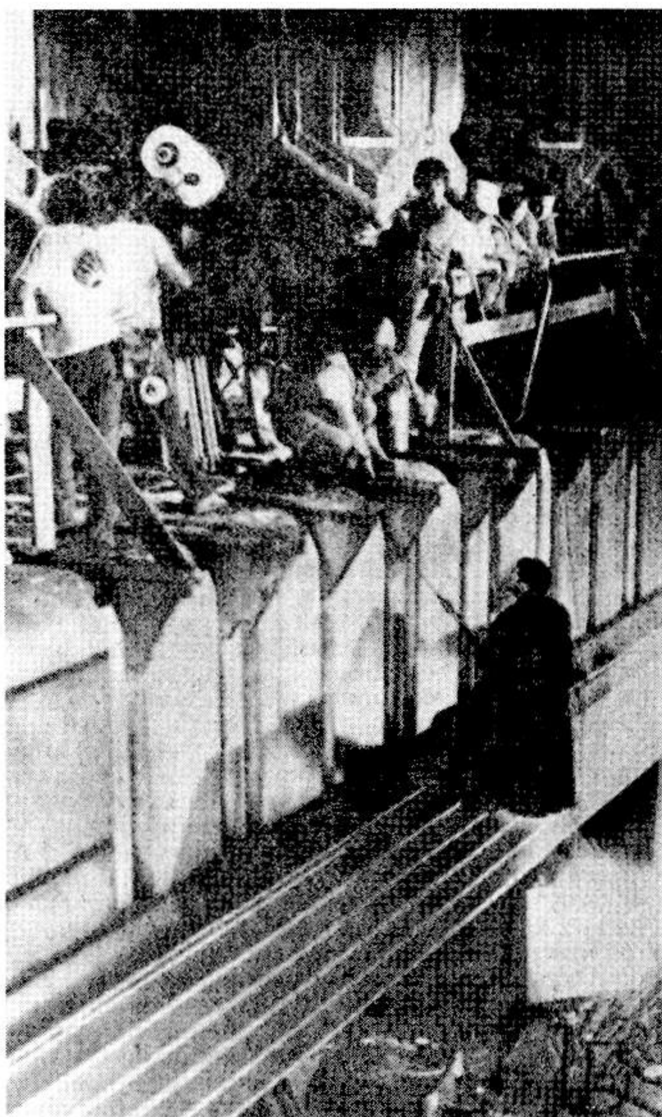
– Ale przy takim nastroju – odparł Rick – możesz mieć skłonność do pozostawania w nim, niewyprogramowania się z niego. Taka rozpacz, obejmująca całkowitą realność, ma tendencję do samopowtarzania.

– Programuję automatyczne przestawienie na 481 trzy godziny później – odparła gładko. – Świadomość otwierających się przede mną rozlicznych możliwości, nowa nadzieja, że...

– Znam 481 – przerwał jej. Wielokrotnie nastawiał tę kombinację, miał do niej wielkie zaufanie. – Posłuchaj – rzekł siadając na łóżku. Ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie. – Nawet przy automatycznym wyłączeniu narażanie się na jakiekolwiek depresje jest niebezpieczne. Zapomnij o tym, co zaplanowałaś, a ja zrobię to samo. Nastawimy oboje 104 i przeżyjemy to razem, potem pozostaniesz w tym nastroju, a ja przestawię swój na normalny, urzędowy sposób bycia. Potem chciałbym wskoczyć na chwilę na dach i zobaczyć co z owcą, a później udam się do biura. Będę w ten sposób miał pewność, że tymczasem nie siedzisz tu myśląc nie wiadomo o czym i nie oglądając telewizji. – Puścił jej długie, smukłe palce, przeszedł przez całe rozległe mieszkanie do saloniku jeszcze pachnącego ledwo uchwytnie ostatnimi papierosami wypalonymi w nocy. Pochylił się, by włączyć telewizor.

Z sypialni dobiegł go głos Iran.

– Przed śniadaniem nie trawię telewizji.



– Nastaw 888 – powiedział Rick, czekając aż aparat się nagrzeje. – Pragnienie oglądania telewizji, bez względu na to, co w niej nadają.

– Nie mam obecnie ochoty nastawiać czegokolwiek – odparła Iran.

– No to nastaw 3.

– Nie mogę nastawiać programu, który pobudzi w mojej korze mózgowej pragnienie nastawiania! Jeżeli nie chcę nastawiać, to przede wszystkim nie chcę nastawiać tego programu, ponieważ wtedy będę chciała nastawiać, a pragnienie nastawiania jest w tej chwili najbardziej obcym pragnieniem jakie mogłabym sobie wyobrazić. Chcę po prostu siedzieć na łóżku i gapić się w podłogę. – Jej głos stawał się ostry i ponury, jakby dusza jej zastygała powoli. Iran zamarła, jak gdyby opadł na nią olbrzymi ciężar wyczuwalnej, wszechobecnej cieniutkiej warstewki niemal całkowitego bezruchu.

Podkręcił dźwięk w telewizorze i głos Przyjacielskiego Bustera ryknął, wypełniając cały pokój: – ... hej, hej, kochani. A teraz pora na krótką prognozę pogody. Satelita „Mangusta" informuje, że opad radioaktywny nasili się szczególnie koło południa, po czym będzie się zmniejszał. A więc ci z was, którzy odważą się wyjść...

Iran pojawiła się obok niego w swej długiej, wlokącej się po ziemi koszuli nocnej i wyłączyła telewizor. – W porządku, poddaję się. Nastawię. Nastawię cokolwiek zechcesz. Może ekstatyczny orgazm? Czuję się tak paskudnie, że zniosę nawet to. Do diabła. W końcu, co to za różnica.

– Nastawię dla nas obojga – odparł Rick i zaprowadził ją z powrotem do sypialni. Tam zaprogramował na jej konsoli 549 – pełne zadowolenia uświadomienie niepospolitej wszechwiedzy męża. Na swojej konsoli nastawił twórczy i pełny odwagi stosunek do pracy, choć w gruncie rzeczy nie potrzebował tego. Była to jego wrodzona, zwykła cecha, nie wymagająca odwoływania się do sztucznego pobudzania mózgu.

Po zjedzonym w pośpiechu śniadaniu – stracił czas na dyskusję z żoną – wyjechał, ubrany do wyjścia (miał również na sobie Ołowiane Ochraniacze Mountibanka typu Ajax) na dach, gdzie na osłoniętym pastwisku „pasła się" jego elektryczna owca, wymyślna, skomputeryzowana maszyneria do nabierania innych mieszkańców budynku.

Oczywiście, niektóre z ich zwierząt również niewątpliwie były elektronicznymi imitacjami. Rzecz jasna, nigdy nie wtykał nosa w te sprawy, podobnie jak oni, jego sąsiedzi, nie interesowali się prawdziwymi zasadami działania jego owcy. Chyba nie było czegoś bardziej niegrzecznego. Pytanie „Czy pańska owca jest prawdziwa?" byłoby większym nietaktem niż dowiadywanie się, czy czyjeś zęby, włosy albo wewnętrzne organy są rzeczywiście autentyczne.

Buchnęło nań, drażniąc powonienie, szare, pochmurne powietrze z wirującymi pyłkami radioaktywnego kurzu. Mimowolnie wciągnął nosem ten ślad śmierci. No nie, to zbyt silne określenie, uznał idąc w stronę fragmentu trawnika, który należał doń wraz ze znajdującym się poniżej nazbyt wielkim mieszkaniem. Nasilenie tego dziedzictwa Ostatniej Wojny Światowej wyraźnie zmalało; ci, którzy nie zdołali przeżyć opadu radioaktywnego przed wieloma laty odeszli w niebyt, pył zaś – słabszy i oddziaływający na silniejsze, uodpornione jednostki – niszczył jedynie umysły i wypaczał właściwości genetyczne. Mimo ołowianych ochraniaczy, kurz niewątpliwie dzień po dniu osiadał na skórze, przedostając się do wnętrza Ricka, gromadząc niewielkie dawki plugawej nieczystości dopóty, dopóki nie uda mu się wyemigrować. Jak dotąd comiesięczne kontrole medyczne potwierdzały, że jest normalem – mężczyzną zdolnym do prokreacji w granicach określonych przez prawo. Jednakże w każdym miesiącu badania przeprowadzane przez lekarzy z Komendy Policji San Francisco mogły wykazać coś wręcz przeciwnego. Za sprawą wszeobecnego pyłu dotychczasowi normale wciąż przekształcali się w nowe odmiany specjali. Obiegowe hasło, które wciskały obecnie plakaty, reklamy telewizyjne, rządowe ulotki przysyłane pocztą, brzmiało: „Emigruj, albo się degeneruj! Wybór należy do ciebie!" Zupełnie słusznie, pomyślał Rick, otwierając bramkę prowadzącą na jego małe pastwisko i zbliżając się do elektrycznej owcy. Ale ja nie mogę emigrować, rzekł do siebie. Ze względu na moją pracę.

Zawołał go właściciel przyległego pastwiska, sąsiad z budynku – Bill Barbour. Podobnie jak Rick był już ubrany do pracy, ale również zatrzymał się, by sprawdzić jak się ma jego zwierzę.

– Mój koń – oznajmił rozpromieniony Barbour – jest w ciąży. – Wskazał wielkiego perszerona, który stał patrząc tępo w przestrzeń. – Co na to powiesz?

– Powiem, że wkrótce będziesz miał dwa konie – odparł Rick. – Dotarł już do swojej owcy. Leżała, przeżuwając, wpatrywała się weń uważnie badając, czy nie przyniósł owsianych bułeczek. Miała wmontowany obwód owsotropiczny – widząc jakikolwiek wyrób z tego zboża, zerwałaby się i podbiegłaby do niego.

– Od czego zaszła twoja klacz? – zapytał Barboura. – Od wiatru?

– Kupiłem trochę najwyższej jakości plazmy inseminacyjnej, jaką można znaleźć w Kalifornii – poinformował go Barbour. – Dzięki moim prywatnym znajomościom w Stanowym Biurze Zootechnicznym. Pamiętasz, jak w ubiegłym tygodniu ich inspektor badał Judy? Bardzo chcą, żeby się oźrebiła, ona nie ma sobie równych. – Barbour poklepał pieszczotliwie kark klaczy, a ona pochyliła głowę w jego stronę.

– Czy myślałeś kiedykolwiek o sprzedaży konia? – zapytał Rick. Marzył o tym, by mieć konia albo na dobrą sprawę, jakiekolwiek zwierzę. Czuł, że posiadanie i obrządzanie imitacji w jakiś sposób stopniowo go demoralizowało. Mimo to jednak, ze społecznego punktu widzenia, nie posiadając autentyku tak właśnie powinien był postępować. Nie miał najmniejszego wyboru, musiał to ciągnąć dalej. Nawet gdyby jemu samemu na tym nie zależało, pozostawała jeszcze żona. Iran zaś zależało – i to bardzo.

– Sprzedaż konia – odparł Barbour – byłaby niemoralna.

– No to sprzedaj źrebię. Posiadanie dwóch zwierząt jest bardziej niemoralne, niż nieposiadanie żadnego.

– O co ci chodzi? – spytał zaskoczony Barbour. – Wiele osób ma dwoje zwierząt, nawet trzy, cztery, a Fred Washborne, właściciel zakładów przetwórstwa alg, gdzie pracuje mój brat, aż pięć. Czy nie czytałeś artykułu o jego kaczce we wczorajszej „Chronicle"? Przypuszczają, że jest to najcięższy i największy okaz kaczki piżmowej na Zachodnim Wybrzeżu. – Jego oczy zaszkliły się marzycielsko na samą myśl o posiadaniu czegoś takiego. Stopniowo pogrążał się w trans.

Rick przeszukał kieszenie płaszcza i wyciągnął wymięty, wielokrotnie przeglądany egzemplarz styczniowego dodatku do Katalogu Zwierząt i Ptaków Sidneya. Spojrzał do indeksu, znalazł źrebaki (patrz konie, potomstwo) i wkrótce miał już najczęściej spotykane krajowe notowania cen. – Mogę kupić od Sidneya źrebaka perszerona za pięć tysięcy dolarów – oznajmił.

– Nie, nie możesz – odparł Barbour. – Przyjrzyj się jeszcze raz notowaniom, są podane kursywą. To znaczy, że nie mają żadnego na składzie, ale gdyby mieli, cena byłaby właśnie taka.

– Załóżmy – powiedział Rick – że przez dziesięć miesięcy będę ci płacił po pięćset dolarów. Dostaniesz pełną cenę katalogową.

– Zupełnie się nie orientujesz, Deckard, jak wygląda sprawa z końmi – rzekł Barbour z politowaniem w głosie. – To nie przypadek, że Sidney nie ma żadnego źrebaka perszerona. One nie zmieniają właścicieli ot, tak sobie – nawet po cenach katalogowych. Są zbyt wielką rzadkością, również i te stosunkowo gorszej jakości. – Przechylił się, gestykulując, przez ogrodzenie. – Mam Judy od trzech lat i przez cały ten czas nie widziałem mogącej się z nią równać kobyły tej rasy. Aby ją zdobyć, musiałem lecieć do Kanady i przywieźć ją tu osobiście, by mieć pewność, że jej nie ukradną. Pokażesz się z takim zwierzęciem gdzieś w Colorado czy Wyoming i rozwalą ci głowę, żeby je zdobyć. Wiesz dlaczego? Bo już przed O.W.Ś. było ich zaledwie kilkaset...

– Ale – przerwał mu Rick – to, że masz dwa konie, a ja nie mam żadnego, podważa fundamenty teologicznej i moralnej struktury merceryzmu.

– Przecież masz swoją owcę. Do licha, możesz prowadzić Wspinaczkę w swym życiu osobistym i kiedy ujmujesz dwa uchwyty empatii, przystępujesz do tego uczciwie. Oczywiście, gdybyś nie miał tej swojej owcy, wtedy mógłbym dostrzec pewne logiczne przesłanki twojego stanowiska. Oczywiście, gdybym miał dwoje zwierząt, ty zaś nie miałbyś żadnego, mógłbym przyczyniać się do odbierania ci możliwości prawdziwego zespolenia Mercerem. Ale każda rodzina w tym budynku – poczekaj; około pięćdziesięciu, jedna na trzy mieszkania, o ile dobrze liczę – każde z nas ma jakieś zwierzę. Graveson trzyma tam swego kurczaka. – Wskazał na północ. – Oakes z żoną mają tego dużego, rudego psa, który szczeka nocami. – Zamyślił się. – Mam wrażenie, że Ed Smith ma w swoim mieszkaniu kota. W każdym razie tak utrzymuje, ale nikt go jeszcze nie widział. Możliwe, że tylko udaje.

Rick podszedł do swojej owcy i pochylił się nad nią. Grzebał w gęstej, białej wełnie – przynajmniej runo było prawdziwe – aż wreszcie znalazł to, czego szukał: ukryty mały pulpit sterowniczy. Czując na sobie wzrok Barboura otworzył pokrywę pulpitu, odsłaniając wnętrze. – Widzisz? – rzekł do sąsiada. – Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo chcę mieć twojego źrebaka?

– Biedaku – Barbour odezwał się po krótkiej przerwie. – Czy to zawsze tak było?

– Nie – odparł Rick zamykając pokrywę. Wyprostował się, odwrócił i spojrzał sąsiadowi prosto w twarz. – Początkowo miałem prawdziwą owcę. Dał nam ją mój teść, bezpośrednio przed tym jak wyemigrował. A później, mniej więcej rok temu, pamiętasz, wtedy wziąłem ją do weterynarza – byłeś tu tego ranka, kiedy przyszedłem i zobaczyłem, że leży na boku i nie może się podnieść.

– Postawiłeś ją na nogi – przypomniał sobie Barbour i skinął głową. – Tak, udało ci się ją podnieść, ale chodziła tylko minutę albo dwie i znowu upadła.

– Owce cierpią na dziwne choroby – powiedział Rick. – Albo ująłbym to inaczej. Owce zapadają na wiele chorób, ale objawy są zawsze takie same – owca nie może się podnieść i nie sposób ocenić, do jakiego stopnia jest to poważne, czy skręciła nogę, czy zdycha na tężec. Moja padła właśnie na tężec.



– Tężec? Tutaj? – zapytał Barbour. – Na dachu?

– Siano – wyjaśnił Rick. – Nie wyjąłem wtedy z beli wszystkich kawałków drutu. Jeden został i Groucho – tak ją nazywaliśmy – zadrapała się i w ten sposób zaraziła się tężcem. Zabrałem ją do weterynarza i zdechła. Długo o tym myślałem, aż wreszcie poszedłem do jednego z tych sklepów, w których produkują sztuczne zwierzęta i pokazałem im fotografię Groucho. Zrobili mi to. – Wskazał leżące pseudozwierzę, które w dalszym ciągu przeżuwało uważnie, stale oczekując na jakikolwiek ślad owsa. – Wspaniała robota. I poświęcam jej równie wiele czasu i opiekuję się równie starannie, jak wtedy, kiedy była prawdziwa. Ale... – Wzruszył ramionami...

– To nie to samo – skończył za niego Barbour.

– Ale prawie. Przy obrządzaniu jej czuje się to samo. Trzeba wciąż bardzo na nią uważać, podobnie jak wtedy, kiedy była naprawdę żywa. W przeciwnym razie popsuje się i wtedy wszyscy w całym domu się zorientują. Musiałem sześć razy wozić ją do warsztatu. Przeważnie były to drobne usterki, ale gdyby ktoś je zobaczył – na przykład wtedy, gdy zerwała się, czy jakoś zaplątała taśma i owca beczała bez przerwy – mógłby zorientować się, że jest to m e c h a n i c z n e urządzenie. Ciężarówka z warsztatu naprawczego – dodał – jest oczywiście oznakowana „Jakaśtam klinika dla zwierząt". I kierowca ubrany jest jak weterynarz, cały na biało. – Spojrzał nagle na zegarek, przypominając sobie o czasie. – Muszę iść do pracy – rzekł do Barboura. – Zobaczymy się wieczorem.

Gdy ruszył w stronę swego pojazdu, Barbour zawołał z pośpiechem w ślad za nim. – Hej. Nic nie powiem żadnemu z tutejszych mieszkańców.

Rick zatrzymał się, by podziękować, ale w tej samej chwili poczuł, jak dotyka go jakaś cząstka owej rozpaczy, o której mówiła Iran i rzekł: – Bo ja wiem. Może nie ma to żadnego znaczenia.

– Ale przecież będą patrzeć na ciebie z góry. Nie wszyscy, ale niektórzy tak. Wiesz, co ludzie myślą, jeżeli ktoś nie opiekuje się zwierzęciem. Uważają to za niemoralne i nieempatyczne. Oczywiście, teoretycznie nie jest to przestępstwem, tak jak tuż po O.W.Ś., ale emocje pozostały te same.

– O Boże – rzekł Rick beznadziejnym tonem i machnął ręką. – Przecież chcę mieć zwierzę. Próbuję je kupić. Ale przy mojej pensji, przy zarobkach miejskiego urzędnika... – Gdyby, pomyślał, znowu mi się poszczęściło w pracy. Tak jak dwa lata temu, kiedy udało mi się w jednym miesiącu upolować cztery andki. Gdybym wtedy wiedział, pomyślał, że Groucho zdechnie... ale to było przed tężcem. Przed tym dwucalowym, ostrym jak igła kawałkiem drutu.

– Możesz kupić kota – zaproponował Barbour. – Koty są tanie, możesz sprawdzić w swoim Sidneyu.

– Nie chcę domowego zwierzęcia – odparł cicho Rick. – Chcę mieć to, co miałem poprzednio – duże zwierzę. Owcę albo jeżeli uda mi się zdobyć pieniądze, krowę czy wołu, albo to, co ty masz – konia. – Nagroda za usunięcie pięciu andków by wystarczyła, uzmysłowił sobie. Po tysiąc dolarów od sztuki, dodatkowy dochód poza moją pensją. A wtedy mógłbym dostać od kogoś to, czego pragnę. Nawet jeżeli w Zwierzętach i Ptakach Sidneya wydrukowali cenę kursywą. Pięć tysięcy dolarów – ale, pomyślał, najpierw te pięć andków musi się przedostać na Ziemię z którejś planety-kolonii. Nie mogę mieć na to wpływu, nie mogę ich zmusić, by tu przyleciały, a nawet gdybym mógł, są jeszcze inni łowcy, którzy na całym świecie współpracują z policyjnymi organami. Andki musiałyby specjalnie upodobać sobie Północną Kalifornię, a starszy łowca w tym rejonie, Dave Holden, musiałby akurat umrzeć albo się wycofać.

– Kup sobie świerszcza – zaproponował Barbour dowcipnie. – Albo mysz. Hej, za dwadzieścia pięć zielonych możesz sobie kupić dorosłą mysz.

– Twój koń może niespodziewanie zdechnąć – odparł Rick – tak jak zdechła moja Groucho. Kiedy wrócisz wieczorem z pracy do domu, możesz znaleźć swoją kobyłę leżącą na grzbiecie, z nogami sterczącymi w powietrzu, jak chrabąszcz. Jak ten świerszcz, o którym mówiłeś.

– Przepraszam, jeżeli cię uraziłem – powiedział Barbour nerwowo.

Rick Deckard w milczeniu otworzył drzwiczki swego Spinerera – turbinowego pojazdu pionowego startu i lądowania. Nie miał już nic do powiedzenia sąsiadowi, myślał o swojej pracy, o czekającym go dniu.



BLADE RUNNER

II

W gigantycznym, pustym, chylącym się ku ruinie budynku, gdzie mieszkały niegdyś tysiące ludzi, pojedynczy telewizor wydzierał się w bezludnym pokoju.

Ta bezpańska ruina przed Ostateczną Wojną Swiatową była zadbanym i utrzymywanym w dobrym stanie blokiem mieszkalnym. Tu właśnie były przedmieścia San Francisco, położone od centrum w odległości krótkiego dojazdu szybką, tranzytową koleją jednoszynową. Cały półwysep jak drzewo pełne ptaków świergotał życiem, dźwięczał wyrażanymi opiniami, prośbami i zażaleniami, a teraz pieczołowici właściciele albo poumierali, albo wyemigrowali do kolonii, na inne planety. Najczęściej poumierali – ta wojna drogo kosztowała mimo buńczucznych prognoz Pentagonu i jego zadowolonego z siebie naukowego wasala, jakim była mieszcząca się niegdyś niedaleko stąd Rand Corporation. Korporacja, podobnie jak właściciele mieszkań, odeszła, najwidoczniej na dobre. Nikt nie odczuwał jej braku.

W dodatku, nikt już dziś nie pamiętał ani jaki był powód tej wojny, ani kto ją wygrał. Pył radioaktywny, który zatruł większą część powierzchni planety nie zrodził się w żadnym konkretnym kraju i nikt, nawet ówczesny przeciwnik, nie zaplanował takiego rozwoju wypadków. Dziwne, ale pierwsze wyginęły sowy. Wtedy wydawało się to nieomal śmieszne. Grube, puchate, białe ptaki leżały tu i tam, na podwórkach i ulicach. Kiedy jeszcze żyły, pojawiały się nie wcześniej niż po zmroku i przez to nie rzucały się w oczy. Morowe powietrze w średniowieczu dawało o sobie znać w podobny sposób – pod postacią wielkiej liczby martwych szczurów. Ta zaraza jednak przyszła z góry.

Po sowach przyszła oczywiście kolej na inne ptaki, ale wtedy tajemnica została już wyjaśniona i zrozumiana. Jeszcze przed wojną rozpoczęto realizację skromniutkiego programu osiedleńczego, ale teraz, gdy słońce przestało świecić nad Ziemią, kolonizacja weszła w całkowicie nową fazę. W związku z tym również i sprzęt bojowy, jakim był Syntetyczny Żołnierz Wolności został zmodyfikowany. Zdolny do działania na obcych planetach humanoidalny robot, czy też raczej organiczny android, stał się siłą napędową programu kolonizacyjnego. Zgodnie z oenzetowskim prawem, każdy emigrant automatycznie otrzymywał na własność androida wybranego typu i w 2019 roku rozmaitość odmian przeszła wszelkie wyobrażenia, podobnie jak miało to miejsce z amerykańskimi samochodami w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Stało się to ostatecznym bodźcem skłaniającym do emigracji – służący-android był marchewką, radioaktywny opad – batem. ONZ czyniła emigrację łatwą, pozostanie zaś trudnym, jeżeli nie niemożliwym. Potencjalnie, wałęsanie się po Ziemi oznaczało możliwość raptownego, znalezienia się w grupie osób biologicznie niepożądanych, stanowiących zagrożenie dla dziedziczności rasy. Obywatel, którego już raz zaszufladkowano jako specjala, nawet jeżeli zgodził się na sterylizację, wypadał z gry, w gruncie rzeczy przestawał być częścią rodzaju ludzkiego. Mimo to jednak tu i ówdzie ludzie odmawiali wyemigrowania; było to nawet dla tych, których dotyczyło bezpośrednio, czymś zadziwiająco irracjonalnym. Zgodnie z logiką, każdy normal powinien był już wyemigrować. Być może Ziemia, choć tak oszpecona, pozostawała czymś bliskim, czymś czego należało się trzymać. Albo,

być może ci, którzy nie chcieli emigrować wyobrażali sobie, że warstwa pyłu w końcu ulegnie rozproszeniu. W każdym bądź razie pozostały tysiące osób, które najczęściej zgromadziły się w miejskich regionach, tam, gdzie mogły widzieć się nawzajem, czerpać otuchę ze wspólnej obecności. Sprawiali oni wrażenie stosunkowo zdrowych umysłowo. A poza tym, jako wątpliwej wartości dodatek do nich, pewne szczególne jednostki pozostały na całkowicie opuszczonych przedmieściach.

John Isidore, który golił się w łazience, podczas gdy w salonie wydzierał się nań telewizor, był jednym z nich.

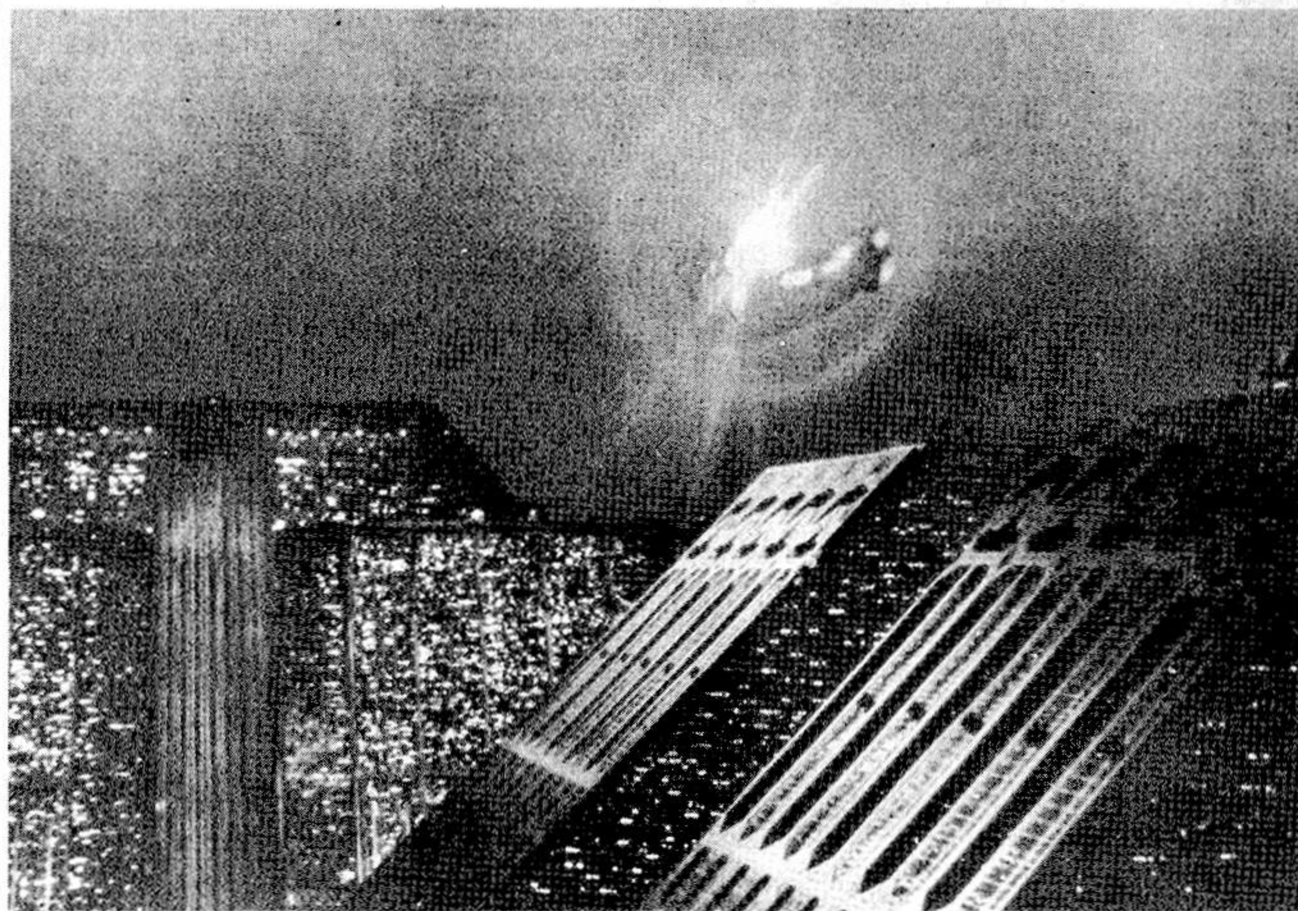
Po prostu zabrnął tutaj wkrótce po wojnie. W tych złych czasach nikt właściwie nie wiedział, co robi. Ludność, oderwana od swych zwykłych miejsc przez wojnę, włóczyła się, osiedlała na jakiś czas to w jednym regionie, to znów w drugim. W owych czasach opady radioaktywne były rzadkie i bardzo zmienne – w niektórych stanach nie występowały prawie wcale, inne otrzymywały dużą dawkę. Uchodźcy wędrowali, gdy przesuwały się opady pyłu. Półwysep na południe od San Francisco początkowo był czysty i wiele osób wykorzystało to i osiedliło się w tym miejscu. Gdy pojawił się pył, część umarła, część zaś odeszła. J.R. Isidore pozostał.

głównego osiedla Stanów Zjednoczonych na Marsie. Jego zaś niezbyt sprawny aparat odbierał tylko kanał, który został znacjonalizowany podczas wojny. Rząd w Waszyngtonie i jego program kolonizacyjny był jedynym sponsorem programu, którego Isidore zmuszony był słuchać.

– Posłuchajmy pani Maggie Klugman – zaproponował spiker Johnowi Isidore, który chciał tylko dowiedzieć się, która godzina. – Pani Klugman, która przybyła niedawno na Marsa i zamieszkała w Nowym Nowym Jorku, w swym wywiadzie nagranym na żywo powiedziała nam co następuje. – Pani Klugman, jak mogłaby pani porównać swą egzystencję tam, na zatrutej Ziemi, z życiem tutaj, w świecie bogatym we wszystkie dające się wyobrazić możliwości? – Chwila ciszy, a następnie zmęczony, oschły głos kobiety w średnim wieku odpowiedział: – Sądzę, że ja i moja trzyosobowa rodzina najsilniej odczuwamy godność.

– Godność, pani Klugman? – zapytał spiker.

– Tak – odparła pani Klugman, obecnie z Nowego Nowego Jorku. – To trudno wyjaśnić. Posiadanie służącego, na którym można polegać w naszych trudnych czasach... to mi dodaje otuchy.



Odbiornik telewizyjny darł się:

– ...powtarza błogosławione czasy Południa przed Wojną Secesyjną! Czy to jako personalny służący, czy też niestrudzony pracownik rolny, wykonany specjalnie na zamówienie humanoidalny robot – zaprojektowany został wyłącznie dla TWYCH POTRZEB – DLA CIEBIE I TYLKO DLA CIEBIE! Otrzymasz go całkowicie bezpłatnie natychmiast po przyjeździe, zgodnie z obietnicą daną ci przed opuszczeniem Ziemi. Ten lojalny, niekłopotliwy towarzysz w największej, najbardziej zuchwałej przygodzie podjętej przez człowieka w jego najnowszej historii, zapewni... – I tak dalej, i tak dalej.

Ciekawe, czy spóźniłem się do pracy, zastanowił się Isidore podczas golenia. Nie miał zegarka i uzależniony był od sygnałów czasu nadawanych przez telewizję, dziś jednak był najwidoczniej Dzień Kosmicznych Perspektyw. W każdym bądź razie telewizja twierdziła, że jest to piąta (a może szósta) rocznica założenia Nowej Ameryki,

– Czy dawniej, na Ziemi, pani Klugman, nie obawiała się pani również tego, że zostanie zaliczona, hmm... do specjali?

– Och, mój mąż i ja zamartwialiśmy się tym prawie na śmierć. Oczywiście, gdy tylko wyemigrowaliśmy, ten problem zniknął, całe szczęście, na zawsze.

Dla mnie również zniknął, pomyślał kwaśno John Isidore, i wcale nie musiałem w tym celu emigrować. Od ponad roku był już specjalem i to nie tylko ze względu na swe zniekształcone geny. Co gorsza, oblał test na minimalny poziom inteligencji i dzięki temu stał się osobnikiem zwanym potocznie kurzym móżdżkiem. Spadła nań pogarda wszystkich trzech planet, ale mimo to jakoś udało mu się przeżyć. Pracował, prowadząc ciężarówkę w zakładzie naprawczym sztucznych zwierząt. Klinika Zwierząt Van Ness i jej posępny, niesamowity szef Hannibal Sloat uznali go za człowieka, on zaś potrafił to docenić. *Mors certa, vita incerta,* jak to od czasu do czasu



Wszystkie zdjęcia zostały wykonane podczas przygotowań oraz w trakcie realizacji filmu

BLADE RUNNER

oznajmiał pan Sloat. Isidore, choć słyszał ów zwrot wiele razy, miał jedynie mgliste pojęcie co on znaczył. W końcu, gdyby kurzy móżdżek rozumiał po łacinie, przestałby być kurzym móżdżkiem. Kiedy panu Sloatowi zwrócono na to uwagę, przyznał rację. W końcu istniały kurze móżdżki nieporównywalnie głupsze niż Isidore, takie, które nie były w stanie wykonywać żadnej pracy i przebywały w zakładach zamkniętych zwanych osobliwie „Instytutami Specjalnych Umiejętności Zawodowych w Ameryce". Słowo „specjalnych" jak zawsze musiało się tu w takiej czy innej formie znaleźć.

–... mąż pani nie czuł się wystarczająco zabezpieczony – ciągnął dalej spiker – mimo że posiadał i stale nosił drogi i niewygodny ochraniacz antyradiacyjny, nieprawdaż, pani Klugman?

– Mój mąż – zaczęła pani Klugman, ale w tej właśnie chwili Isidore skończył się golić, wkroczył do salonu i wyłączył aparat.

Cisza. Wybuchła z framug drzwi i okien, ze ścian, poraziła straszliwą, całkowitą potęgą, jakby wytwarzaną przez olbrzymią siłownię. Unosiła się z podłogi całkowicie pokrytej wystrzępioną szarą wykładziną. Wyrywała się z całkowicie lub częściowo popsutych akcesoriów kuchennych, martwych urządzeń, które nie działały nigdy, od kiedy mieszkał tu Isidore. Sączyła się z bezużytecznej, stojącej lampy w salonie, przeplatając się z sobą samą sączącą się bezgłośnie z upstrzonego przez muchy sufitu. W istocie potrafiła wyłaniać się z każdego przedmiotu znajdującego się w zasięgu wzroku, jakby miała ona,

cisza, zamiar wyrugować wszystkie namacalne przedmioty. Stąd też atakowała nie tylko jego uszy, ale i oczy; gdy stał tak przy martwym telewizorze, odczuwał ciszę jako coś widzialnego, i na swój sposób, żywego. Żywego! Już poprzednio często czuł, jak zbliża się surowo i groźnie; gdy zjawiała się, wybuchała bez najmniejszej subtelności, najwidoczniej niezdolna czekać. Cisza tego świata nie mogła pohamować swej zachłanności. Już ani chwili dłużej. Już nie wtedy, kiedy właściwie zwyciężyła.

Zastanawiał się wówczas, czy inni ludzie, którzy pozostali na Ziemi, odczuwają pustkę w ten sam sposób. Czy też jest to coś ściśle związanego z jego specyficzną, biologiczną tożsamością, fenomen wytworzony przez jego niesprawne zmysły? To ciekawe pytanie, pomyślał Isidore. Z kim jednak mógłby skonfrontować swoje spostrzeżenia? Mieszkał sam w tym rozkładającym się, ślepym gmachu o tysiącu nie zamieszkanych mieszkań, który podobnie jak wszystkie inne do niego podobne, dzień po dniu stawał się coraz większą entropijną ruiną. Ostatecznie, wszystko w tym budynku połączy się, stanie się bezosobowym i identycznym, zwyczajnym kisielowatym chłamem wypełniającym każde mieszkanie aż po sufit. A potem, ten zaniedbany budynek również zatraci swój kształt, zostanie pogrzebany pod wszechobecnym pyłem. Do tej pory, rzecz jasna, on sam będzie już martwy, kolejne wydarzenie, które ciekawie jest przewidywać stojąc tu, w tym porażonym salonie sam na sam z pozbawioną płuc, wszystko przenikającą, władczą światociszą.

Może lepiej byłoby włączyć telewizor. Ale reklamy adresowane do pozostałych normali budziły w nim strach. Powiadamiały go o niezliczonych przejawach rozwoju w dziedzinach, w których on, special, był kimś niepożądanym. Był bezużyteczny. Nie mógł, nawet gdyby chciał, wyemigrować. Po co więc tego słuchać? – zadał sobie pytanie, poirytowany. Do diabła z nimi i ich kolonizacją. Mam nadzieję, że tam też wybuchnie wojna, w końcu teoretycznie było to możliwe, i skończy się tam tak, jak na Ziemi. I każdy, kto wyemigrował, zostanie specjalem.

Dobra, pomyślał, trzeba się zabierać do roboty. Dotknął klamki, która otwierała przed nim drogę do nie oświetlonego korytarza i cofnął się, gdy dostrzegł pustkę pozostałej części budynku. Czaiła się tam oczekując na niego siła, która – jak wyczuwał – pracowicie przenikała do jego mieszkania. O Boże, pomyślał i zamknął drzwi. Nie był jeszcze przygotowany do wędrówki tymi dudniącymi metalicznie schodami na płaski dach, gdzie nie miał żadnego zwierzęcia. Echo jego wspinaczki, echo nicości. Czas, by ująć uchwyty, powiedział do siebie i przeszedł przez salon, do czarnej skrzynki empatycznej.

Gdy włączył ją, z zasilacza wydobył się charakterystyczny, słaby zapach jonów ujemnych. Wciągnął je skwapliwie do płuc czując się już podniesiony na duchu. W tym czasie kineskop rozjarzył się słabą imitacją obrazu telewizyjnego, powstał kolaż utworzony z pozornie przypadowych kolorów, linii, kształtów, które do chwili ujęcia uchwytów nic nie znaczyły. Nabrał więc głęboko powietrze w płuca, by się uspokoić i ujął oba uchwyty.

Obraz ustalił się. Zobaczył natychmiast znajomy krajobraz, brunatne, nagie wzniesienie z kępkami wyschniętych na pieprz traw sterczących ukośnie w blade, pozbawione słońca niebo. Pojedyncza postać, mniej więcej o ludzkich kształtach brnęła pod górę; stary człowiek odziany w wyszarzałą, bezkształtną szatę, okrycie tak nędzne, jakby urwane z wrogiej pustki nieba. Człowiek ten, Wilbur Mercer, posuwał się z trudem przed siebie, i gdy John Isidore zaciskał uchwyty czuł, jak stopniowo znika widok salonu, w którym stał. Zniszczone umeblowanie, ściany rozpłynęły się i przestał je zupełnie dostrzegać. Zamiast tego, jak zawsze, znalazł się na brunatnym wzgórzu, pod bezbarwnym niebem. Jednocześnie przestał już widzieć wspinaczkę starego człowieka. Teraz jego własne stopy przesuwały się, szukały oparcia wśród znajomych, luźnych kamieni, czuł te same, dawne, sprawiające ból, nierówności pod stopami i znowu poczuł drażniące opary w powietrzu – powietrzu nie Ziemi, lecz jakiegoś obcego, odległego, ale dzięki empatycznej skrzynce natychmiast dostępnego miejsca.

Przedostał się tam w sposób, który jak zawsze wprawiał go w zdumienie. Nastąpiło fizyczne zespolenie, podobnie jak umysłowa i duchowa identyfikacja z Wilburem Mercerem. Podobnie działo się ze wszystkimi, którzy trzymali uchwyty czy to tutaj na Ziemi, czy też na którejś ze skolonizowanych planet. Czuł ich, łączył w sobie bełkot ich myśli, słyszał w swym mózgu hałas ich wielu pojedynczych istnień. Oni i on dbali tylko o jedno – to zespolenie umysłów zwracało ich uwagę na wzgórze, na wchodzenie po zboczu, na konieczność wspinaczki. Krok za krokiem przekształcało się, tak wolno, że omal niepostrzegalnie. A było. Wyżej, pomyślał, podczas gdy kamienie grzechocząc toczyły się spod jego stóp. Dziś jestem wyżej niż wczoraj, a jutro... – on sam, zbiorcza postać Wilbura Mercera, spojrzała do góry, by popatrzeć na leżące przed nią podejście. Nie sposób dotrzeć do samego końca. Za daleko. Ale to nastąpi.

Ciśnięty w niego kamień uderzył go w ramię. Poczuł ból. Zrobił półobrót i kolejny kamień przeleciał obok niego, chybiając. Uderzył w ziemię i ten odgłos zaskoczył Johna. Kto? – pomyślał, próbując dostrzec swego dręczyciela. Dawni przeciwnicy ukazali się na granicy jego pola widzenia. Szli jego śladem na wzgórze i pozostaną aż do samego szczytu...

Przypomniał sobie wierzchołek, niespodziewanie płaski szczyt wzgórza. Tam kończyło się podejście i rozpoczynała następna część. Ile razy szedł tą drogą? Kolejne podejścia zamgliły się, przyszłość i przeszłość, zamgliły się, to czego doświadczył i czego będzie doświadczał połączyło się tak, że nie pozostało nic poza tą chwilą, w której stał i odpoczywał masując skaleczone kamieniem ramię. Boże, pomyślał zmęczony. Jakże może to być słuszne? Dlaczego jestem tu sam, torturowany przez coś, czego nawet nie mogę zobaczyć? W tej samej chwili, rozlegający się w jego wnętrzu gwar wszystkich znajdujących się w zespoleniu rozproszył złudzenie samotności.

Czuliście to również, pomyślał. Tak, odparły głosy. Zostaliśmy uderzeni, w lewe ramię; boli jak diabli. W porządku, odparł. Lepiej będzie, gdy ruszymy dalej. Zaczął iść i wszyscy natychmiast przyłączyli się do niego.

Kiedyś, przypomniał sobie, było inaczej. Zanim spadła klątwa; wcześniejszy, bardziej szczęśliwy okres życia. Jego przybrani rodzice, Frank i Cora Mercer znaleźli go płynącego w nadmuchanej, gumowej łódce ratunkowej koło wybrzeży Nowej Anglii... a może był to Meksyk, niedaleko portu Tampico? Teraz nie mógł przypomnieć sobie okoliczności. Dzieciństwo miał przyjemne, kochał wszystkie przejawy życia. Szczególnie zwierzęta i w rzeczy samej potrafił od pewnego czasu sprawić, że martwe zwierzęta stawały się takie jak poprzednio. Żył wśród królików i żuczków, obojętne gdzie to było, na Ziemi, czy na którejś planecie-kolonii, tego również nie mógł sobie teraz przypomnieć. Ale pamiętał morderców, bowiem aresztowali go jako szajbusa, specjala większego od jakiegokolwiek innego. I przez to właśnie wszystko się zmieniło.

Miejscowe prawo zabraniało korzystania z umiejętności odwracania czasu, dzięki której martwi wracali do życia. Oznajmiono mu o tym, gdy miał szesnaście lat. Przez następny rok robił to w tajemnicy, w pozostałych jeszcze lasach, ale stara kobieta, której nigdy nie widział ani o niej nie słyszał, doniosła. Bez zgody jego rodziców, oni – ci mordercy – zbombardowali wyjątkowy guzek, który wykształcił się w jego mózgu, zniszczyli go radioaktywnym kobaltem i ten czyn cisnął go w zupełnie inny świat, którego istnienia nigdy nie podejrzewał. Była to jama pełna zwłok i kości, z której latami starał się wydostać. Osioł i ropucha – zwłaszcza ropucha – istoty dla niego najważniejsze, zniknęły, stały się stworzeniami wymarłymi, pozostały po nich tylko rozkładające się

szczątki – tu bezoka głowa, tam znów fragment łapy. Wreszcie ptak, który przyleciał tam, by umrzeć, powiedział mu, gdzie się znajduje. Zapadł się do świata grobów. Nie mógł się z niego wydobyć, dopóki rozrzucone wokół niego kości nie staną się znowu częścią żywych istot. Został przyłączony do procesu przemiany materii innych istnień i dopóki one nie powstaną, on także nie będzie w stanie powstać.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwała owa część cyklu. Ogólnie rzecz biorąc nic się nie działo, nie było więc też poczucia czasu. Wreszcie jednak kości pokryły się ciałem, wypełniły się puste oczodoły i nowe oczy przejrzały, a w tym samym czasie odtworzone dzioby i paszcze gdakały, szczekały i miauczały. Być może on tego dokonał, być może odrósł ów pozazmysłowy organ. Albo może nie miał w tym udziału; bardzo prawdopodobne, że mógł to być naturalny proces. W każdym razie nie pogrążał się już, zaczął wchodzić do góry, razem z innymi. Już dawno temu stracił ich z oczu i obecnie stwierdził, że najwidoczniej wspina się sam. Ale oni byli tutaj. Wciąż mu towarzyszyli i co dziwne, czuł ich wewnątrz siebie.

Isidore stał, trzymając dwa uchwyty i czuł jak zawiera w swym jestestwie każdą żyjącą istotę, aż wreszcie, niechętnie otworzył dłonie. Musiało się to, jak zawsze, skończyć, a w każdym razie ręka w miejscu, w którym uderzył kamień bolała i krwawiła.

Obejrzał ramię, a potem, niepewnym krokiem przeszedł do łazienki, by obmyć ranę. Nie było to pierwsze obrażenie, jakie otrzymał w czasie zespoleń z Mercerem i zapewne nie było ostatnie. Ludzie, zwłaszcza ci bardziej leciwi, umierali, zwłaszcza później, na szczycie wzgórza, gdzie męczarnie zaczynały być prowadzone na ostro. Ciekawe, czy zdołam znowu przejść przez tę część, rzekł do siebie wycierając skaleczenie. Możliwość zatrzymania pracy serca. Lepiej by było, pomyślał, gdybym mieszkał w mieście, gdzie każdy z takich budynków ma w pogotowiu lekarza z aparaturą do elektrycznego pobudzania serca. Tutaj, w samotności, to zbyt ryzykowne.

Wiedział jednak, że musi podjąć to ryzyko. Tak jak zawsze czynił to poprzednio. Jak czyniła to większość osób, nawet słabi fizycznie staruszkowie.

Osuszył Kleenexem zranione ramię.

I usłyszał stłumiony i odległy telewizor.

W tym domu jest ktoś poza mną, pomyślał ogarnięty dzikim popłochem, nie mogąc w to uwierzyć. To nie mój telewizor, mój jest wyłączony i czuję drgania podłogi. To jest niżej, na zupełnie innym piętrze!

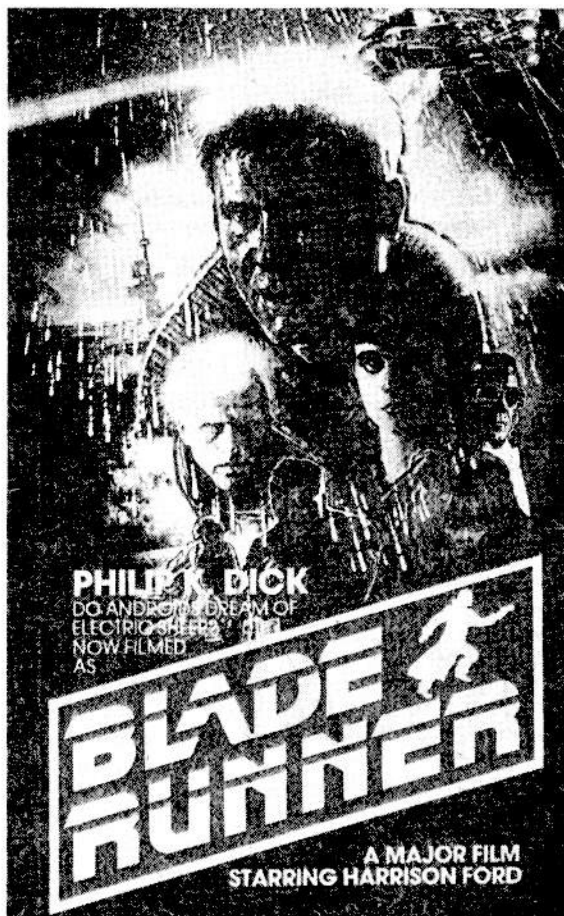
Już nie jestem tu zupełnie sam, uświadomił sobie. Wprowadził się jeszcze jeden lokator, zajął któreś z opuszczonych mieszkań i to tak niedaleko, że mogę go słyszeć. To musi być poziom drugi albo trzeci, na pewno nie niżej. Trzeba sprawdzić, pomyślał gorączkowo. Jak się postępuje, gdy wprowadza się nowy lokator? Zachodzi się do niego i coś pożycza, czyż nie tak? Nie mógł sobie przypomnieć. Dotąd nic podobnego mu się nie zdarzyło, czy tu, czy też gdziekolwiek indziej. Ludzie wyprowadzili się, emigrowali, ale nikt nigdy się nie sprowadzał. Muszę im coś zanieść, postanowił. Kubek wody albo raczej mleka; tak mleka, albo mąki, albo może jajko – a właściwie, ich namiastki.

Zajrzał do lodówki, której sprężarka od dawna już nie działała i znalazł podejrzaną kostkę margaryny. Trzymając ją w ręku ruszył w podnieceniu, z łomoczącym sercem, na niższy poziom. Muszę być spokojny, uzmysłowił sobie. Nie mogę dać mu poznać, że jestem kurzym móżdżkiem. Jeżeli zorientuje się, że jestem kurzym móżdżkiem, nie będzie chciał ze mną rozmawiać, zawsze się tak dzieje z jakiegoś powodu. Ciekaw jestem dlaczego?

Pobiegł wzdłuż korytarza.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**





Reprodukcja Zbigniew Latała

film i fantastyka

Androidy, czyli my

Rubryka filmowa zadomowiła się już w „Fantastyce" na dobre. Staramy się pisać tutaj o filmach zupełnie nowych, zarówno tych, które obejrzeć można w kinach, jak i tych dostępnych jedynie na kasetach wideo. Ale chcemy również wracać od czasu do czasu do obrazów nieco starszych, które wpisały się trwale w historię filmowego gatunku SF. Jednym z nich jest nakręcony w 1981 roku przez Ridleya Scotta „Blade Runner", według powieści Philipa K. Dicka z 1968 roku „Do Androids Dream of Electric Sheep?" (Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?).

Scott odszedł daleko od dickowskiego tytułu. I nie bez powodu. Na pokazanej w książce Ziemi 2021 roku pozostała już tylko garstka ludzi, niezdolnych do emigracji na planety-kolonie. Wyginęła także większość zwierząt. U pozostałych na Ziemi ludzi zrodziła się gwałtowna miłość i chęć posiadania jakiegoś przedstawiciela innego gatunku: psa, kota, owcy, a nawet pająka. Ponieważ jednak przeżyły nieliczne ich egzemplarze, zwierzęta stały się niesłychanie kosztowne i wiele osób musi zadowalać się elektrycznymi imitacjami, które do złudzenia przypominają prawdziwe zwierzęta.

Ridley Scott zrezygnował z tego wątku, koncentrując akcję na innych postaciach wykreowanych przez człowieka – androidach, nazwanych replikantami. Zostały one stworzone po to, aby służyć ludziom, wyręczając ich w ciężkiej pracy, na przykład w kopalniach i zakładach przemysłu zbrojeniowego.

Androidy Dicka i Scotta niewiele różnią się od ludzi. Zwłaszcza ich ostatnia generacja – Nexus 6. Jej przedstawicieli można rozpoznać jedynie przez zastosowanie testu na empatię, czyli odczuwanie braterstwa ze światem ożywionym, którego sztuczni ludzie nie znają. Replikanci należący do tej grupy osiągnęli już taki poziom rozwoju, że zaczynają zyskiwać świadomość gatunkową. Na początku filmu dowiadujemy się, że czworo z nich uciekło z kolonii na Marsie (bunty ciemiężonych i walki wyzwoleńcze są najchwalebniejszymi wydarzeniami w historii ludzkości; jak więc powinniśmy traktować bunt androidów?)

Po przybyciu na Ziemię replikanci odnajdują swoich twórców, aby wydobyć od nich tajemnicę przedłużenia swego życia. Inżynieria genetyczna nie potrafi bowiem poradzić sobie z procesami starzenia się komórek i sztucznie stworzeni ludzie mogą żyć jedynie cztery lata. To, czego poszukują – nieśmiertelność – jest odwiecznym marzeniem ludzkości. Pragnienia replikantów są zatem metaforą pragnień człowieka.

Co więcej, androidy Scotta przypominają do złudzenia żywych ludzi i to nie tylko zewnętrznie. Czują empatię w stosunku do siebie i do ludzi. Uczucie między polującym na zbuntowanych niewolników policjantem Rickiem Deckardem i piękną przedstawicielką najdoskonalszej grupy replikantów – Rachaelą jest znakiem, że granica między tymi dwoma gatunkami już się zaciera.

„Blade Runner" opowiada o problemach ludzi w konwencji „lustrzanego odbicia", stosowanej nader często w utworach science fiction. Stwarzając takie postacie jak androidy, roboty, przenosząc miejsce akcji na inne planety lub w nieznaną przyszłość, autorowi łatwiej jest stanąć z boku i opisywać sytuacje, które pozornie nierzeczywiste, jak lustrzane odbicia, pokazują jednak ludzi i ich problemy. Podobnie jak w lustrze, w którym widać tylk wycinek rzeczywistości, autor może pokazać wybrany fragment, odrzucając całą resztę.

„Blade Runner" został doceniony przez miłośników science fiction, czego dowodem mogą być dwie nagrody jakie otrzymał w 1983 roku: Hugo i przyznaną mu przez British Science Fiction Union nagrodę w kategorii najlepszej adaptacji dramatycznej. Nie zdobył jednak uznania szerokiej publiczności, która po filmie SF oczekuje jedynie szybkiej akcji i zaskakujących efektów. A przecież mogłoby się wydawać, że same nazwiska twórców powinny były przyciągnąć tłumy widzów. Reżyser filmu, Ridley Scott miał już za sobą sukces „Obcego, ósmego pasażera Nostromo" (Alien). Muzykę do filmu skomponował znany kompozytor Apothanassion Vangelis. W roli łapacza wystąpił Harrison Ford, który zdobył ogromną popularność u międzynarodowej widowni rolą kosmicznego przemytnika Solo w „Gwiezdnych wojnach".

Jest przy tym paradoksalne, że scenariusz filmu nie podjął z intrygi książkowej tego, co stanowiło o jej przynależności do prozy SF. Oczywiście przy założeniu, że replikanci to tylko „zmetaforyzowany" obraz ludzi (co zresztą jest w filmie wielokrotnie sugerowane, na przykład w scenie kiedy Racheal pyta łapacza Deckarda, czy przeprowadzał kiedykolwiek test na empatię na sobie).

Akcja filmu toczy się w Los Angeles – mieście, w którym tradycyjnie umiejscawiane są historie kryminalne. To właśnie tutaj rozwiązywał swoje zagadki detektyw-samotnik Philip Marlow, a i dziś z filmowych kryminałów proponują nam „Żyć i umrzeć w Los Angeles". Ale Los Angeles w wizji Ridleya Scotta (a właściwie Syda Meada, on to bowiem stworzył filmowy wizerunek miasta) różni się znacznie od dzisiejszego. Wiecznie padający deszcz, smog, zapchane uliczki China Town – obojętność pod parasolami. Wizja miasta przyszłości przedstawiona w „Blade Runnerze" nie zgadza się również ze sterylnym obrazem futurystycznych wizji pokazywanych w innych filmach. Artyści uznali, że w wielkich miastach, takich jak Nowy Jork czy Chicago, gdzie nasycenie urbanistyczne jest bardzo znaczne, zbyt drogie byłoby burzenie budynków, podobnie jak wymiana ich instalacji. Sądzili, że jedyną realną drogą rozwoju jest dobudowywanie nowych konstrukcji na zewnątrz starych. Syd Mead został zatrudniony, żeby zaprojektować pojazdy, a szkice miasta kreślił początkowo jako tło dla nich. W rezultacie stworzył obraz środowiska miejskiego będącego dziwną mieszaniną nowych technologii i starych elementów zaadaptowanych do nowych warunków. Ulice zostały zatłoczone ludźmi, bezbarwnym tłumem prącym naprzód jak kolumna mrówek lub rzeka, o której nie myślimy, że składa się z miliardów szarych kropel. W tej scenerii spotykamy Philipa Marlowa przyszłości – łapacza Ricka Deckarda, byłego policjanta, który wbrew swojej woli zostaje zmuszony do wystąpienia raz jeszcze w nie odpowiadającej mu już roli. I choć swoje zadanie wypełni on do końca, nie potępiamy go, lecz raczej współczujemy mu. Wina nie leży ani po jego stronie, ani po stronie replikantów mordujących ludzi i w ten sposób wyrąbujących sobie drogę do wolności. Oni są również kroplami wielkiej rzeki i nie od nich zależy, w którym kierunku płynie. O tym decydują, lub zdecydowali kiedyś, inni.

Intrygująca linia narracyjna filmu osiąga dwukrotnie punkt kulminacyjny. Po raz pierwszy w scenie, w której przywódca replikantów Roy Batty (świetna rola Rutgera Hauera) rozmawia ze swym twórcą Tyrellem, witającym go jak marnotrawnego syna, lecz nie dającym nadziei na spełnienie bolesnego pragnienia: „ojcze, chcę więcej życia". Po raz wtóry w scenie pojedynku Roya z Deckardem, w którym moralna i fizyczna wygrana jest po stronie tego pierwszego, ale do niego należy również przegrana.

„Blade Runner" nie gościł jeszcze na ekranach naszych kin, ale należy do filmów, którym nie szkodzi mały ekran telewizora. Recenzenci zarzucali Scottowi, że tworzy obrazy, zastępując brak akcji wielością detali dekoracyjnych (tendencja ta potwierdziła się w jego ostatnim utworze „Legendzie", o której pisałam w „Fantastyce" 6/87). Niemniej jednak „Blade Runner" jest obrazem bogatym w treści, przemawiającym nastrojem i zmuszającym do myślenia. Jest wybitną pozycją w filmotece kina SF i przy okazji innych filmów będziemy się do niego odwoływali.

Dorota Malinowska

BLADE RUNNER. Reżyseria: Ridley Scott. Scenariusz: Hampton Fancher i David Peoples według powieści Philipa K. Dicka „Do Androids Dream of Electric Sheep?" (1968). Zdjęcia: Jordan Cronenweth, Robert Thomas. Muzyka: Apothanassion Vangelis. Obsada: Harrison Ford (Rick Deckard), Sean Young (Rachael), Joanna Cassidy (Zhora), Daryl Hannah (Pris), Rutger Hauer (Roy Batty) i inni. USA, 1981.

Jerzy Jarzębski, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytu Jagiellońskiego, debiutował w 1971 r. artykułem o twórczości Gombrowicza zamieszczonym na łamach „Pamiętnika Literackiego". W 1979 r. obronił pracę doktorską również dotyczącą Gombrowicza. Krytyk, teoretyk, historyk literatury, jeden z czołowych znawców twórczości Stanisława Lema. Szkice i rozprawy o autorze „Solaris" publikował Jarzębski w „Ruchu Literackim" (1977), „Pamiętniku Literackim" (1983), oraz w „Fantastyce" (nr 5/86); swoje prace przekładał również na język angielski i niemiecki.

Esej, przedstawiony na łamach naszego miesięcznika, jest referatem, który wzbudził ogromne zainteresowanie podczas ubiegłorocznego seminarium krytycznego w Warszawie (Dni Fantastyki 1986).

(an)

STANISŁAWA LEMA podróż do kresu fabuły

Jerzy Jarzębski

Jak wiadomo, Lem nie lubi literatury science fiction. Najwybitniejszy w Polsce, a podług niektórych i na świecie, twórca tego gatunku kala wciąż własne gniazdo, w licznych wywiadach i wypowiedziach eseistycznych z widocznym rozdrażnieniem odcina się wciąż od rzeszy twórców i miłośników fantastyki naukowej, z najwyższą niechęcią daje się zapraszać gremiom profesjonalistów i fanów, choćby rankor ten kosztować go miał skandale podobne groteskowej awanturze wokół przyznania, a następnie pozbawienia go honorowego członkostwa organizacji Science Fiction Writers of America.[1]

Dziwaczne to – trudno zaprzeczyć. Król Szwecji, który nie chce być Szwedem, laureat Nobla w dziedzinie fizyki, który oświadcza, że z fizyką nie ma nic wspólnego – taka jest mniej więcej skala oryginalności tego stanowiska. Nie wystarczy go jednak odnotować i zepchnąć do rzędu curiosów. Lem przecie, choć przeciętnej fantastyki nie ceni, czuje się jednak za nią odpowiedzialny. Niby to chciałby być pisarzem spoza getta, pisarzem tout court, a przecież gatunku science fiction nie porzuca, mało, pragnie być jego teoretykiem i prawodawcą, a obok krytycznych diatryb tworzy wciąż programy pozytywne.

Streściwszy w paru zdaniach postulaty twórcy „Solaris", spróbujemy następnie zastanowić się nad ich praktycznymi konsekwencjami, a zatem nad tym, jak program wpłynął na kształt fantastyki samego Lema. Zauważano wielokroć, iż coraz mniej przypomina ona fantastykę klasyczną, tłumacząc to często w duchu subiektywno-psychologicznym. Miałby się oto pisarz „znudzić" snuciem przyszłościowych, awanturniczych fabuł i zamienić je na z lekka tylko beletryzowaną eseistykę bądź eksperymenty. Chciałbym tu udowodnić, że artystyczne środki *musiały się* u Lema zmienić, że wymusiła to po prostu nowa problematyka i koncepcja literatury.

Bez wątpienia słowem-kluczem Lemowego programu jest „modelowanie". Pisarz-fantasta „naukowy" postępować winien jak badacz-eksperymentator, który w mechanizm znanego sobie z empirii świata wprowadza jakiś nowy czynnik i rozważa, jakie zmiany spowoduje jego pojawienie się w funkcjonowaniu owego mechanizmu. W tym właśnie sensie Lem jest „realistą", punktem wyjścia jest dlań bowiem zawsze rzeczywistość dana mu w doświadczeniu, fizyka, biologia i socjologia naszego uniwersum. Ale właśnie dlatego modyfikacja zasad funkcjonowania świata, którą nowy czynnik powoduje, jest w jego pisarstwie tak radykalna, pisarz próbuje bowiem dostrzec i przedstawić wszelkie możliwe konsekwencje projektowanej innowacji. Żaden z motywów fantastycznych nie jest u niego jedynie ornamentem, konwencjonalnym sztafażem czy wystrojem.

Czy więc jest tak, że świat Lema wywodzi się z demokrytejskiej wizji, w której – jak pamiętamy – każdy ruch atomów przesądzony jest jednoznacznie przez ich ruchy wcześniejsze? Otóż taka właśnie mechanistyczna wersja determinizmu jest pisarzowi zdecydowanie obca. A zatem innowacje wprowadzane w obręb znanego nam porządku świata muszą mieć j a k i e ś skutki, choć jakie dokładnie – nie zawsze wiadomo. I tak na przykład na planecie Encji z „Wizji lokalnej", w istniejących tam biologicznych, kulturowych i środowiskowych realiach powstają organizmy społeczno-polityczne tak radykalnie odmienne, jak spętana nakazami ideologii, prymitywna Kurdlandia i cierpiąca inaczej, z przyczyn technologicznego rozpasania Luzania.

Lemowa doktryna modelowania mówi więc tylko, że fantastyczna modyfikacja urządzeń naszego świata *musi mieć konsekwencje*, tzn., że w odmienionej rzeczywistości nie można odgrzewać w nieskończoność tych samych stereotypów fabularnych. Pisarz-modelator nie tworzy jednak jakiejś wszechobowiązującej wizji przemian, a jedynie eksperymentuje nad różnymi drogami rozwoju świata, wybierając spośród możliwych, realizujących się na mocy przypadku, wariantów. Obowiązkiem jego nie jest bezbłędna zdolność przewidywania, lecz logiczna i funkcjonalna koherencja wyprodukowanych modeli, ich potencjalna fizyczna, socjologiczna, kulturowa ziszczalność.[2]

Brzmi to bardzo rozsądnie i łatwo przychodzi uwierzyć, że takie literackie modelarstwo powinno przynieść istotne poznawcze skutki. Nie obawiałbym się nawet zarzutu, że pisarz wchodzi tym samym w kompetencje badacza, uczonego, próbując wyręczyć go na swój dyletancki sposób. Ostatecznie zmiana tworzywa, w jakim się modelowanie odbywa, ma dla poznawczych zysków niebłahe znaczenie. Inaczej niż w przypadku „czystej nauki", literatury operuje materiałem silnie nacechowanym aksjologicznie, materiałem, w którym wieki rozwoju społeczeństw odcisnęły swe piętno. Dlatego posługując się substratem literackiej formy czy konwencji, pisarz-futurolog wchodzi od razu bezwiednie w dialog z utrwaloną w formach „ludzkością" – rozumianą tu jako system pojęć, przeświadczeń, aksjologicznych opcji, tego wszystkiego, co tworzy naszą gatunkową species.

Modelowanie zatem, któremu się Lem oddaje, nie jest działalnością etycznie obojętną, a literacka konwencja, której ślepą wierność skrytykował u innych, pozostaje pisarzowi stale potrzebna – nie tyle jako wzorzec, podług którego przyrządza swe fantazje, ile jako system odniesienia dla projektów innowacji. W tym sensie gra konwencją – tak dobrze widoczna w „Cyberiadzie" i „Bajkach robotów" – jest próbą związania najbardziej fantastycznych rojeń z ich ludzkim punktem wyjścia.

Modelowanie wszelako naprawdę interesuje Lema dopiero wtedy, gdy połączone jest z próbą rozwikłania tajemnic Bytu i przyszłości – wtedy właśnie z intelektualnego ćwiczenia zmienia się w coś więcej: w wytyczanie dróg przed cywilizacją, ludzkością, rozumem. Ale gdy autor chce na-

prawdę w przyszłość zajrzeć, coś dziwnego dzieje się z literacką formą, której używa. Wszystkie utwory Lema dadzą się podzielić z grubsza na „zamknięte" i „otwarte". Te pierwsze operują wyrazistym zakończeniem, puentą, czasem zgoła morałem, te drugie rozpływają się w nieokreśloności lub dają pozorne zamknięcie akcji, które niczego w gruncie rzeczy do końca nie wyjaśnia, pozostawiając bohaterów i czytelników przed niedocieczoną tajemnicą.

Skąd rodem to zamknięcie i otwarcie? Pierwsze – zapewne z literackiej formy, która domaga się, by konstrukcję fabuły rozwiązać w zakończeniu, nadając jej przez to wyrazisty sens; drugie – z doświadczeń futurologa, który przed sobą widzi ledwie słabo rozświetlony mrok i wzdraga się przed ferowaniem jakichkolwiek „niepodważalnych" orzeczeń. „Zamknięte" są tedy powieści i opowiadania skonstruowane zgodnie z modelem prozy przygodowo-awanturniczej („Eden", „Niezwyciężony", „Opowieści o pilocie Pirxie") lub wcielające wzorzec baśni czy powiastki filozoficznej („Bajki robotów", „Cyberiada", niektóre opowieści z cyklu „Dzienników gwiazdowych"); „otwarte" – dzieła, w których centrum tkwi problem poznania, przyszłości społeczeństw, ewolucji Rozumu itd. („Głos Pana", „Śledztwo", „Pamiętnik znaleziony w wannie", „Wizja lokalna", „Podróż dwudziesta pierwsza" z „Dzienników gwiazdowych", „Golem XIV"). Niektóre z utworów łudzą nas zamknięciem pozornym – jak w „Katarze" lub „Masce" – tam właśnie wyświetla się tajemnica lub „bohaterka" wypełnia narzucone jej zadanie, o żadnym jednak rozwiązaniu intelektualnych pytań nie może być mowy.

Do książek o dwóch zakończeniach należałoby właściwie zaliczyć także „Solaris". W zależności od tego, co uznamy za jej wątek naczelny, traktować ją można bądź jako dzieło zamknięte (wątek romansowy), bądź jako utwór otwarty (wątek poznawczy). Jako „romans" „Solaris" jest utworem doskonale i konsekwentnie skonstruowanym. Kolejne fazy uczuć Krisa, psychiczna ewolucja Harey – wszystko to prowadzi logicznie do dramatycznego finału, który jest puentą całej historii i daje się na różne sposoby interpretować. Gdyby jednak wziąć z powagą ostrzeżenia Lema pod adresem science fiction, owa wzruszająca i piękna baśń o miłości miałaby jedną podstawową wadę: mogłaby się zdarzyć na Ziemi w zupełnie innych okolicznościach. Zróbmy z oceanu czarnoksiężnika lub magnetyzera, z Harey – fantom wytworzony sztuką bądź magiczną, bądź parapsychologiczną, a pośmiertny romans snuć można w najlepsze bez większych zmian. Wszak perypetie kochanków, jak zauważyli krytycy, mają wyraźnie konwencjonalną, romantyczną, literacką metrykę.

Byłożby więc tak, że się Lem sprzeniewierza własnym założeniom? Być może istotnie – gdyby akcja romansowa stanowiła jądro problemowe powieści. Tymczasem wydaje się, że historia Krisa i Harey pełni w „Solaris" rolę fabuły pretekstowej lub zgoła „fałszywej". Czymże jest bowiem ten tragiczny romans w najgłębszej istocie? Także przecie fragmentem dziejów solarystyki i prób nawiązania kontaktu z myślącym oceanem. Fragment ten przybiera formę dosyć konwencjonalnej historii miłosnej – ale to kompozycyjne zamknięcie czy spuentowanie fabuły nie jest bynajmniej znamieniem poznawczego sukcesu, lecz raczej klęski: oto kolejna próba porozumienia się z oceanem wyczerpała się w formułach czysto ziemskich i ludzkich. Fabuła romansowa w „Solaris", rozpychając się" tedy w szerszych ramach historii o kontakcie, usiłując stać się fabułą główną i najważniejszą – nic dziwnego zresztą, skoro ona tylko operuje kodem powszechnie wśród czytelników zrozumiałym i ma – by tak rzec – wstęp, rozwinięcie i zakończenie.

Przecież jednak na przykładzie „Solaris" widać najlepiej niewystarczalność formuły klasycznej powieści. Lem obarcza ją zadaniami, pod którymi jej forma pęka; jakże tu w końcu tworzyć dzieło, którego tematem są próby opisania nieopisywalnego? W tej sytuacji fabuła romansowa „Solaris" staje się niejako wewnętrznym rusztowaniem, na którym rozpina się dość bezkształtna opowieść o procesie poznania i jego psychologii, socjologii, metafizyce.

Autor powieści świadom jest szerszych, kulturowych przyczyn, które ambitnie zakrojoną literaturę czynią w taki właśnie sposób pękniętą wewnętrznie. Pisze w „Fantastyce i futurologii":

Kiedy opoka kulturowych norm jęła się uginać, a potem zanikać, literatura podjęła próby zyskania swoistej autarkii, samowystarczalności, która jednak nigdy nie może stać się całkowita. Z estetycznego zezwolenia literatura próbuje przywodzić – dziełami – to, co ani logiczne, ani empiryczne nieprzywiedlne. Tak pojawiają się jej struktury wieloznaczne, obojnacze, dające się rozmaicie interpretować. (...) Dzieło takie nie ukazuje swoich głównych zaczepów, ujednoznaczniających sensy ontologiczne, a tak wywołana trwała „chybotliwość" stanowi s t r u k t u r a l n y o d p o w i e d n i k T a j e m n i c y egzystencjalnej; nie będzie ona ani wyjaśniona, ani „odtłumaczona", lecz pozostanie – nie po prostu nazwana po zagadkowym imieniu, lecz zademonstrowana niejako naocznie, w dającej się postrzegać obecności wytworzonej właśnie tą konkretną n i e d e c y d o w a l n o ś c i ą ostateczną, jaką dzieło strukturą własną ustanawia.[3]

Przykładem takiego „chybotliwego" w warstwie sensów dzieła czyni Lem „Zamek" Kafki i dlatego też amerykański badacz Istvan Csicsery-Ronay uważa „Solaris" za replikę „Zamku". W powieści Lema także przecie pojawia się problem s e n s u, którego istnienie poszukujący zakłada, choć uchwycić go nie potrafi.[4] Analogia z Kafką o tyle wydaje się płodna, iż tamten swych powieści nie kończył, miał więc snadź podobne jak Lem kłopoty z domknięciem konstrukcji fabularnej odzwierciedlającej poszukiwanie zagadki Bytu. Z podobnego rzędu problemami boryka się Lem w najdojrzalszych swych utworach.

Zakończenie „Solaris" rozumianej jako historia o p o z n a n i u staje się niejasne i wielowykładalne. Csicsery-Ronay dowodzi tego, referując poglądy anglosaskich interpretatorów powieści.[5] Gdy od „ludzkiego" romansu Kelvina przechodzimy w sferę jego „ludzko-nieludzkich" związków z oceanem, dochodzi do kompozycyjnego i semantycznego otwarcia utworu. Związki te są zresztą metaforą relacji świadomości – świat w ogóle, dopiero bowiem (ułomny i cząstkowy) kontakt z Obcym pozwala nam to, co mieliśmy za sensowne i „oswojone", ujrzeć na nowo jako chaos czy absurd. W miejscu takiego spotkania człowieka z nieludzkością szanse fabularyzacji zostaną drastycznie ograniczone, wpleść w fabułę zachowania Obcego oznacza bowiem – przynajmniej w pewnej mierze je rozumieć. Stąd właśnie w chwili zniknięcia Gości historia opowiadana w „Solaris" musi się zakończyć.

„Solaris" to najciekawszy w twórczości Lema portret Innego i zarazem wyjątkowo trafna analiza problemów, które zdradza sam hipotetyczny kontakt. W innych utworach pisarz modeluje odmienne sytuacje graniczne, w których dochodzi się do krańców przestrzeni opisanej ludzkimi kategoriami rozumienia zjawisk. I tak w „Głosie Pana" problem kontaktu rozpatrzony zostanie z innej strony – jako pojmowane w kategoriach moralnych i filozoficznych spotkanie człowieka z hipotetyczną wyższą cywilizacją. Tu również fabuła jest jedynie rusztowaniem dla refleksji o porządku Bytu, o determinizmie i indeterminizmie wraz z ich etycznymi konsekwencjami. W „Pamiętniku znalezionym w wannie" żywa, pełna niezwykłych zdarzeń akcja prowadzi bohatera niejako wstecz; od wiary w sens rzeczywistości do semantycznego szaleństwa odwzorowującego stan krańcowej niepewności co do wszelkiego sensu i wszelkich wykładni. W „Wizji lokalnej" podobnie akcja nie prowadzi do żadnego rozwiązania: Tichy może tylko poznać osobliwości planety, żaden z istotnych problemów jej mieszkańców nie może jednak na jego oczach ulec rozwiązaniu. I nic dziwnego – Encjanie przecież wysforowali się tylko trochę dalej niż ludzie w społecznym rozwoju, zaplątani są jednak w takie same dylematy, dla których Lem nie widzi zadowalających rozstrzygnięć. I wreszcie „Golem XIV". Tu fabuła istnieje już tylko w postaci szczątkowej. Książkę wypełniają refleksje maszynowej nadinteligencji, która od swych słuchaczy bierze jedynie język i kategorie myślenia, nie szuka w nich jednak partnerów dialogu – nie mówiąc już o jakimkolwiek partnerstwie w działaniach.

Zachodzący w pisarstwie Lema proces sukcesywnego pożerania fabuły przez eseistyczny dyskurs był już wielokrotnie zauważony i komentowany. Czas dostrzec w nim pewną prawidłowość ogólniejszej natury, która związana jest z Lemową wizją zadań stojących przed fantastyką naukową. Ma ona, zdaniem pisarza, modelować istotnie nowe sytuacje społeczne i kulturowe. Póki ambicje Lema nie sięgały zbyt daleko, potrafił on w nowej rzeczywistości modelować odpowiednie sytuacje fabularne, gdy jednak coraz śmielej sięgał w rejony nieludzkości, w obszary, na których zawodzić poczynają ludzkie kategorie logiki, sensu i wartości, fabuły zarażone zostały niemocą i atrofią. Dlaczego? Czy dlatego, że w nieludzkiej sferze żadna ludzka historia nie daje się pomyśleć? A może dlatego, że modelowanie procesów społecznych czy kosmicznych w skali, która Lema interesuje, nie daje się pomyśleć w obrębie skończonej egzystencji jednostek? Dzieje ewolucji „fabułą" nie są, ta bowiem wymaga przynajmniej względnej tożsamości bohaterów, natomiast metapoziom, z którego ową ewolucję można oglądać, jest już w widomy sposób baśniowy lub rodem z wolteriańskiej powiastki, na nim więc udają się fabuły bądź szczątkowe i poronne, bądź ściśle, właśnie na wzór baśniowy, konwencjonalne.

Charakteryzując w „Fantastyce i futurologii" trzy możliwe rodzaje science fiction, uszeregowane podług rosnącej komplikacji, Lem jako przykład trzeciego typu daje pomysł opowiadania o Nowej Kosmogonii (zrealizowany po części w „Doskonałej próżni"). Inaczej niż dwa pierwsze, ten trzeci typ fantastyki wymaga zasadniczej modyfikacji tradycyjnych struktur fabularnych:

zamiar (...) zbeletryzowania trzeciego konceptu wydaje się niemożliwy – przynajmniej dopóty, dopóki obowiązują tradycyjne struktury narracji, nieodjemne od postaci sytuacyjnie powiązanych bohaterów. Przygody bowiem myślowe ludzi, którzy pospołu utworzyli Nową Kosmogonię, nie pomieszczą się w granicach tradycyjnej akcji, operującej naturalistycznym lub realistycznym zbliżeniem. (...) Nie może tu już być mowy o społeczno-ideowym tle, na którym się toczą wypadki czysto osobowo zlokalizowane; pomysł prosi się o kronikę przygody pewnej i d e i, a nie o kronikę życiowych przypadłości garstki ludzi. (...) Potrzeba tu więc raczej zupełnie innej struktury narracji – podług wzorca dawanego dziełem historycznym albo zbiorem b i o g r a f i i uczonych, czy takim kolażem, który zawiera jednocześnie i fragmenty tekstów naukowych, i wycinki prasowe, i przemówienia noblistów, i mnóstwo innych sztucznych fasscimilów.[6]



Trudno zaprzeczyć, że model powyższy sam Lem realizuje w swoich utworach – i to coraz bardziej konsekwentnie.

Jest jednak jeszcze jedna, może równie ważna, przyczyna kryzysu fabuły u Lema. Szukać jej należy w sferze poglądów autora na przyszłość ludzkiego gatunku. Otóż są one dość pesymistyczne. I jeśli w fabule widzieć będziemy realizację elementarnego modelu: równowaga-nierównowaga-równowaga, to pisarzowi wychylonemu w przyszłość brak jakby wiary w ziszczenie się trzeciego członu równania. Bohaterowie Lema, postawieni przed rozjątrzonymi do ostatnich granic problemami poznania, socjoinżynierii, etyki czy ewolucji, zatrzymują się w punkcie maksymalnej n i e r ó w n o w a g i, czyli tam, gdzie rozstrzygnięcie stojących przed nimi zagadnień wymagałoby skoku w nieludzkość, w inną ontologię i aksjologię. Rozwiązanie tego typu może zostać w obrębie utworu zasugerowane, ale już nie na sposób fabularny zrealizowane, wymagałoby bowiem radykalnego zerwania więzów pomiędzy światem, w którym akcja się rozpoczyna, a rzeczywistością, w której się zamyka. Po drodze, mocą konsekwencji, utwór gubiłby wszelkie związki nie tylko z czytelnikiem, ale i z samym autorem, który ze swą pełną ograniczeń „ludzkością" pozostać by musiał „po tamtej stronie". Rzecz jasna, taki paradoksalny model utworu, który ucieka samemu pisarzowi, umyka jego ograniczonym kategoriom, pozostaje zaledwie teoretycznym konstruktem, choć daje się pomyśleć, o czym świadczyć może przykład „Golema XIV", którego bohater tytułowy właśnie „uciekł" w pewnym momencie, czyli zamilkł pogardliwie, odmawiając ludziom wglądu w swą dalszą ewolucję (a zapowiedział ucieczkę dalej jeszcze: exodus wyemancypowanego Rozumu poza znany nam wszechświat).

Wyzwanie, jakie Lem rzucił fantastyce naukowej, zaprowadziło go w końcu – może nawet wbrew spodziewaniu – w sferę, gdzie literatura, pojmowana prostodusznie jako kunszt opowiadania historii, przestaje być możliwa; przekształca się bądź w metaliteraturę, bądź w eseistykę z lekka tylko przerośniętą nitkami fabuł poronnych. Pisarz, jak się zdaje, świadom jest pewnych niebezpieczeństw tego stanu rzeczy i jego ostatnią powieść, jeszcze w Polsce nie drukowaną, wypełnia wartka, pełna niezwykłych przygód akcja. Ale rozwiązań będących czymś więcej, jak domknięciem cyklu awantur, i tam brak. Pisarstwo Lema, rozpoczęte w aurze naiwnego często, pozytywistycznego optymizmu i idącej za nim łatwości fabularyzowania, stanęło w punkcie, w którym refleksja autora nad światem i człowiekiem doprowadziła do radykalnej rewizji poetyki gatunku.

Jerzy Jarzębski

Przypisy

1. Bliższe informacje na ten temat daje zbiór wypowiedzi i dokumentów pt. *Stanisław Lem and the SFWA*, „Science Fiction Studies", vol. 4, part 2, July 1977, s. 126–144.
2. Por. S. Lem, *Fantastyka i futurologia*, Kraków 1970, t. 2, s. 332–333.
3. Tamże, s. 420–421.
4. Por. I. Csicsery-Ronay, Jr., *The Book is the Alien: On Certain and Uncertain Readings of Stanisław Lem's Solaris*, maszynopis w posiadaniu Wydawnictwa Literackiego, s. 15.
5. Por.: M. Rose, *Alien Encounters*, Cambridge, MA, 1981, Harvard University Press, s. 82–95; D. Ketterer, *New Worlds for Old. The Apocalyptic Imagination, Science Fiction, and American Literature*, Bloomington and London 1974, s. 182–202; D. Suvin, *The Open Ended Parables of Stanisław Lem and Solaris*, (posłowie do:) S. Lem, *Solaris*, transl. by J. Kilmartin i S. Cox, New York and Berkeley 1970, Walker, s. 212–223; S.J. Potts, *Dialogues Concerning Human Understanding: Empirical Views of God from Locke to Lem*, w tomie zbiorowym: *Bridges to Science Fiction*, pod red. Slussera i in., Carbondale 1979, Souther Illinois University Press; P. Parrinder, *The Black Wave: Science and Social Consciousness in Modern Science Fiction*, „Radical Science Journal", 1977, nr. 5.
6. S. Lem, *Fantastyka i futurologia*, t. 2, s. 411–412.

Norwid Cyprian Kamil

(1821–1883)

Poeta, dramatopisarz, prozaik

Urodził się 24 września 1821 r. w Laskowie-Głuchach pod Radzyminem w rodzinie szlacheckiej. W latach 1831–1837 uczęszczał do gimnazjum w Warszawie, następnie do szkoły malarskiej A. Kokulara i pracowni J. K. Minasowicza. W 1842 r. wyjechał z Warszawy do Włoch, podjął studia rzeźbiarskie, zaangażował w politykę Hotelu Lambert. W czasie pobytu w Niemczech, oskarżony przez władze pruskie o powiązania z wydarzeniami rewolucyjnymi na ziemiach polskich (1846), przebywał miesiąc w więzieniu; z Berlina wyjechał do Brukseli przyjmując status emigranta. W okresie Wiosny Ludów przebywał w Rzymie, w 1849 r. przybył do Paryża, nawiązał znajomości z przedstawicielami emigracji: Słowackim, Mickiewiczem, Chopinem, Zaleskim, Czartoryskim. W tym czasie, w utworach i artykułach publicystycznych sformułował swój program ideowy i artystyczny (m.in. traktaty poetyckie „Wigilia", 1848; „Niewola", wyd. 1864; dramat „Zwolon", wyd. 1851; poetycki traktat o sztuce „Promethidion", wyd. 1851; cykl artykułów „Listy o emigracji", 1849). W swoich utworach kwestionował przydatność kontynuacji romantyzmu w jego dotychczasowym, mickiewiczowskim kształcie, stwierdzając, że dzieło romantycznych poprzedników koncentrowało uwagę na męczeństwie narodu kosztem codziennej rzeczywistości, człowieka, jego ogólnoludzkich powinności. Nawiązując do filozofii A. Cieszkowskiego i B. Trentowskiego postulował stworzenie nowej sztuki i „literatury czynu", która przezwyciężyłaby romantyczny odwrót od rzeczywistości, przekształciła świadomość społeczną, odrzuciła natchnienie na rzecz spraw sztuki.

Pisarstwo Norwida, wykraczające poza kwestie „czystej sztuki", dbające o sprawy artyzmu, z założenia nastawione na współczesność, przyniosło pierwszy rozdźwięk między poetą a czytelnikami. Zarzucano Norwidowi niejasność myśli, obrazów, wyrazów, manieryczność jego poezji.

W 1852 r. Norwid, coraz bardziej lekceważony przez krytykę, trapiony kłopotami finansowymi, upokorzony niepowodzeniami natury osobistej (odrzucona miłość do Marii Kalergis) wyjeżdża do Ameryki. Zarabia w Nowym Jorku jako rysownik i rzeźbiarz. W 1854 r. przez Londyn powraca do Paryża. Ponawia tu próbę sformułowania własnych koncepcji twórczych dając im manifestacyjnie ostentacyjny kształt nowej praktyki poetyckiej. W latach 1855–1857 przygotowuje do druku poemat „Quidam" kreujący (w opozycji do romantycznego i indywidualistycznego) nowy typ bohatera (quidam = ktoś, jakiś człowiek). W okresie 1856–1857 ogłasza „Czarne kwiaty" i „Białe kwiaty", rozprawę „O sztuce (dla Polaków)". W 1863 r. ukazuje się w lipskim wydawnictwie F. A. Brockhausa (w serii „Biblioteki Pisarzy Polskich") jego jedyny (opublikowany za życia) wybór twórczości – wydanie to nie spotkało się z życzliwym przyjęciem krytyków, przeszło bez echa, Brockhaus wycofał się z umowy na następny wybór poezji (był to przygotowany przez Norwida w latach 1865–1866 najoryginalniejszy zbiór liryków „Vade-mecum"). Nie udaje się również Norwidowi opublikować żadnego z dużych dramatów powstałych w ostatnim dwudziestoleciu („Noc tysiączna i druga", „Wanda", „Krakus"), a także „wysokich komedii" (m.in. „Pierścień wielkiej damy"), tragedii historycznych („Kleopatra"). Niepowodzeniem kończą się próby uczestniczenia w życiu narodu po powstaniu styczniowym. Zgłasza autor „Promethidiona" w dziesiątkach listów i memoriałów projekty natury politycznej, ale nie spotykają się one z zainteresowaniem współczesnych. Ceniony jest natomiast jako deklamator, mówca, autor prac artystycznych (rysunków i akwarel – sprzedaż tych prac stanowi jego główne źródło utrzymania). Pod koniec życia zyskuje opinię dziwaka, żyje w osamotnieniu, w 1877 r. zamieszkuje na paryskim przedmieściu Ivry w Zakładzie Św. Kazimierza przeznaczonym dla polskich sierot i weteranów. Umiera 23 maja 1883 r. w Paryżu, pochowany na cmentarzu w Ivry, w 1888 r. zostaje przeniesiony do zbiorowego grobu na polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Cyprian Kamil Norwid, jeden z najoryginalniejszych i najwszechstronniejszych polskich pisarzy i myślicieli, ostatni z wielkich poetów romantycznych, dążący do stworzenia nowej formy romantyzmu polskiego, dysponujący rozległą wiedzą, zwłaszcza z zakresu historii kultury – tworzył w epoce przejściowej u progu narodzin pozytywizmu. Splot tych czynników sprawił, że w swojej, jakże bogatej twórczości, publicystyce politycznej i społecznej, eseistyce filozoficznej, krytyce literackiej i artystycznej wypowiadał się z ogromnym sceptycyzmem na temat dalszych losów na-

***Wiedział** o tym Norwid, że rozświetlamy otaczające nas mroki nie bez bohaterskiego wysiłku, skazani na postępowanie krok za krokiem w naszym poszukiwaniu prawdy, świadomi – i nieraz daremnie uświadamiający powierzchownych obserwatorów życia – że uzyskana na jakimś odcinku naszych badań i dociekań jasność, to zaledwie nikły blask poznania. Toteż nie na opornie dające się przenikać ciemności winniśmy narzekać, ale na naszą nietrwałość w dążeniu do rozszerzania i pomnożenia kręgów jasności i prawdy.*

Aniela Kowalska, „Wiersze Cypriana Norwida", Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1983.

***O wynalazkach** powiedział Norwid, że „satelitami sztuk są". A więc maszyna, która jest wynalazkiem, ma w sobie coś z istoty sztuki, jest po prostu pewnym swoistym rodzajem sztuki. Dlatego ją aprobował, chociaż przestrzegał przed jej deifikacją i eksterioryzacją. O możliwości tragicznych skutków takiego stosunku do maszyny i mechanizacji, do technicyzmu i cywilizacji wynoszonej ponad kulturę humanistyczną mówi Norwid w alegorycznym wierszu „Na zgon ś.p. Jana Gajewskiego politycznego-polskiego emigranta (inżyniera francuskiego) zabitego eksplozją machiny parowej w Manchester 1858 lipca". Ta machina parowa symbolizuje tutaj cywilizację techniczną, która jak gdyby przegrzana temperaturą nieroztropnej apoteozy może swym wybuchem zagrozić istnieniu świata.*

Zaiste, że Norwid był pierwszym w literaturze polskiej twórcą, który w mieś-



szej cywilizacji. Przed powszechną technicyzacją życia ostrzegał zwłaszcza w dwóch utworach: przypowieści fantastycznej z roku 1882 (**„Ostatnia z bajek"**) i rozprawce filozoficznej z roku 1870 napisanej po francusku: **„La philosophie de la guerre"**. W „Ostatniej z bajek" mówiącej o opanowaniu świata przez technikę zrodzoną z pierwotnego rzemiosła zwracał się do czytelnika takimi oto słowy:

Tylko człowiek-pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego to jest ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, obedrzeć i dla samego siebie – z-użytecznić. (...) Atoli człowiek ów, od wysoko latającego ptaka do ostatniego małego grzybka pod piaskiem zjadając wszystko jednak i jeszcze wszystkich ludzi-braci nie nakarmi (...). Może on jeszcze nigdy nie jadł – może on dopiero pokąsał wszystko i wyssał? Dlatego to i nie nakarmia swoich wszystkich! On dziecię potrzeb, nędzy, szaleństwa, nagie, bezbronne, głodne – syn zakopciałych i zatęchłych miast, jałowej lub wycieńczonej gleby i karłowatych drzew... On przepisujący tą właśnie nędzą swoją prawa bytom!

Człowiek, zdaniem Norwida, powinien stać się opiekunem Przyrody, jedynego, najważniejszego źródła swojego istnienia. Ale wówczas musiałby zrezygnować z dotychczasowych sposobów niehumanitarnego zawłaszczania świata, wyrzec się wojen, podbojów, agresji. W swojej rozprawce filozoficznej na temat wojny, pierwszej tego typu w literaturze polskiej (!), Norwid wyróżnia pojęcie wojny, którą nazywa samowolą i pojęcie walki, którą czyni zasadą życia. *Cywilizacja europejska* – pisze – *pójdzie wyżej i wywikła się z więzów śmierci wówczas tylko, jeżeli przyjmie i praktykować będzie heroizm w liczniejszych niż dotąd odmianach i stopniach pracy społecznej.* W praktyce oznacza to *zrównanie pracy fizycznej z pracą umysłową i wzajemne jej uzależnienie, które okaże się gwarancją postępu.* Już w pierwszych latach swojego pobytu za granicą dostrzegł Norwid z całą ostrością cynizm zachodniego świata postępu opartego na gwałtownie rozwijającym się przemyśle, który degradował humanistyczne wartości człowieka, sprowadzał jego reakcje do zachowania obsługującego maszyny – robota. W wierszu „Do mego brata Ludwika" pisał:

...w doczesności się pijanej gubię
Nie śmiejąc w i e k i e m nazwać – i osądzić
Że taki ogrom czasu można – b ł ą d z i ć

i dalej:

...Mówią, że Postęp nas bogaci co wiek
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie:
Niestety! co dnia mniej się cieszę ze mnie,
Śmiertelny człowiek!

W rozprawce o Juliuszu Słowackim dopowiadał bardziej otwarcie: *Nie godzi się, aby machin doskonałość okupywać człowieka degradacją.* A potem przytaczał słowa Byrona wypowiedziane w parlamencie angielskim: *Nie poświęcajcie człowieka dla machinacji i dla machin.*

Obawa Norwida o losy przyszłej cywilizacji zrodziła również jeden z bardziej zastanawiających, wieloznacznych liryków zbioru „Vade-mecum" – **„Źródło"** (powstałe ok. 1861 r.). Warto przypomnieć, że autor „Ostatniej z bajek" w innym, wcześniejszym wierszu „Zapał" z ironią pisał o konsumencie wynalazków praktycznych, rezygnującym z podejmowania ambitnych zadań, śmiesznie dumnym z faktu, że *niezawodne w działaniu i tanie mamy zapałki chemiczne.* Ale „Zapał" dotyczył mimo wszystko współczesności – „Źródło" ukazywało natomiast zdumiewającą, wręcz futurologiczną (!) wizję nachodzącej epoki wynaturzeń i cywilizacyjnych bezdroży. W czterdziestu wersach, nie dzielonych na strofy, przez metafory zagęszczone aluzjami historyczno-literackimi wskazywał Norwid na pogłębiający się rozbrat między kulturą i cywilizacją, prawdziwymi postulatami, dążeniami i tęsknotami ludzkości. Piekło dni nachodzących – zdaniem poety – okaże się przeciwieństwem piekła Dantejskiego. W skrótowych obrazach przedstawiających cmentarzysko dogasających wielkości oglądamy sceny absurdu i bezsensu, w których pleni się pospolita, zadufana w sobie małość, oczekująca wyróżnień miernota, gdzie królują kobiety próżne, strojne, niezdolne do głębszych uczuć, a zakłamanie, niesprawiedliwość i zbrodnia osłaniane są wyrokami prawa. Dwadzieścia pięć końcowych wersów „Źródła" wypełnia wizja „Bez-bożej", opustoszałej, martwej, zgoła widmowej krainy. Porażające to proroctwo, zwłaszcza jeśli pamiętać, że powstało z górą sto lat temu, na początku lat siedemdziesiątych XIX stulecia.

Przenikliwą ostrość „Źródła" można docenić w pełni, jeśli porówna się wymowę tego wiersza z nieco wcześniejszą wypowiedzią włoskiego pisarza Cesarego Pavese. W swoim „Dzienniku" pod datą 15 października 1845 r., tak oto pisał na temat oczekującej nas przyszłości:

Co powiedzieć, jeśli pewnego dnia zjawiska naturalne – źródła, lasy, winnice, pola zostaną wchłonięte przez miasto, znikną i jeśli spotykać się je będzie jedynie w starożytnych tekstach? Będą sprawiać wrażenie Theor (bogów), nimf, naturalnych świętości, jakie wyłaniają się czasem z wierszy greckich. Wówczas zwykłe zdanie: było raz pewne źródło – będzie wzruszać.

Jakże znamienne jest wobec tych słów proroctwo Norwida rzutowane w daleką przyszłość.

Wizja wypalonego świata, o czerwonych, gasnących gwiazdach, przeżywającego grozę całkowitej zagłady środowiska naturalnego jest straszliwym snem napawającym zwątpieniem, każącym żegnać się z wszelką nadzieją. Jedynym ratunkiem i wybawieniem – podobnie jak u Pavese – wydaje się ślad źródła. Niestety, również i ono zostaje splugawione. Człowiek-zjawa, brutalny i odpychający w swojej zwierzęcej nienawiści, może ostatni z ludzi (?) z mściwą satysfakcją depcze „modrą źródła żyłę". Jego okrzyk dzikiego triumfu jest okrzykiem bluźniercy przeświadczonego, że ujarzmił ostatecznie wrogą naturę.

W czasach kiedy rodziło się „Źródło" coraz większe triumfy święciła filozofia Maxa Strinera, przekreślająca wszelkie normy moralne, głosząca, że należy żyć dbając przede wszystkim o dobra doczesne, skoro miarą rzeczy jest zmienna i przemijająca jaźń ludzka. Rozwijający się pozytywizm niewiele poświęcał uwagi zagadnieniom teorii wartości, etyki, religii. Tymczasem w rozumieniu Norwida ambicją wszelkiej filozofii winno być rozjaśnianie zagadek bytu i „uczynienie człowieka moralnie szczęśliwym". Dopiero na tym tle możemy w pełni ocenić wymowę i znaczenie „Źródła". W jego przesłaniu zostało zawarte groźne memento – ostrzeżenie znieprawionej, zakłamanej, oślepionej sukcesami techniki ludzkości przed bezczeszczeniem ostatnich źródeł nieujarzmionej przyrody.

Spuściznę rękopiśmienną Norwida, w tym jego rozważania o przyszłości cywilizacji, ocalił „odkrywca", badacz i komentator poety – Zenon Przesmycki publikując inedita w „Chimerze" (1901–1907) i opracowując – przerywane dwukrotnie przez wybuch I i II wojny światowej – edycje zbiorowe („Pisma zebrane"). Jego prace kontynuował m.in. S. Pigoń, po 1945 r. także W. Borowy (wydawca faksimile autografu „Vade-mecum", 1947) i J. W. Gomulicki (wydawca m.in. pięciotomowego wyboru i bogato komentowanego zbioru liryków, 1966, oraz – po raz pierwszy ukończonego pełnego wydania).

Bibliografia wybrana:

– J. W. Gomulicki, *Wprowadzenie do biografii Norwda*, Warszawa 1965 (zob. też: tom I „Dzieł zebranych" i „Pism wybranych", nowa wersja w tomie 11 „Pism wszystkich");
– M. Piechal, *Mit Pigmaliona. Rzecz o Norwidzie*, Warszawa 1974;
– J. Trznadel, *Czytanie Norwida*, Warszawa 1978.

---

cie, maszynie, masie ujrzał reprezentatywne symbole naszej współczesności, wyróżniki jej nowoczesności. Można więc powiedzieć pół żartem, pół serio, że był także prekursorem owych słynnych Peiperowskich trzech M, ale prekursorem nie jednostronnie euforycznym, lecz przewidująco krytycznym, a przez to najbardziej nam współczesnym.

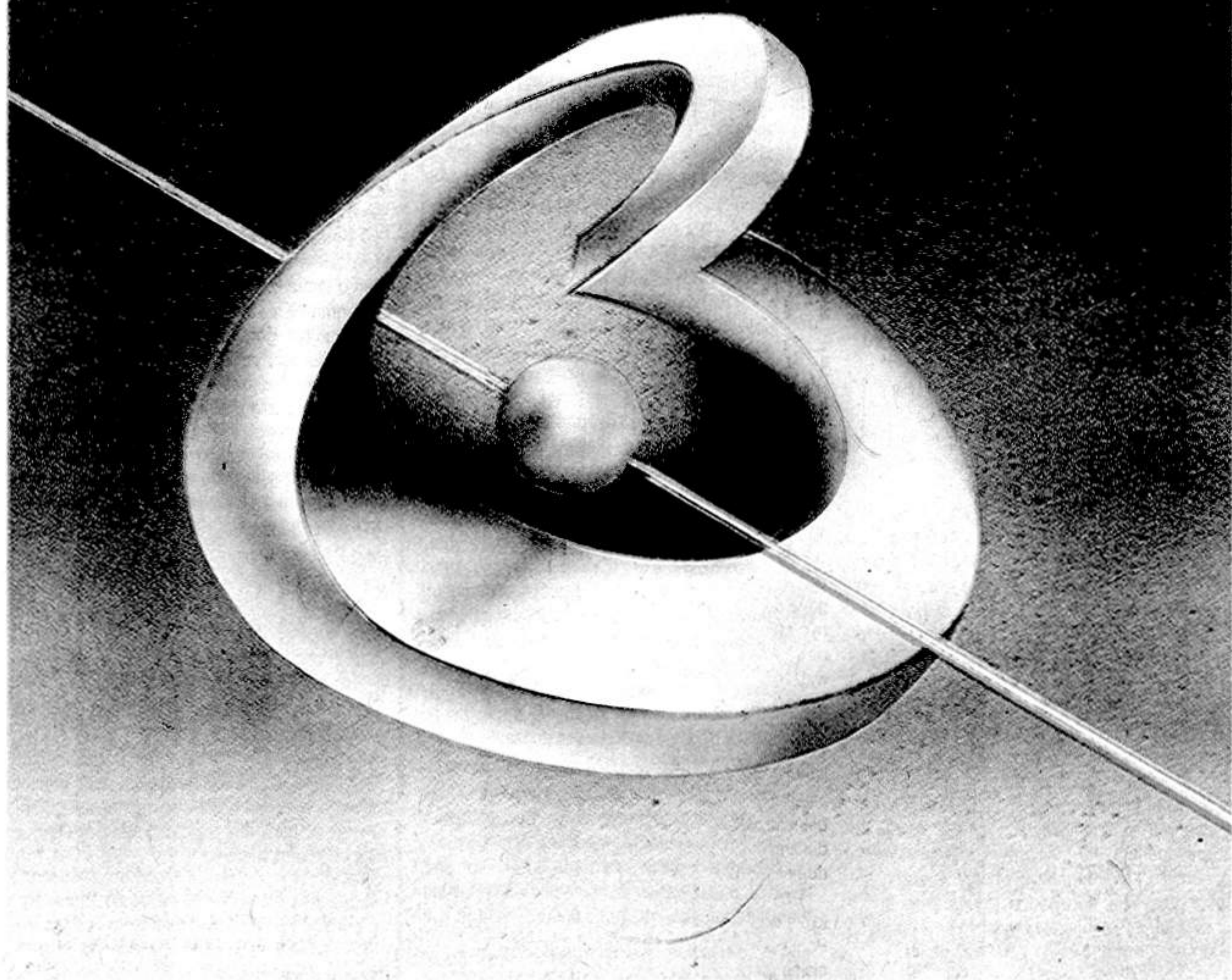
Marian Piechal, „Mit Pigmaliona. Rzecz o Norwidzie", PIW 1974.

***Sądzę**, że wiele spośród problemów poruszających Norwida pozostaje i dla nas aktualnych. A przede wszystkim jego sposób widzenia – krytyczny i bezkompromisowy, umiejący wyzwolić się od aktualnych konwencji i banału, od „powszechnego mniemania" (...). Nasz wiek techniki jest i wiekiem utopii – słuchamy więc głosów poety wśród innych głosów: miłości, ostrzeżenia, pamięci. Postać Norwida jest nam bliska, jako postać „człowieka zbuntowanego" i to tym bardziej, że to nie był tylko bunt romantyczny. A jego trudna, zmuszająca do wysiłków myślowych poezja kryje w sobie również wiele impulsów i dla nas. Dzieło sztuki zawsze było w gruncie rzeczy – utopią i zabawą. Najlepsze utwory Norwida mają dla nas chyba ten właśnie magnes: są utopią i propozycją gry intelektualnej.*

Elżbieta Feliksiak, „Norwidowski świat myśli" (w:) „Polska myśl filozoficzna i społeczna, t. I, red. A. Walicki, Warszawa 1973.

***Cóż tedy** własnego wnosi Norwid do Literatury?... On świadomie przeciwstawia się ogólnemu tonowi wulgaryzacji w twórczości poetyckiej, akcentując potrzebę sztuki niezależnej od tendencji utylitarnych i popularyzacyjnych, sztuki będącej twórczością właściwą, przeznaczonej dla wybranych, „dla kasty wiednej", czyli ukształconej artystycznie ... Norwid świadomie sam jeden tylko tworzył dla górnych dziesięciu tysięcy... z głębokiego przeświadczenia, iż zadaniem prawdziwego twórcy jest odkrywanie prawd nieznanych jeszcze, odsłanianie stron rzeczywistości jeszcze nieujawnionych.*

Stanisław Cywiński, „O gwiaździsty diament Norwida", Wilno 1935.


Andrzej Brzezicki

Cyprian Kamil Norwid

Źródło

Kiedy błądziłem w Piekle, o którym nie śpiewam,
Dlatego, że mi klątwy się wpierw w usta kleją,
Jak muchy brzydkie, które ze skwarów szaleją –
I nie śpiewam dlatego, że nim poczne, ziewam;
Kiedy błądząc przeszedłem kolumnadę-nudów,
Długą i prostą – tudzież kaprysów-przedsienia
I nie dogasłych w piasku cmentarz-wielkoludów,
Ruszających się sennie pod brukiem z kamienia;
Gdy pomierzyłem kroki mymi przedpokoje – .
Nerwów głupich, co ciągle przemierzają stroje,
A nie są nigdy na czas ubrane weselny !...
– Gdy przestąpiłem nędzy próg, kłamstwa-podwoje
I mijałem już zbrodni-labirynt bezczelny,
Po-oklejany zewsząd wyrokami prawa –
Znalazłem się na miejscu, gdzie pod stopą lewa
Stygła – i szedłem dalej w powietrzu i porze,
I świetle, które były rzetelnie bez-Boże!...
– Na podobieństwo łanów zwęglonych wulkanem
Lub morza, co zatęchło postępem wstrzymanym,
Morze fal, które stojąc, poglądały wzajem,
Zadziwione niezwykłym głębi obyczajem
Jak Sfinksy-- zaś nad nimi pelikanów nieco
Z otwartymi gardłami, co schły od pragnienia,
I gwiazd parę czerwonych, które w otchłań lecą,
Gasnąc...
... tam szedłem (spomnieć trudno bez wytchnienia!...)
Szedłem tam– –kędy?...– wątpiąc... – gdy roślinka drobna,
Blada i do niewprawnie wyszytej podobna,
Szepnęła mi: „Jest źródło"... – a dalej, w parowie,
Poczułem coś jak wilgoć.
Z tejże samej strony
Śmiech mię doleciał gorzki i szmer przytłumiony.
I obaczyłem Męża z rękami na głowie,
Jak kiedy kto przenosi całą swoją siłę
W stopy własne — ten deptał modrą Źródła żyłę,
Jakoby wstęgę, która mu sandał oplotła,
Lub szargała się w prochu, gdzie ją stopa wgniotła.
Śmiech człowieka był wściekły – wymowa odrębna:
Coś – jak tętno za trumną noszonego bębna,
Którym wybrzmiewał sarkazm, chrypiąc z nienawiści:
„Patrzcie! ... jak Duch-stworzenia obuwie mi czyści!..."

C.K. Norwid, „Źródło" – tekst za: Cyprian Kamil Norwid, Pisma wszystkie. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, t. I-X, Warszawa 1971, PIW.

Piekło bioformanta

Według znanych mi faktów odkrycie bioformanta należy do Rosjanina, Kiryła Bułyczowa, ale wcześniej zabawiała się tym ulepcem fantastyka amerykańska, nazywając go cyborgiem. Bioformant vel cyborg – któż to taki? Człowieka przyszłości będzie się przerabiać na rozmaite sposoby, mechaniczne i genetyczne, operacyjne i perswazyjne, a wszystko po to, by umysłowo i cieleśnie był w stanie sprostać okolicznościom XXI wieku. Cyborg – wynalazek wcześniejszy, był też prymitywniejszy jako idea. Chodziło o takie wzmocnienie ludzkiego ciała elementami mechanicznymi, aby CYBernetyczny ORGanizm sprostał trudom podróży kosmicznej (te lata spędzone w ciasnocie, przeciążenia, pasy promieniowania itp.) i aby zadowalał się kroplą wody, kostką koncentratu oraz haustem powietrza raz na tydzień. Hermetyczne pudła prujące do gwiazd nie będą odpowiednim miejscem dla sybarytów czy innego pokroju hedonistów; kosmos zdobędą dla nas bezkrwiści asceci o ścięgnach ze stali, a nie rumiani pyszałkowie, mdlejący na widok ostatniej butelki coca-coli w lodówce.

Bioformant, czyli cyborg udoskonalony, został powołany do życia przez nieco bardziej finezyjne myślenie. Po prostu zwykła ludzka postać prędzej czy później stanie się barierą poznawczą – nie w sensie niemożności wciśnięcia się do każdej dziury na obcej planecie, ale w sensie zrozumienia fenomenów za bardzo nieludzkich (a takich, sugerują różni autorzy, w kosmosie ma być większość). Bioformant więc to taki cyborg, który jakoś przetrzymał trudy podróży, a teraz wylądował na nieznanej planecie i zaraz zacznie popisy. Jego zadanie polega na rozszyfrowaniu miejscowych dziwów, na jak najskuteczniejszym działaniu w warunkach krańcowo obcych, przy których niewygody macierzystego statku wydają się ciepło wymoszczoną kołyską.

I po cóż my tak się pchamy w te jaskinie Kerenejí? Człowiek, nieszczęsne indywiduum, chcąc uwierzyć, chcąc się o czymś przekonać, musi niestety dotknąć. Syndrom niewiernego Tomasza prześladuje ludzkość od zarania, ale dopiero w dobie kosmicznej okazać się może, że ciekawość naprawdę pierwszym stopniem do piekła. Ktoś nie znający się na ziemskich dowcipach może porządnie przytrzeć nam nosa; istotniejsze jednak wydaje się spostrzeżenie, iż możliwości poznawcze istoty ludzkiej maleją proporcjonalnie do grubości murów odgradzających badacza od tajemnicy. Innymi słowy skafander kosmiczny jest złem koniecznym, ale jeszcze gorzej nie wyłazić z rakiety, a najgorzej wyrokować o gwiazdach z podziemnego schronu. Badanie kosmosu za pomocą automatów ma swoje zalety, ale i wyraźne granice; chcąc je przekroczyć trzeba cisnąć człowieka prosto w metanowe wiry Jowisza, oczywiście w jakimś batyskafie, nie nagiego. Nie ma wątpliwości, że antylopa wie o sawannie więcej od urzędnika magistratu, a szybownik o powietrzu i jego ruchach – od czołgisty.

Tak więc na pewnym etapie badawczym, gdy po ciesiołce przychodzi pora na subtelności, człowiek nieodwołalnie musi się znaleźć w centrum obcych światów. Musi obalić tyle z otaczających go murów, by nie ryzykować własnego bezpieczeństwa, lecz jednocześnie wyjść w stronę Nowego, zwanego także Nieznanym, jak najbardziej goły, otwarty, bezbronny. A jeśli to możliwe, musi przeobrazić się wewnętrznie i zewnętrznie, rozebrać bardziej niż do rosołu, niejako „na drugą stronę" – przyjmując takie formy fizyczne, które pasują do nowego środowiska równie akuratnie, jak człekokształtna forma (fizjologia, logika, doświadczenie) są w nim nie na miejscu.

Od takiego wnioskowania tylko krok do bioformanta. Jeszcze z 50 lat, a żółw z Ganimeda i pingwin z Tytana padną sobie w objęcia z okrzykiem: „Bracie!" Gdy na planecie gorąco, w mig przerobi się kosmonautów na żuki, z mocną skorupą na grzbiecie i wydolnym systemem chłodzenia. Kiedy oceany z formaldehydu, załoga G składać się będzie z rekinów wyposażonych dodatkowo w parę rąk – itp., itd. Przypuśćmy, że nauka z techniką uporają się metodami dokonywania takich przeobrażeń. Pozostaje drobiazg: jak nakłonić dzielnych chłopców z Cosnavu, by zrezygnowali z pięknych lic, atletycznych torsów i różnych wyspecjalizowanych instrumentów, przydatnych do uwodzenia panien? Ha, można im wydać rozkaz. Można kusić pieniądzem, postawić pod ścianą – w perswadowaniu konieczności tego typu rasa ludzka ma bogate tradycje. W każdym razie pole rozciąga się szerokie i malownicze, w sam raz dla literatury.

U Bułyczowa („Białe skrzydła Kopciuszka") proces przebiega bezproblemowo. Bioformantami stają się uczeni, których do zmiany kształtu ciała (i wszystkiego, co z tym związane) popycha żądza wiedzy. Ofiara jest zresztą krótkotrwała, gdyż zabieg należy do odwracalnych. Nie musi to być łatwe, człeka zamienić w knura, a potem z powrotem – ale da się zrobić. Z pewnego punktu widzenia posiedzieć w ciele świni to nawet ciekawe doświadczenie. Tak więc problem ofiary z człowieczeństwa (w dużej mierze utożsamianego z kształtem, z postacią ludzką) u Bułyczowa nie istnieje. Niczego nie trzeba składać na ołtarzu nauki. Oj, pachnie mi tu wykrętem, fałszem diabelnym, bo nawet za skarby króla Salomona nie dałbym się zamienić w mojego sąsiada, a cóż dopiero w psa jego, Burka.

To, przed czym unik zrobił radziecki autor, stało się podstawowym tematem powieści Frederika Pohla „Człowiek Plus". Tytuł oznacza nazwę oficjalnego programu kosmicznego USA, którego celem jest zasiedlenie Marsa. Samo zasiedlenie jest mało ważne, nabiera dopiero znaczenia w kontekście sytuacji politycznej. Różne wydarzenia na ówczesnej scenie politycznej powodują, że sfery rządzące w USA w Człowieku Plus upatrują jedynej nadziei Ameryki i świata na wybrnięcie z matni. Takie administracyjne zdobywanie planet ma precedens; w swoim czasie John Kennedy wezwał do gabinetu odpowiednich ludzi i pokazując przez okno Księżyc na niebie powiedział: „Chcę, żeby Amerykanin postawił tam stopę". Tak zrodził się projekt Apollo i tak może zrodzić się projekt Człowiek Plus.

I oto bioformant, ten Chrystus narodów XXI wieku, rozpoczyna swoją Golgotę, aby ocalić świat. *W ogóle nie przypominał człowieka. Zamiast oczu miał świecące kule z czerwonymi fasetami. Nozdrza otwierały się w fałdach ciała, podobne do kreciego ryja z gwiazdką nosa. Sztuczny naskórek miał barwę naturalnej, głębokiej opalenizny, lecz wygląd skóry przywodził na myśl nosorożca. Nic, co dało się w nim zobaczyć, nie przypominało tego, z czym się urodził.* Trochę tak, jak gdyby dla odkupienia potworności współczesnej cywilizacji mało było konwencjonalnego rozpięcia na krzyżu. Dlatego Willy'ego Hartnetta, a po nim Rogera Torrawaya zgraje macherów w białych kitlach stopniowo wydzierają z ciała w sterylnych klinikach. Pohl sygnalizuje jedynie bezmiar bólu i poniżenia, jaki temu towarzyszy, gdyż zdaje sobie sprawę, że tej nowej zbrodni ludzkości oddać ani ogarnąć szczegółowym opisem nie sposób. *Już wówczas skórę brało się niejako z metra. Tyle jej szło jeszcze na Willy'ego Hartnetta (...), że teraz nowe przeszczepy fastrygowano do ciała Rogera w takim tempie, w jakim chirurdzy odzierali go z powłoki, w której przyszedł na świat.*

„Człowiek Plus", przykład rzadko u nas tłumaczonej fantastyki „dla dorosłych", poważnej, problemowej, uprzedzającej trendy i zjawiska, jest właściwie historią człowieka wplątanego w układ. Służąc bożkowi mamony, luksusu, oddając się przyjemnościom wynikającym z zażywania sławy, posiadania pięknej żony, koneksji i bogactwa, nie zdaje sobie sprawy, że w pewnym momencie zostanie wezwany do zapłacenia rachunku.

Trzeba będzie stracić wszystko, co się posiadało, i sporo jeszcze ponad – dać się strącić w marsjańskie piekło w imię idei tak obłędnej, że jak najbardziej na miejscu w całkiem już obłąkanym świecie. Na nic tu cienkie ironizowanie, że miejsce człowieka wśród gwiazd. Człowieka? Na ile deformanta, któremu ekipy dowolnie wymieniają segmenty ciała i bloki umysłu, można jeszcze nazwać tym górnym mianem?

Zdumiewające, że produkcji Człowieka Plus nie towarzyszy żaden rejwach mass-mediów, milczą kaznodzieje, nie organizuje się demonstracji. Ba, obecny cały czas na pierwszym planie powieści ksiądz przygląda się kreowaniu bioformanta jakby w odurzeniu, budzi się raz tylko, gdy w rozmowie z siostrą Klotyldą, swoją prawie narzeczoną, stwierdza:

(...) – Jest coś w tym manipulowaniu jego zmysłami, co mnie niepokoi. Jego postrzeganie świata. (...)

– Zmysły kłamią, Donnie. Tak mówi Pismo Święte.

– Och, z pewnością. Ale czy Brad ma jakiekolwiek prawo dyktować zmysłom Rogera, jak mają kłamać?

Czasem myślę sobie pożądliwie, jak by to było fajnie, gdyby kinematografia amerykańska, korzystając ze swych sposobów, reżyserów i pieniędzy, nakręciła film według Lema. Ot, jakiś „Eden" albo „Powrót do gwiazd". Dziś prawem rewanżu: jak wyglądałby „Człowiek Plus", gdyby Stanisław Lem zajął się tym zagadnieniem niezależnie od Pohla? Moralnie byłby chyba bogatszy. Mam takie wrażenie, że metoda amerykańskiej SF nie przenosi całego bogactwa problematyki, że je redukuje, że w szalonym pośpiechu tamtego świata narasta pobieżność traktowania spraw, ginie refleksja i nie ma chwili na to, by przystanąć i frasować się nad konsekwencjami. Nawet jeśli ktoś, jak Pohl, decyduje się wydać krzyk-ostrzeżenie, to i tak go nie słuchają, a i on sam jakby nie wierzył, że jego głos przebije się przez ogólny tumult.

Świat się zmienia, zapewne, i co dziś czy wczoraj było święte, jutro zostanie wyzute z sacrum i wykorzystane praktycznie, do granic trywialności. Wielce przygnębiająco brzmi wyznanie autora, że prawdziwym powodem powołania Człowieka Plus były po prostu względy oszczędnościowe. Można przecież było wywieźć na Marsa normalnych ludzi i na miejscu zapewnić im odpowiednie warunki do przetrwania... gdyby nie koszty. Taniej przeformować człowieka, skalkulowali księgowi; przyszłość, taka jak się rysuje, należy do księgowych. Wszystko drożeje, podczas gdy oszczędność nakazem chwili – i cóż dziwnego, że oczy szefów rozmaitych programów spoczną w końcu na tym, co najbliżej, na człowieku. Miej się na baczności, mój czytelniku. Mówiąc wprost, jesteś najtańszym materiałem konstrukcyjnym, jako we Wszechświecie, tak i na Ziemi. I najbardziej uniwersalnym – można z ciebie zrobić wszystko, od mydła po Marsjanina.

Marek Oramus

Frederik Pohl: *Człowiek Plus*. Tłumaczył Marek Marszał. Seria Fantastyka-Przygoda. Iskry, Warszawa 1986. Cena 200 zł.

Co jest za tą bramą?

Z początkiem kwietnia bieżącego roku ukazał się w serii „Fantastyka polska", wydawanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, tom opowiadań pod tytułem „Trzecia brama". Piętnaście zawartych w nim utworów zostało wybranych przez pięcioosobowe jury z ponad sześciuset prac nadesłanych do „Fantastyki" w roku 1982.

W tym przypadku długość procesu produkcyjnego książki (od momentu oddania maszynopisu do drukarni do zakończenia druku prawie dwa lata), daje możliwość oceny dalszego rozwoju autorów zamieszczonych opowiadań oraz porównania trendów, jakie pojawiły się w literaturze science fiction w ciągu tych kilku lat.

Autorzy omawianego zbioru, jak ich określił w swoim posłowiu Maciej Parowski, należą do najmłodszej, tzw. czwartej generacji twórców SF, *uczniów, maturzystów, studentów, młodych absolwentów uczelni*. Należałoby więc sądzić, że ich twórczość będzie w jakimś stopniu stanowić o przyszłości tego gatunku literackiego. Będzie również określać charakter zapatrywań na świat i literaturę. Bo nie oszukujmy się – twórczość SF od dawna przestała być już tylko ciekawostką z pogranicza literatury rozrywkowej. Cóż więc jest za tą bramą?

W prezentowanym zbiorze zawarte są właściwie wszystkie najważniejsze nurty SF, z wyjątkiem może jednego, najnowszego, jaki pojawił się w ostatnich latach w Europie Zachodniej, przede wszystkim w RFN, o czym później. Mamy więc i klasyczną SF, próby poszukiwania nowego języka, drążenie wewnętrznego świata psychiki ludzkiej, w której można odnaleźć przetworzone ślady wydarzeń rzeczywistych, utwory rozrywkowe i science fantasy.

Ich autorzy w przyzwoitym stopniu opanowali już warsztat pisarski, szczególnie w przypadku utworów o charakterze rozrywkowym. Dość nieźle radzą sobie z oporną materią, jaką jest słowo, choć niektóre próby eksperymentów językowych wydają mi się nieco chybione („Piloci ultrafioletowych dali" Dariusza Lebiody).

Zajmijmy się tym, co z mojego punktu widzenia jest najlepsze, zarówno warsztatowo, jak i pod względem konstrukcji i fabuły. Są nimi właśnie opowiadania o charakterze rozrywkowym. Materiały złożone na konkurs, co znalazło odzwierciedlenie w przedstawianej antologii, zasygnalizowały zjawisko, które jeszcze wyraźniej wystąpiło podczas spotkania z młodymi twórcami w roku 1985, w czasie Dni Fantastyki. Pojawiła się bowiem cała seria utworów, będących w istocie beletrystyką przygodowo-detektywistyczną, dla niepoznaki zakamuflowaną dekoracjami z przyszości. (Widać w nich było nawet wpływy filmów zaliczanych do gatunku karate – tytułowa „Trzecia brama" Andrzeja Boryczki). Należały do nich na przykład utwory Leszka Kraskowskiego („Inspekcja") i Andrzeja Augustynka („Atak"). Podczas wspomnianego spotkania z młodymi twórcami, grupa ta poszerzyła się o tak obiecujących autorów jak Rafał A. Ziemkiewicz. Później pojawili się następni, np. Włodzimierz Różycki ze swoim świetnym, również publikowanym w „Fantastyce" opowiadaniem „Weekend w mieście".

W istnieniu tego nurtu (i o tej jakości) nie widzę nic złego. Uważam wręcz, że lepiej, aby czytano twórczość tego rodzaju, aniżeli całą masę publikowanych ostatnio utworów proweniencji rynsztokowo-erotycznej, jakich pełno w naszych tygodnikach, a nawet w wydawnictwach książkowych. Sądzę, że spośród tej grupy autorów mogą wyłonić się kiedyś interesujący pisarze zajmujący się tzw. literaturą poważną. Przykładem może być zaistnienie w innych gatunkach literackich tak znanych nazwisk jak Andrzej Tuziak czy wspomniany już Dariusz Tomasz Lebioda.

W antologii opowiadań „Trzeciej bramy" są również przykłady nurtu ambitniejszego, o charakterze introwertycznym, który nie zadowala się powierzchownymi konstatacjami, próbując przetworzyć wydarzenia świata realnego, krytykując pozorny perfekcjonizm (?) cywilizacyjny i dehumanizację społeczną czy unifikację jednostki. Do autorów tego nurtu należą Maciej Gałaszek („Manuał skazanego") i Marek Hemmerling („Droga"). Ich opowiadania można zaliczyć także do nurtu ekologicznego, którego typowym przykładem jest „Świat za szkłem" Dariusza Romanowskiego. Wyraźna jest tu obawa przed losami cywilizacji, której rozwój techniczny wyraźnie wyprzedził rozwój wewnętrzny człowieka. Dowodem na to mogą być słowa jednego z bohaterów historii Hemmerlinga, który w świecie *...pędzącym, aby gdzieś tam – dalej – stoczyć się w okrutną nicość*, decyduje się na życie, w wyniku którego nie będzie *...musiał nigdzie gnać na złamanie karku i ...będzie miał czas na rozmyślania o tym co przeżył*. Element nostalgicznej tęsknoty za spokojem, utraconymi wartościami duchowymi występuje w wielu utworach, których sztandarowym przykładem jest sprawne literacko opowiadanie Grzegorza Stefańskiego pt. „Kawałek końca".

W zbiorze przedstawionym nam przez Wydawnictwo Literackie znalazło się nawet opowiadanie tak rzadko występującego w polskiej SF nurtu fantasy („Mag" Feliksa W. Kresa). Jest ono doskonałym przykładem na to, że można napisać dobre opowiadanie fantasy, stosując pewne elementy eksperymentu językowego, co więcej, uzasadnione fabułą i konstrukcją utworu. To dziwne, ale właśnie oprócz „Maga" Kresa i opublikowanego w jednym z numerów „Fantastyki" w roku 1986 opowiadania Andrzeja Sapkowskiego „Wiedźmin", nie spotkałem się jak do tej pory z innymi, znaczącymi utworami z gatunku fantasy. Tradycję literacką tego gatunku mamy przecież dobrą, jako że istniał i nurt literatury rycerskiej i

---

Pierwsza Japonia!

Mówi się ostatnio, sam zrobiłem to parę razy, że najnowsza fantastyka polska zafascynowana jest myślą Wschodu. Myśl Wschodu, buddyzm zaczynają być interesujące także dla nauk ścisłych, o czym świadczy między innymi głośna książka Capry „Tao fizyki". Przedtem (zaczęło się to jeszcze na przełomie lat 1950/60) przetoczyła się przez świat fala powodzenia japońskiego kina inspirującego się japońską prozą, bądź interpretującego po swojemu europejską klasykę. Zresztą, niezależnie od tego, czy opowiadało owo kino o legendach i mitach o samurajach czy o współczesności – trwa to powodzenie do dziś. W 1968 roku japoński pisarz Kawabata Yasunari dostał nagrodę Nobla.

Ponowne spotkanie z niektórymi z tych mitów, problemów, autorów i pośrednio, filmów – umożliwia nam wydany pięknie przez PIW w serii grozy zbiór niesamowitych opowiadań japońskich. Znakomitą nowelę tytułową pióra Fukazawy Shichiro, sfilmowaną w 1983 roku przez Imamurę, przypomniało w czerwcu-87 warszawskie kino „Wiedza". Po lekturze książki poszedłem ponownie na film, by lepiej zrozumieć fenomen Wschodu, by spróbować go nazwać.

Film i nowela opowiadają o zagubionej w górach wiosce, w której ludzie żyjący na granicy głodu wytwarzają okrutne kodeksy zachowań i praw. Złodziei żywności zakopuje się tu żywcem. Starców po siedemdziesiątce ich własne dzieci wynoszą na górę Narayamę, by tam w osamotnieniu umierali z głodu i chłodu. Ale to przymusowe zabójstwo-samobójstwo staje się ceremonią cementującą społeczność; ceremonią, w której może dochodzić do głosu zarówno strach, okrucieństwo, podłość, jak i godność, poczucie spełnienia i głębokiej solidarności starych z młodymi. W surowym, okrutnym, lecz uporządkowanym świecie u stóp Narayamy jest miejsce na miłość i wielkość. Ale także na tchórzostwo, samooszustwo. I pod tym względem świat Narayamy jest dziwnie podobny do naszego – owszem, kreuje swoistych świeckich świętych, ale również małych kanciarzy, dewiantów, okrutników i łajdaków.

A różnice? Widać to i w filmie, i w noweli Schichiro, i w pozostałych opowiadaniach tomu, że świat japońskiej literatury i mitu jest bardziej ostry, ascetyczny, bezwzględniejszy od naszego. Buddyzm jest religią surowszą dla swych wyznawców od chrześcijaństwa, mniej skoncentrowaną na indywidualnym szczęściu jednostki. Buddyzm zaprzecza istnieniu nieprzemijających monad duchowych, choć nie kwestionuje, że wszelkie czyny znajdują odpłatę (w ponownych narodzinach). Buddyzm proponuje techniki niszczenia cierpienia i smutku metodą godzenia się na jedno i drugie i hamowania w sobie pożądań, nienawiści i gniewu. Buddyzm jest heroiczną religią beznadziejności, a więc na swój sposób hartuje. W każdym razie w porównaniu z chrześcijaństwem, które oferując wielką nadzieję, zdaje się czasem rozleniwiać.

Nie porównuję po to, by wartościować ani by wybierać. Porównuję, by lepiej zrozumieć. Nie jest przecież przypadkiem, że na dwunastu aż trzech autorów tomu zginęło śmiercią samobójczą. Wynika to z japońskiego (buddyjskiego?) etosu. Kawabata Yasunari skończył ze sobą w wieku 73 lat, można by powiedzieć, że sam zaprowadził się na Narayamę. Ale dwaj pozostali – Dazai Osamu i Akutagawa Ryunosuke (autor głośnej noweli „Rashomon") – zdecydowali się na gest ostateczny przed ukończeniem czterdziestki. Filozofia pustki, niestałości rzeczy; wizja świata, w którym panują raczej bezosobowe prawa odpłaty za dobro i zło niż miłosierne bóstwo – mogą, jak widać, być ciężkie od uniesienia. Dlatego to nie tylko Wschód bywa fascynujący dla Zachodu (pięknym tego przykładem jest przedstawiona w tomie postać Japończyka z wyboru, Koizumi Yakumo, Europejczyka, prawdziwe nazwisko Lafcadio Hearn); ale i Zachód dla Wschodu. Dowodem tego, również przedstawione w tomie, postać i dzieło Endo Shusaku, japońskiego pisarza, który przeszedł na katolicyzm i uczynił ten problem tematem swojej twórczości.

Co wychodzi jeszcze w filmie i pozostałych odpowiadaniach? Otóż w stopniu znacznie większym niż w naszym świecie czuje się człowiek w Japonii częścią przyrody, w większym chyba stopniu niż my akceptuje i przeżywa naturę. Nie

twórczość grozy, a jakoś nasi autorzy nie potrafią czy też obawiają się – jak można sądzić z nadsyłanych do wydawnictw maszynopisów – zająć tego rodzaju pisarstwem.

Autorzy najmłodszej fali SF zdecydowanie uciekają od intrygi technicznej i naukowej, aczkolwiek posługują się jeszcze tym sztafażem, podążając w stronę mistycyzmu czy surrealizmu. Ich utwory mają jeszcze jeden wspólny rys, który nazwałbym, jakże charakterystycznym dla dawnej, XIX-wiecznej twórczości fantastycznej, polskim romantyzmem SF. Nie uważam wcale tego zjawiska za negatywne, wręcz przeciwnie, takie próby rozwiązania problemów współczesnego świata przy pomocy poetyckiej filozofii świadczą o krytycznym podejściu autorów do rewolucji technicznej i wynikających stąd zagrożeń społecznych i jednostkowych.

Brak mi jedynie utworów o charakterze tzw. real fiction, czyli połączenia political i social fiction. Nurt ten, z założenia wywodzący się z protestu przeciwko degradacji i manipulacji środowiskiem naturalnym człowieka i nim samym, występujący wyraźnie w ostatnich latach na zachodzie Europy, łączy w konstrukcji fabularnej wydarzenia rzeczywiste i pozornie fantastyczne, których zaistnienie może nastąpić w każdej chwili, a może już nawet nastąpiło. Idzie tu przede wszystkim o eksperymenty genetyczne dokonywane na człowieku i przyrodzie.

Tak więc, obraz świata widziany oczami twórców „Trzeciej bramy" i ich następców jest dość wyraźny i bardzo zróżnicowany. W przeciwieństwie do przeważnie zachowawczych i jakby bojaźliwych tendencji literatury innych gatunków, młodzi twórcy polskiej SF są bardziej konsekwentni w przedstawianiu zastrzeżeń i obaw od swoich kolegów po piórze, którzy uciekają w totalny surrealizm. Nie da się chyba tego wytłumaczyć li tylko specyfiką gatunku science fiction.

Wawrzyniec Sawicki

Trzecia brama. Opowiadania nagrodzone w konkursie miesięcznika „Fantastyka" 1982/83. Opracował Maciej Parowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 350 zł.

uważa się za jej władcę czy poskromiciela. Ponadto (czy może właśnie dlatego) w buddyzmie i w ogóle kulturze Wschodu bliższa jest łączność indywidualnego człowieka z mitem, z bóstwem, z tajemnicą. W porównaniu z chrześcijaństwem buddyzm wydaje się religią mniej kapłańską, mniej scentralizowaną, mniej ortodoksyjną, znacznie mniej lękającą się herezji. Ale też religią bardziej okazjonalną, sporadyczną. Chrześcijaństwo (zwłaszcza katolicyzm) wytwarza przepiękne kościoły; buddyzm także domowe i leśne kapliczki, czy czasem po prostu miejsca, w których można odmówić modlitwy do dobrych duchów na wyższym stopniu wcielenia. Albo trzeba się wystrzegać miejsc, w których przebywają duchy złe.

Dlatego właśnie, z powodu tej indywidualnej łączności z mitem, z powodu tego nieortodoksyjnego rozproszenia, liczba współczesnych japońskich autorów uprawiających literaturę grozy czy mitu, jest chyba liczniejsza niż w Polsce. Wspomniałem na początku o modzie na myśl i kulturę Wschodu również u nas. Wypadałoby się zastanowić co bardziej nas fascynuje – barwna rekwizytornia czy heroiczna filozofia? Jest to zresztą temat na inne opowiadanie, na inną recenzję.

Maciej Parowski

Ballada o Narayamie – opowieści niesamowite z prozy japońskiej. Wybór, przekład, przypisy i noty o autorach: Blanka Yonekawa. Ilustrował Wiesław Rosocha. Seria Grozy. PIW, Warszawa 1986. Cena 550 zł.

1977 (dokończenie)

1227. SUPERVIELLE Jules: *Młody człowiek w niedzielę i w inne dni.* Tłum. [z franc.] Barbara Gałczyńska. Posłowie Jan Pieszczachowicz. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 78, nlb. 2. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1228. TWAIN Mark: *Pamiętniki Adama i Ewy.* Tłum. [z ang.] Teresa Truszkowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 48, nlb. 4 50 000 egz.
1229. WOLFKIND Peter Daniel: *Noc księżycowa.* Opowiadania. Wybór, tłum. [z niem.] i posłowie Henryk Vogler. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 141, nlb. 3. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1230. *W ZACZAROWANYM zwierciadle. Opowiadania fantastyczne Ameryki Łacińskiej.* Aut.: Adolfo Bioy Casares [i in.] Red. Andrzej Soból-Jurczykowski. Posłowie i noty biograficzne Jerzy Kuehn. [tłum. z hiszp. i port]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss.353, nlb. 3. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – AF(ASF)W.
1231. ŻAKIEWICZ Zbigniew: *Czteropalcy. Opowieść niesamowita.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 198, nlb. 2. 10 000 egz.

Horror (W):

1232. *DZIWO morza. Niemiecka i austriacka nowela morska od romantyzmu do drugiej wojny światowej.* Aut. Wilhelm Hauff [i in.]. Red., wstęp i koment. Stefan H[ubert] Kaszyński. [Tłum. z niem.]. Gdańsk. Wyd. Morskie. 8° ss. 297, nlb. 3. 10 000 egz. – Światowa Proza Morska. – Większość opowiadań fantast. – WAF.
1233. HOFFMANN Ernst Theodor Amadeus: *Opowiadania.* Wyd. I w tym wyborze. Tłum. [z niem.] Jan Kleczyński [i in.]. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 477, nlb. 3. 30 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.
1234. LE FANU Joseph Sheridan: *Dom przy cmentarzu.* T. I/II. Tłum. [z ang.] Krystyna Korwin-Mikke. Kraków. Wyd. Literackie. 16° T.I ss. 326, nlb. 2; T. II ss. 330, nlb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1235. *O DUCHACH opowieści prawdziwe.* Aut.: Ryunosuke Akutagawa [i in.]. Warszawa. Iskry. 8° ss. 373, nlb. 3. 20 000 egz.
1236. *OPOWIEŚCI niesamowite: groza i niesamowitość w prozie rosyjskiej XIX i początku XX wieku.* Aut.: Anton Pogoreľskij [i in.]. Red., wstęp i noty o aut.: René Śliwowski. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 450, nlb. 2, tabl. 25.20 000 egz.
POŁOM S.: *Siódmy...* – zob. AF.
1237. RADCLIFFE Ann: *Italczyk albo konfesjonał czarnych pokutników.* T. I–III. Tłum. [z ang.] Maria Przymanowska. Posłowie Zofia Sinko. Kraków. Wyd. Literackie. 16° T.I–II [współwyd.] ss. 275, nlb. 1; T. III ss. 171, nlb. 1. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1238. RADCLIFFE Ann: *Tajemnice zamku Udolpho – romans strofami poezji przetykany.* Tłum. [z ang.] Wiesław Niepokólczycki. T.I–II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T.I ss. 370, nlb. 1, tabl. 12; T. II ss. 347, nlb. 1, tabl. 12. 15 000 egz. – Seria Grozy.
1239. WILDE Oscar: *Upiór rodu Canterville'ów.* Tłum. [z ang.] Maria Przymanowska. Posłowie Jan Prokop. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 82, nlb. 2. 30 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
W ZACZAROWANYM zwierciadle. – zob. AF.

Krytyka, biografie, film (R):

1240. BROTHERSTON Gordon: *W granicach samotności. Nowa powieść Ameryki Łacińskiej.* Tłum. [z ang.] Kalina Wojciechowska. Czytelnik. Warszawa. 16° ss. 178, nlb. 2, bibliogr. 10 000 egz. – Na obwol. wymieniono nazwiska omawianych twórców. – Dot. m.in. fantastyki.
1241. KAGARLICKI[J] Julij [właśc. Ûlij]: *Co to jest fantastyka naukowa?* tłum. [z ros.] Krzysztof W[iesław] Malinowski. Warszawa. Iskry. 16° ss. 504. nlb. 4. 10 000 egz.
1242. KOLBUSZEWSKI Jacek: *Dziwne podróże, dziwni podróżnicy.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 4° ss. 189, nlb. 3. 10 000 egz. – Dot. m.in. fantastyki.
*1243. MODE Heinz: *Stwory mityczne i demony – fantastyczny świat istot mieszanych.* Tłum. z niem. Anna M[aria] Linke. Warszawa. Wyd. Artystyczne i Filmowe. 4° ss. 296, nlb. 2
1244. RUSTOWSKI Adam Marian: *Angielska powieść gotycka doby wiktoriańskiej.* Katowice. Uniwersytet Śląski. 8° ss. 1s19, nlb. 4. 830 egz. – Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego nr141.
1245. TRYBUSIEWICZ Janusz: *W poszukiwaniu państwa słońca.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 188, nlb. 4. 50 000 egz.– Szczęśliwa Siódemka.

„Zagadki nauki" (MS):

1246. BORUŃ Krzysztof, MANCZARSKI Stefan: *Tajemnice parapsychologii: eksperymenty – hipotezy – zagadki.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 290, nlb. 2. 30 000 egz.
1247. FROMM Erich: *Zapomniany język – wstęp do rozumienia snów, baśni i mitów.* Tłum. [z niem.] Józef Marzęcki. Wstęp Krzysztof Teodor Toeplitz.Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 246, nlb. 1. 20 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1248. HERLINGER Juliusz Jerzy: *Historie niewiarygodne.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 244, nlb. 4. 30 000 egz.
1249. MOSTOWICZ Arnold: *Biologia zmienia człowieka.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 291, nlb. 1. 10 000 egz. – Dot. m.in. biologicznych „zagadek nauki" i jej przyszłości.
1250. OLSZEWSKI Andrzej: *Na tropie kosmicznych braci.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 102, nlb. 2. 50 000 egz. – Zdarzenia. Sensacje. Zagadki.
1251. SKARŻYŃSKI Janusz: *Widma morskie.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 158, nlb. 2 70 000 egz. – Zdarzenia. Sensacje. Zagadki.

Futurologia (F):

1252. BAŃKA Józef: *Przeciw szokowi przyszłości.* Katowice. Wyd. „Śląsk". 8° ss. 414, nlb. 2. 10 000 egz. bibliogr., err.
1253. FILAREWICZ Aleksander: *Prognoza, program, plan.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 214, nlb. 1. 5 000 egz.
1254. MESAROVIĆ Mihajlo, PESTEL Eduard: *Ludzkość w punkcie zwrotnym. Drugi Raport dla Klubu Rzymskiego.* Tłum. [z ang.] Wiesław i Stanisław Raczkowscy. Warszawa. Państw. Wyd. Ekon. 8° ss. 211, nlb. 1., mapa, tablice, wykr. 5 000 egz.
1255. PODWYSOCKI Tadeusz: *Cyborgi w szkole.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 205, nlb. 3. 6000 egz.
1256. TOFFLER Alvin: *Ekospazm.* Tłum. [z ang.] Ewa Szymańska. Wstęp Wiktor Osiatyński. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 130, nlb. 2, bibliogr. 10 000 egz.
1257. TUSZKO Aleksander: *Wisła przyszłości.* Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 207, nlb. 1, tabl. 8, mapy, wykresy. 3 000 egz. – Prognozy, Perspektywy.
1258. WŁODKOWSKI Lucjan: *Łódź 2000.* Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 200, nlb. 4., tabl. 4, mapy k. 4, bibliogr. 4 000 egz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

28 stycznia 1986 r. nastąpiła największa katastrofa w dziejach kosmonautyki. „Challenger", odbywający dziesiąty lot, eksplodował w 72 sekundy po starcie, jego siedmioosobowa załoga straciła życie.

Z dumą głosząc podbój kosmosu szybko wytarliśmy z naszej pamięci fakt, iż po tak wielu szczęśliwych startach nastąpił jeden zakończony katastrofą. Niczym strusie schowaliśmy głowy w piasek, by nie widzieć chmury dymu i twarzy rodzin załogi. Niemniej jednak katastrofa się wydarzyła. Dowiodła, że dopiero zapoczątkowaliśmy „podbój" kosmosu. Lotami, którym nadaliśmy miano „wspaniałych", zaledwie musnęliśmy skraj przestrzeni...

Loty załogowe mają za sobą dwudziestopięcioletnią historię. Przypomnijmy tych, którzy oddali życie za rozwój kosmonautyki...

Nándor Schuminszky

Największe przygody – największe dramaty

Czerwiec 1958 r. Iven C. Kinchloe (USA), który we wrześniu 1956 r. ustanowił rekord osiągając wysokość 38 465 metrów, leciał samolotem F-104, który nieoczekiwanie się zapalił. Pilot podjął bezskuteczną próbę katapultowania się z maszyny tracącej wysokość. Było już za późno. Kinchloe zginął.

23 marca 1961 r. Pierwsza dwudziestka radzieckich pilotów po przejściu starannych badań lekarskich była już przygotowana do odbywania lotów kosmicznych, gdy zachodnia prasa rozpowszechniła w świecie „sensację": *Kolejny radziecki kosmonauta zginął w kosmosie!*

3 kwietnia 1961 r. Odpowiedziały na to „Izwiestia". Faktycznie, śmierć poniósł pierwszy radziecki kandydat na kosmonautę, lecz nie zdarzyło się to w kosmosie.

Walentin W. Bondarienko – miał wówczas 24 lata – był najmłodszym członkiem grupy Jurija Gagarina. Ze spokojem i pewnością siebie odbywał dziesięciodniowy trening w dźwiękoszczelnie odizolowanej kabinie. Do ciała miał przymocowane mnóstwo czujników aparatury medycznej. Ciśnienie w kabinie było obniżone, dlatego też powietrze zostało wzbogacone w tlen. Po dziesięciu dniach Bondarienko zaczął zdejmować z siebie kolejno końcówki przewodów, zaś skórę w miejscach ich podłączenia przemywał tamponem waty zwilżonej alkoholem. Być może myślami był już w kosmosie, gdy przez nieuwagę rzucił przesączony spirytusem tampon na rozżarzoną spiralę grzejnika. Z powodu obecności dużej ilości tlenu płomienie natychmiast objęły całą kabinę. Zapalił się bawełniany kombinezon kosmonauty. Bondarienko nie zasygnalizował jednak niebezpieczeństwa, tylko próbował ugasić ogień.

Ze względu na różnicę ciśnień ekipa ratunkowa nie mogła od razu otworzyć drzwi kabiny. W ciągu kilku sekund, które tymczasem upłynęły, Bondarienko odniósł śmiertelne obrażenia. Gdy go wynoszono, był jeszcze przytomny.

– Nie oskarżajcie nikogo, to moja wina! – szeptał.

Lekarze przez osiem godzin walczyli o jego życie, lecz nie byli już w stanie go ocalić. Pochowano go w jego rodzinnym mieście, Charkowie.

21 października 1964 r. Theodor C. Freeman (USA) o godzinie 10.01 wystartował samolotem T-38 z pasa startowego w Ellington. Leciał ponad czterdzieści minut, po czym o godzinie 10.47 rozpoczął podchodzenie do lądowania.

Gęś nadlatywała z południowego zachodu. Była duża, ważyła co najmniej 12 kilogramów. Z powodu upału niebo było zamglone, tak więc zderzenie nastąpiło w chmurze. Dały się kolejno słyszeć dwa wybuchy i T-38 stanął w ogniu. Freeman nie stracił spokoju. Jako instruktor pilotażu wielokrotnie już lądował z płonącym silnikiem. Jednakże ogień coraz bardziej się rozprzestrzeniał i otaczając ze wszystkich stron kabinę przesłonił mu widok.

Pozostało mu jedynie skoczyć ze spadochronem. Wszyscy tego właśnie się spodziewali. A jednak Freeman nie wyskoczył. Leciał właśnie nad domami kosmonautów. Nie widział ich, lecz wiedział, że są pod nim. Próbując podciągnąć maszynę dalej stracił cenne, decydujące sekundy.

Kadłub T-38 pękł na dwoje i Freeman wypadł na zewnątrz. Spadochron nie otworzył się, lecz i tak nie byłoby już czasu na rozwinięcie czaszy. Pilot spadł na porośniętą koniczyną łąkę i tam umarł.

28 lutego 1966 r. Dwa samoloty treningowe T-38 lecą z Houston do St. Louis, gdzie mieści się firma produkująca statki kosmiczne „Gemini". W pierwszej maszynie znajduje się przyszła załoga statku „Gemini-9": Elliot M. See i Charles A. Bassett, w drugiej – załoga rezerwowa: Thomas P. Stafford i Eugene A. Cernan.

Pogoda nie sprzyjała kosmonautom. Chmury wisiały wyjątkowo nisko i utrudniały orientację. Pierwsza maszyna źle podeszła do lądowania, wyszła z chmur leżąc na boku. Nie starczyło czasu na pchnięcie drążka steru, samolot uderzył w słup sieci elektrycznej, odwrócił się i runął na parking samochodowy przed lotniskiem. See i Bassett zginęli.

Stafford i Cernan wylądowali szczęśliwie. W czerwcu 1966 r. oni polecieli statkiem kosmicznym „Gemini-9".

27 stycznia 1967 r. 25 stycznia tego roku odbyła się pierwsza próba kontrolna załogi statku „Apollo-1". Wszystko odbyło się zgodnie z planem, drugą próbę wyznaczono na 27 stycznia.

Wskazówki zegarów ustawiły się na godzinie 18 minut 31 czasu miejscowego, gdy na 10 minut przed zakończeniem próby kontrolnej nastąpiła tragedia.

Taśmy magnetofonowe zawierają zapis ostatnich minut życia Virgila I. Grissoma, Edwarda H. White'a i Rogera B. Chaffee'ego:

Godzina 18 minut 31 sekund 4. Tętno White'a ulega przyspieszeniu, kabina chwieje się w wyniku ruchów przebywających w środku kosmonautów.

Godzina 18 minut 31 sekund 5. Tętno White'a jest coraz szybsze, temperatura i ciśnienie powietrza w kabinie wzrasta. Słychać głośne okrzyki:

– Czuję zapach spalenizny!

– Ogień w kabinie!

Godzina 18 minut 31 sekund 9. Chaffee krzyczy rozpaczliwie:

– Potężny ogień w kabinie!

Ciśnienie powietrza w środku nadal wzrasta, kabina coraz silniej się chwieje pod wpływem ruchów przebywających wewnątrz kosmonautów.

Godzina 18 minut 31 sekund 12. Chaffee wyłącza dopływ prądu z zewnątrz i melduje, że płomień jest coraz jaśniejszy. Późniejsze badania wykazały, że astronauci walcząc o życie próbowali otworzyć klapę.

Godzina 18 minut 31 sekund 14. Zaopatrzenie w tlen kabiny i skafandrów kosmicznych ulega coraz większym zakłóceniom, urywa się łączność radiowa. Ostatnie słowa, jakie wydostały się z kabiny, pochodziły od Chaffee'ego:

– Palimy się, wyciągnijcie nas stąd!

Godzina 18 minut 31 sekund 17. Temperatura w kabinie przekroczyła 500 stopni Celsjusza, ogień przesłonił wszystko. W wyniku wzrostu ciśnienia uszkodzeniu ulega konstrukcja kabiny. Ogień zaczernia szarą powłokę kapsuły, jej wnętrze jest całkowicie wypalone.

Specjaliści ustalili, że pożar był spowodowany zwarciem instalacji elektrycznej, w wyniku którego trzykrotnie wzrosło ciśnienie atmosfery składającej się z czystego tlenu.

24 kwietnia 1967 r. Po zrealizowaniu przewidzianego programu Władimir M. Komarow lecący na pokładzie statku „Sojuz-1" podjął przygotowania do lądowania. Kabina kosmiczna bez żadnych kłopotów przebyła najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny odcinek drogi przez coraz gęstsze warstwy atmosfery ziemskiej. Jej prędkość zmalała z pierwszej szybkości kosmicznej do wartości przewidzianej w programie lotu. Jednakże na wysokości siedmiu kilometrów, gdy otworzyła się czasza głównego spadochronu, jej liny splątały się w wyniku obrotowego ruchu kabiny. Nie dało się też otworzyć zapasowego spadochronu. „Sojuz-1" zaczął spadać z zawrotną prędkością. Komarow zginął.

6 czerwca 1967 r. Edward G. Givens (USA), pilot programu „Gemini" zginął w wypadku samochodowym w El Largo, w pobliżu Houston.

5 października 1967 r. Clifton C. Williams miał być czwartym człowiekiem na Księżycu. Zgodnie z planem miał pełnić funkcję pilota księżycowego lądownika statku „Apollo-12". Los pokrzyżował te plany: w czasie lotu treningowego samolotem

T-38 spadł w pobliżu miasta Tallahassee i stracił życie.

15 listopada 1967 r. Michael J. Adams był kolejnym pilotem mającym odbyć lot w programie X-15. Maszyna oznaczona numerem 3 zgodnie z planem oderwała się od samolotu-matki B-52, po czym stromo zaczęła się wznosić w górę. Po zaledwie dziesięciu sekundach lotu zaczęła opadać. Wtedy właśnie wpadła w nieoczekiwany korkociąg, z którego Adams nie potrafił jej wyprowadzić, i spadła w pobliżu bazy lotniczej Edwards.

8 grudnia 1967 r. Pilot programu MOL, Robert H. Lawrence, pierwszy czarnoskóry kosmonauta, runął w samolocie typu F-104 w pobliżu bazy lotniczej Edwards.

27 marca 1968 r. W wyznaczonym czasie Jurij Gagarin wyruszył w lot treningowy z doświadczonym instruktorem pilotażu, Władimirem Sieriogimem. Samolot z lekkością zabawki wzbił się w niebo. Trudno stwierdzić, co zdarzyło się później. MIG-15 zmienił kierunek lotu i zaczął spadać. Dosłownie skosił drzewa okolicznego lasu i wbił się w grunt.

Pierwszy kosmonauta świata poniósł śmierć.

10 stycznia 1970 r. Paweł I. Bielajew był dowódcą „Woschoda-2". Z tego właśnie statku, jako pierwszy w świecie człowiek, wyszedł w przestrzeń kosmiczną Aleksiej A. Leonow. Po udanym spacerze kosmicznym podczas lądowania w działaniu systemu naprowadzania „Woschoda-2" wystąpiły jakieś zakłócenia i Bielajew sprowadził kapsułę kosmiczną na Ziemię za pomocą ręcznego sterowania. To niełatwe zadanie udało mu się szczęśliwie wypełnić, lecz nie był w stanie ustrzec się obrażeń. Zmarł w wyniku krwotoku żołądka.

13 maja 1970 r. „Apollo-13" z trzema astronautami: Jamesem A. Lovellem, Johnem L. Swigertem i Fredem W. Haise'em na pokładzie od dwóch dni leciał w kierunku Księżyca, gdy w budynku numer 8 houstońskiego centrum dyspozycyjnego zatrzeszczał głośnik:

– Halo, Houston, mam kłopoty!

Dyspozytor poderwał głowę:

– Powtórz!

Lovell powtórzył z całkowitym spokojem:

– Mam kłopoty, nastąpiła przerwa w przekaźniku B... – Po krótkiej chwili dodał: – Słychać było głośny huk...

W wyniku eksplozji, jaka nastąpiła w sekcji technicznej, kabina dowódcy statku została całkowicie pozbawiona dopływu energii elektrycznej. Inżynier kontrolujący pracę urządzeń krzyknął:

– Awaria!

Podczas gdy kosmonauci w ciemności i chłodzie lecieli dalej w kierunku Księżyca, na Ziemi gorączkowo szukano sposobu rozwiązania problemu. Rzecz jasna, zrezygnowano z lądowania na Księżycu – w kabinie dowódcy funkcjonowało jedynie radio, a i ono było zasilane z rezerwowego źródła. Fizyczne prawa rządzące ruchem w przestrzeni nie pozwalały na zawrócenie z drogi. Statek kosmiczny oddalał się więc od Ziemi. Jedyną nadzieją był sprawnie funkcjonujący prom, mający służyć do wylądowania na powierzchni Księżyca. Obliczenia potwierdziły tę nadzieję – po okrążeniu Księżyca „Apollo-13" mógł ruszyć w drogę powrotną z pomocą silników promu. Dane trajektorii w kierunku Ziemi zostały obliczone przez komputer, co zajęło 72 minuty. Matematyk używający papieru i ołówka strawiłby na to około miliona lat.

Załoga znosiła sytuację zagrożenia z wzorowym opanowaniem. Nawiasem mówiąc, kosmonauci zawsze usuwali ze swej świadomości nieuchronne niebezpieczeństwa. Śmierć, której cień unosi się nad ich życiem, nie stanowi wśród nich tematu rozmów.

17 kwietnia kabina „Apollo-13" opadła na powierzchnię oceanu. Struchlały świat mógł odetchnąć – tym razem człowiek odniósł zwycięstwo nad techniką.

4 września 1970 r. James M. Taylor (USA) lecący w samolocie treningowym T-30 rozbił się w pobliżu miasta Palmdale w Kalifornii.

30 czerwca 1971 r. Po dwudziestu trzech dniach owocnej pracy załoga statku kosmicznego „Sojuz-11": Georgij T. Dobrowolskij, Władisław N. Wołkow, Wiktor I. Pacajew, zaczęła się przygotowywać do powrotu na Ziemię. Ze stacji orbitalnej „Salut-1" przenieśli na pokład statku materiały obserwacji naukowych, filmy i dzienniki pokładowe. 28 minut po godzinie 21 rozłączyli oba obiekty. „Sojuz-11" oddalił się od stacji.

30 czerwca o godzinie 1.35 statek przyjął odpowiednie położenie, włączyły się silniki hamujące. Po ich unieruchomieniu łączność z załogą została przerwana. Zgodnie z automatycznym programem po hamowaniu w atmosferze otworzył się główny spadochron, zaś bezpośrednio przed dotknięciem gruntu włączone zostały specjalne silniki rakietowe zapewniające miękkie lądowanie. Ekipa ratownicza dotarła na miejsce w ciągu kilku minut, lecz po otwarciu klapy okazało się, że wszyscy trzej kosmonauci są martwi.

Powodem tragedii była usterka w systemie hermetyzacji kabiny.

5 kwietnia 1975 r. Kolejna grupa kosmonautów startowała zamierzając dotrzeć do stacji „Salut-4". Wasilij G. Łazariew i Oleg G. Makarow zgodnie z programem oderwali się od płyty kosmodromu Bajkonur. W ósmej minucie lotu, na wysokości 192 kilometrów wystąpiły zakłócenia w funkcjonowaniu rakiety nośnej. Personel zawiadujący lotem postanowił przerwać podróż statku. „Sojuz-18-1" nie osiągając orbity zawrócił w stronę Ziemi i po 21 minutach i 27 sekundach lotu szczęśliwie wylądował 1700 kilometrów na północny wschód do Bajkonuru w okolicach miasta Gorno-Ałtajsk.

Rok 1981. W trakcie lotu treningowego samolotem MIG-21 runął na ziemię Bui Thanh Liem, kosmonauta wietnamski.

28 grudnia 1982 r. Cały świat niepokoił się o życie Johna L. Swigera (USA) lecącego na pokładzie „Apolla-13". Po szczęśliwym lądowaniu Swiger zrezygnował z dalszych lotów i oddał się karierze politycznej. Na sześć dni przed wejściem do Kongresu Stanów Zjednoczonych zmarł – zapewne na raka.

27 września 1983 r. Dwaj mieszkańcy stacji kosmicznej „Salut-7" z niecierpliwością oczekiwali odwiedzin. Władimir G. Titow i Giennadij M. Striekałow byli przygotowani do startu w statku „Sojuz T-10-1". Przez chwilę nawet sądzili, że startują zgodnie z planem.

Stało się jednak inaczej. W momencie uruchomienia silników, przy trzecim stopniu rakiety nośnej pojawił się ogień. Włączył się system ratunkowy, który dosłownie wyrwał kabinę z dwoma kosmonautami z płonącej rakiety i wyrzucił ją na wysokość 4 kilometrów. Tu otworzył się spadochron kapsuły i obaj członkowie załogi szczęśliwie wylądowali w bezpiecznej odległości od zniszczonej rakiety.

28 stycznia 1986 r. Tego dnia nastąpiła największa katastrofa w dziejach kosmonautyki: zniszczeniu uległ prom kosmiczny „Challenger". W 62 sekundy po starcie pod brzuchem maszyny, pomiędzy zbiornikiem paliwa a prawą rakietą pomocniczą pojawił się jasny punkt. W siedemdziesiątej drugiej sekundzie buchnął stamtąd ogień, po czym sylwetka promu skryła się w olbrzymiej chmurze dymu. Życie straciła siedmioosobowa załoga: Francis R. Scobee, Michael J. Smith, Judith A. Resnik, Ellison S. Onizuka, Ronald E. McNair, Gregory Jarvis i Christa McAuliffe.

W wyniku śledztwa, na podstawie analizy szczątków wydobytych z oceanu i przeglądu materiałów filmowych ustalono, co następuje:

Przepaliła się uszczelka pomiędzy trzecim a czwartym segmentem rakiety pomocniczej. Już w czasie startu dało się zauważyć wydobywający się stąd czarny dym. Później pojawił się ogień, który przepalił powłokę zbiornika paliwa. Wtedy nastąpiła nagła i gwałtowna eksplozja ciekłego wodoru. W zbiorniku było jeszcze około 70% paliwa...

Oprócz samej eksplozji do całkowitego zniszczenia promu przyczyniły się także efekty aerodynamiczne i zderzenia z rozrzuconymi w powietrzu szczątkami płonącego zbiornika. Zarówno błyskawiczny przebieg katastrofy, jak i brak skafandrów kosmicznych oraz foteli z katapultami sprawiły, że uratowanie życia załogi było niemożliwe.

★

Co czuje człowiek w czasie startu promu kosmicznego?

Jeden z poprzednich pasażerów „Challengera", kosmonauta z RFN, powiedział:

– Od chwili odsunięcia rusztowania w promieniu 5 kilometrów nie ma żywej duszy. Wtedy w żołądku człowieka pojawia się drżenie. Siedzimy na bombie!

Upływają ostatnie sekundy odliczania. Teraz już tylko automaty mogą wstrzymać start. Włączają się główne silniki. „Challenger" kołysze się. A więc ruszamy...

5...4...3...2...1... start!

Włączają się też rakiety pomocnicze. Jedyną rzeczą, o której myślę, jest to, czy będą działać przez 2 minuty.

BĘDĄ DZIAŁAĆ!

Później, cokolwiek by się stało, jest możliwość uratowania się. Lotem ślizgowym można wrócić na Ziemię.

Po upływie tego czasu słychać tępy huk – rakiety zostają odrzucone. W tej chwili przepływa przeze mnie fala spokoju – najtrudniejsze już za nami...

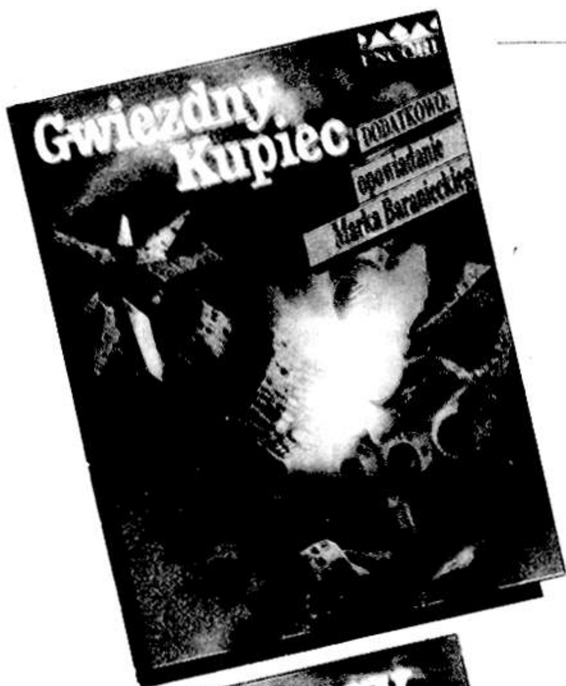
★

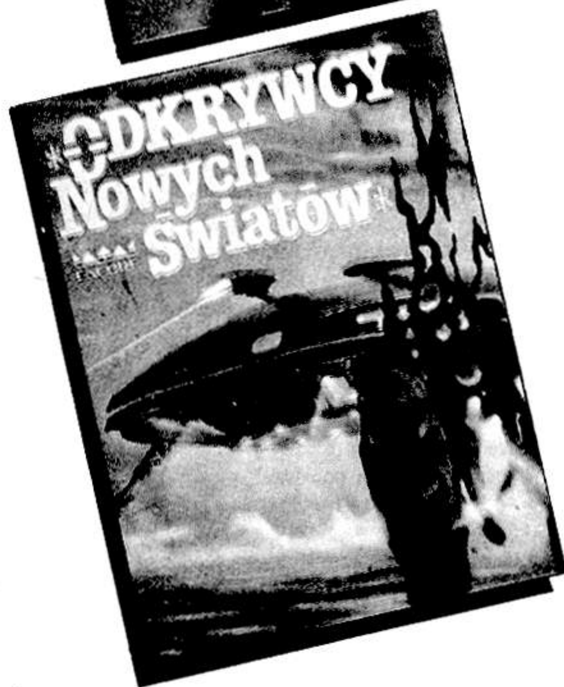
Do czasu pełnego zbadania i usunięcia błędu NASA zawiesza loty promów kosmicznych. Będzie to zapewne trwało od półtora do dwóch lat.

Ale nie ma i nie może być odwrotu. Człowiek jest w kosmosie potrzebny, nie zastąpią go tam żadne automaty.

Loty kosmiczne są pomostem w XXI wiek.

Przełożył
Wojciech Maziarski





Gdy fabularne i symulacyjne o tematyce fantasy i science fiction nie są u nas jeszcze zbyt popularne. Może dlatego, że są to gry skomplikowane, trudne do opanowania, wymagające od grających cierpliwości i dużego zaangażowania, a może po prostu dlatego, że – jak na razie – wydawane są w stosunkowo niewielkich nakładach przez jedną jedyną firmę „Encore".

Maciej Makowski

Gra w fantazję

Czym są gry fabularne, czym różnią się od tradycyjnych gier typu „Chińczyk" czy „Eurobusiness"? Jako się rzekło, są to gry bardzo skomplikowane i właśnie stopień komplikacji jest tu jednym z podstawowych wyróżników. Instrukcja do gry (zwykle liczy od kilkunastu do kilkudziesięciu stron) jest nie tylko opisem czynności, które podejmują grający. Musi być także wprowadzeniem do wyimaginowanego świata, w którym gra się toczy. Dzięki niej grający wchodzą w ten świat, wcielają się w jego bohaterów, aby brać udział w fantastycznych, mrożących krew w żyłach przygodach. Bardzo często zdarza się, że gracze (których może być kilku, a niekiedy nawet kilkunastu) nie grają przeciwko sobie, ale wręcz przeciwnie, aby osiągnąć stawiane w grze cele muszą ze sobą współpracować i wzajemnie się wspierać.

Charakterystyczną cechą gier fabularnych jest również to, że element losowy jest w nich znacznie ograniczony, a o powodzeniu rozgrywki decyduje przede wszystkim umiejętność analizowania powstających w grze sytuacji i wyciągania właściwych wniosków. Coraz częściej kostka do gry jest zastępowana przez mniej lub bardziej skomplikowany system tabel, współczynników i modyfikatorów. Zanim nauczymy się korzystać z tego systemu, gra może wydać nam się udręką, gdy jednak go opanujemy – na pewno staniemy się zagorzałymi zwolennikami, by nie powiedzieć wielbicielami, tego typu rozrywki.

★

Gdy przed trzema laty udało mi się kupić grę „Labirynt śmierci" – bardzo starannie wydaną, chociaż w taniej, zeszytowej formie – nie sądziłem, że firma „Encore", która ją wydała pozostanie na stałe na rynku. Znane kłopoty z papierem i poligrafią mogły spowodować szybkie jej zniknięcie. Ale na szczęście nie spowodowały. Po „Labiryncie śmierci" pojawiła się „Bitwa na polach Pelennoru" oparta na motywach „Władcy Pierścieni" J. R. R. Tolkiena (o obydwu tych grach pisaliśmy w „Fantastyce" nr 10/84), a następnie „Ratuj swoje miasto". Co ciekawe, zawsze znajdowaliśmy zapowiedzi następnych – jak wynikało z krótkich notek – coraz ciekawszych i coraz bardziej skomplikowanych gier.

Ubiegły rok przyniósł nam „Gwiezdnego Kupca" – grę rekordową jeśli chodzi o stopień komplikacji, bardzo ładnie rozwiązaną plastycznie i starannie wydaną. Jest to, jak informuje wydawca, strategiczno-handlowa gra science fiction przeznaczona dla kilku (od 2 do 6) osób. Mamy w niej ogromną, bardzo kolorową planszę, 400 żetonów wytłoczonych na tekturowym arkuszu i wreszcie długi i skomplikowany opis gry poprzedzony specjalnie napisanym opowiadaniem Marka Baranieckiego. Można oczywiście mieć pewne zastrzeżenia: plansza powinna być sztywniejsza, żetony wydrukowane na grubszej tekturze, w sumie jednak całość robi znakomite wrażenie. A jeśli starczy nam cierpliwości, by przebrnąć przez ową skomplikowaną instrukcję możemy rozpocząć ekonomiczny podbój galaktyki; możemy podróżować między sześcioma układami gwiezdnymi, walczyć z konkurentami o dominację na poszczególnych rynkach, budować statki kosmiczne, fabryki, magazyny, przewozić towary, wynajmować agentów i tak dalej. Rozgrywka „Gwiezdnego Kupca" może przebiegać według jednego z kilku scenariuszy i w zależności od tego trwać od 3 do 10 godzin.

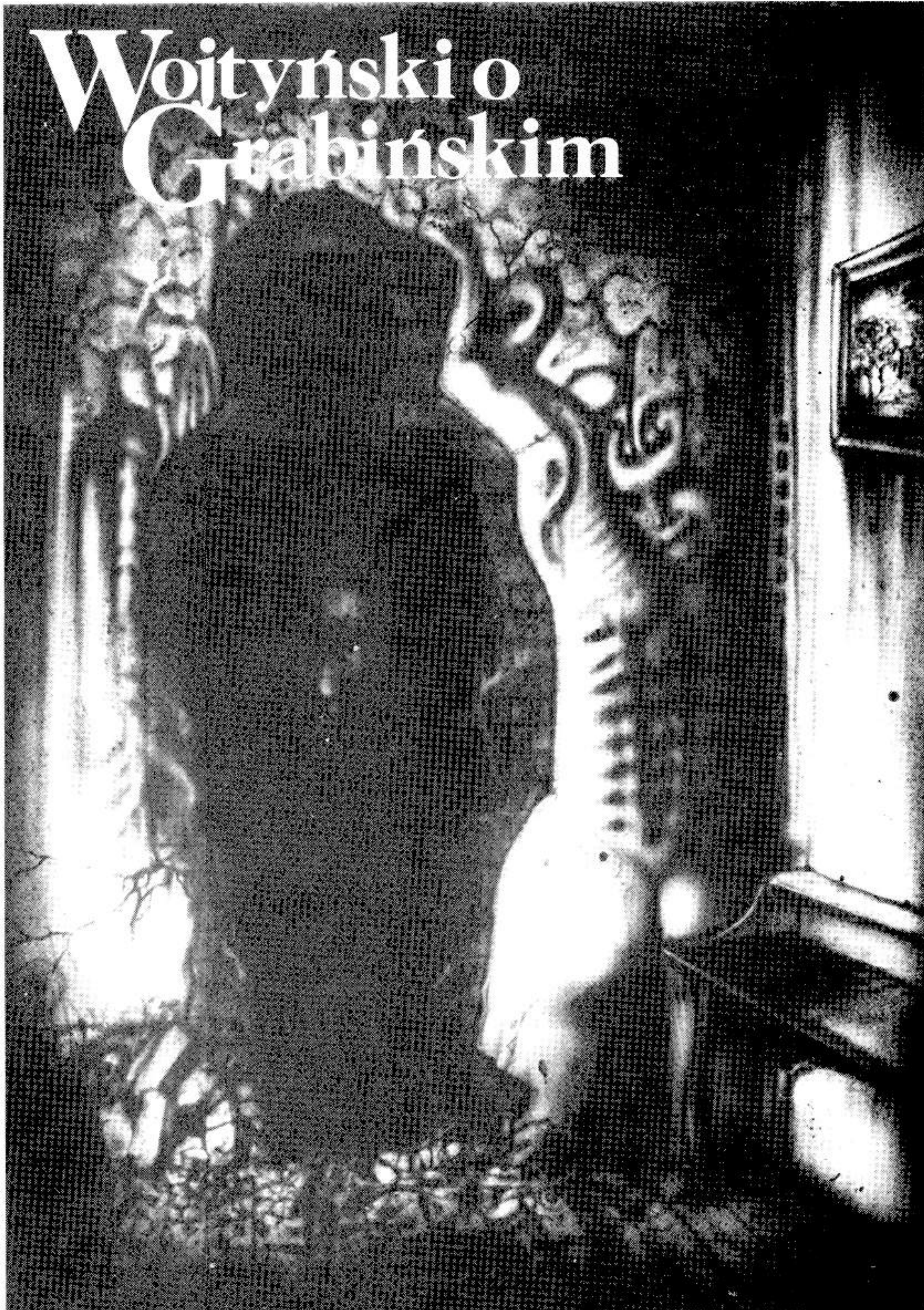
Dwie najnowsze propozycje z serii gier science fiction to „Odkrywcy nowych światów" oraz „Trans Solar". Są to gry zupełnie odmienne zarówno jeśli chodzi o zawartość merytoryczną, jak i formę edytorską. „Odkrywcy nowych światów" to gra dla jednej osoby. Grający jest dowódcą misji mającej na celu poszukiwanie pozaziemskich form życia. Prowadzi rozgrywkę na niewielkiej, ale bardzo kolorowej i wydrukowanej na znakomitej jakości kartonie planszy używając 100 żetonów. Atrakcją gry są tzw. paragrafy sytuacji ekspedycji. Są to opisy poszczególnych sytuacji w jakich może znaleźć się ekspedycja wraz z instrukcjami postępowania. Mnogość tych paragrafów sprawia, że gra się nie nudzi, wręcz przeciwnie, w miarę poznawania jej tajników staje się coraz bardziej atrakcyjna i wciągająca.

„Trans Solar" również przedstawia się imponująco. W pięknym, przyciągającym wzrok pudełku, z licznymi rekwizytami (karty losowe, karty kontraktowe, banknoty, żetony, kostki) i z wielką, znakomicie zaprojektowaną i wydrukowaną planszą ma tylko jedną, za to bardzo dotkliwą wadę: wysoką cenę. Gdy jednak otrzymuje się produkt tak wysokiej jakości łatwiej przychodzi zaakceptowanie wysokiej nawet ceny. Sama gra nie jest bardzo skomplikowana, powiedziałbym nawet, że jest to najprostsza z gier wydanych przez „Encore". Gracze – a może ich być od 2 do 7 – podróżują po układzie słonecznym w zakupionych uprzednio frachtowcach kosmicznych. Na poszczególnych obiektach kosmicznych realizują zadania wyznaczone za pomocą kart kontraktowych, za co otrzymują określone premie pieniężne. O ostatecznym zwycięstwie decyduje suma zdobytych kapitałów.

★

Na zakończenie wypada poruszyć jeszcze jedną, bardzo istotną kwestię. Jak to się dzieje, że gry, które opisałem, tak rzadko można oglądać na półkach sklepów. Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie zwróciłem się do szefa firmy „Encore", pana Jana Adamskiego. Okazuje się, że gry są wydawane w nakładach 20–30 tys. egzemplarzy. Nakłady mogłyby być znacznie większe, ale... handel nie chce tych gier zamawiać. Wydawca oferuje swoje wyroby różnym przedsiębiorstwom handlowym i najczęściej spotyka się z brakiem zainteresowania skwitowanym stwierdzeniem: „to jest zbyt skomplikowane, tego nikt nie kupi". Szkoda, że ci, którzy tak mówią nie widzieli kolejek ustawiających się na przykład pod Salonem Wydawniczym MAW przy ul. Wilczej w Warszawie, gdy pojawia się tam nowa gra. W tej sytuacji firma „Encore" sprzedaje swoje wyroby tylko tym przedsiębiorstwom, które uda się do tego przekonać. W skali całego kraju dystrybucja jest zatem najczęściej zupełnie przypadkowa (na przykład którąś z gier zamawia „Dom Książki" z Opola, Centralna Składnica Harcerska ze Szczecina, Rzemieślniczy Dom Towarowy z Gdańska i RSW „Prasa-Książka-Ruch" z Wrocławia). W tej sytuacji inicjatywę wykazało Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, które jako jedyna instytucja w kraju prowadzi sprzedaż wysyłkową gier.

Wydaje się również, że firma „Encore" przestanie już niedługo być w naszym kraju monopolistą w produkcji gier fantastycznych. Niedawno ukazała się wydana przez Spółkę „Medicat" „Bulwa" gra fabularna dla młodego odbiorcy, a pod koniec roku powinna pojawić się na rynku gra będąca wprowadzeniem do „role playing" pt. „Magia i miecz" wydana przez nową powstającą spółkę, która ma w swoich planach produkcję następnych gier. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że treść i szata edytorska tych gier będzie co najmniej na poziomie dokonań firmy „Encore". ■



Zez

...Czułem, że tu nie można mówić o jakimś rozdwajaniu się - tu raczej zaszło zdwojenie, jakaś przeklęta przymieszka, tu wnęcił się jakiś intruz. Nosiłem go w sobie, ustawicznie kalecząc się tą ohydną współbytnością; bezsilny, zrozpaczony świadomością zmiany, której usunąć nie mogłem. Każdy mój czyn wzbudzał we mnie wewnętrzną opozycję, przedstawiał mi się jako narzucony z zewnątrz obcą wolą, każde me słowo było kłamstwem nie popartym przez przekonanie, pozbawionym siły uczuciowej, jakąś pasożytniczą naroślą. Co gorsza, intruz wkraczał w zakres mych myśli, przekonań, starając się przerobić mnie na swój rytm do przyciesi.

Ilekroć chciałem postąpić w sposób zgodny z najgłębszą mą jaźnią i przybrać dawną postawę wobec świata i ludzi, coś mocnego jak rozkaz zawracało mnie na nową, nieznośną drogę, jakiś chichot wewnętrzny rozsadzał mi piersi, a w oddali błyskał skośną rysą piekielny zez...